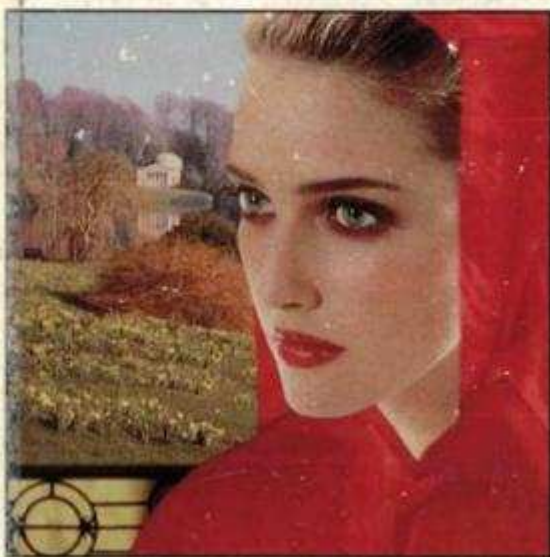


BARBARA
TAYLOR
BRADFORD



ZAGINIONE DZIECIŃSTWO

bis

Barbara Taylor Bradford, jedna z najpoczytniejszych pisarek świata, znana w Polsce z książek i seriali telewizyjnych, takich jak trylogia o Emmie Harte, „Akt woli”, „Niebezpieczny mężczyzna”.

Meredith Stratton jest dojrzałą kobietą, która osiągnęła sukces zawodowy, ma dwoje udanych dzieci i właśnie poznała wspaniałego mężczyznę, kiedy zaczynają budzić się w niej uśpione kosmary przeszłości. Aby je uciszyć, Meredith musi się dowiedzieć, kim naprawdę jest...

BARBARA TAYLOR BRADFORD



BARBARA
TAYLOR
BRADFORD

ZAGINIONE
DZIECIŃSTWO

przełożyła
Anna Pajek

Warszawa 1997

Tytuł oryginału *Her Own Rules*

Redakcja

Alicja Chylińska

Projekt okładki

Maciej Sadowski

Redakcja techniczna

Maria Mierzejewska

Copyright © Barbara Taylor Bradford 1995

Copyright © for the Polish edition Wydawnictwo „bis” 1997

ISBN 83-87082-24-4

Dla Boba, z miłością

Prolog

Czas miniony

Dziecko siedziało na skale, wznoszącej się wysoko ponad brzeg rzeki. Z łokciami opartymi na kolanach, podpierając twarzyczkę dłońmi, dziewczynka trwała w bezruchu, śledząc wzrokiem rodzinę kaczek, pływającą w kółko na ciemnej powierzchni wody.

Jej ogromne, szeroko rozstawione, szarozielone oczy miały poważny wyraz, podobnie jak cała buzia. Lecz od czasu do czasu figle kaczątek przywoływały na jej usta lekki uśmiech.

Był pogodny sierpniowy dzień.

Na jaskrawobłękitnym łuku nieba słońce widniało niczym doskonała, złota kula i wszystko zdawało się trwać nieporuszone w kojącym spokoju pięknego, letniego popołudnia. Nie drżał ani jeden liść, ani jedno źdźbło trawy, a jedynym uchwytnym dźwiękiem było słabe brzęczenie pszczoły, unoszącej się ponad porośłym pnąciami różami, nieco już zmurszałym ceglany murem, i plusk wody płynącej wartko w dół po nakrapianych kamieniach łożyska rzeki.

W swoim zapamiętaniu nad fascynującym życiem na wodzie dziewczynka trwała nieporuszona i dopiero dźwięk jej imienia, głośno wykrzykiwanego od strony domu, przywołał ją do rzeczywistości.

Zerknęła szybko przez ramię, a potem błyskawicznie podniosła się i pomachała do młodej kobiety, stojącej w pobliżu drzwi niewielkiego domku.

- Mari! No już! Wracaj! - wołała kobieta, przywołując dziecko ruchami dłoni.

Otwarcie żelaznej furtki w ceglanym murze zajęło Mari zaledwie chwilę i już biegła zakurzoną ścieżką, starając się jak najszybciej poruszać swymi małymi, pulchnymi nóżkami.

- Mamusiu! Mamusiu! Wróciłaś! - zawołała, śpiesząc wprost w wyciągnięte ramiona kobiety i niemal potykając się w swoim pragnieniu jak najszybszego osiągnięcia celu.

Młoda kobieta chwyciła córeczkę i przytuliła ją mocno, ukrywając twarz w zagłębieniu jej szyi. - Mam coś pysznego na podwieczorek - szepnęła, a potem dodała, spoglądając w jasną twarzyczkę dziecka: - Chyba już ci mówiłam, żebyś nie chodziła sama na brzeg, Mari. To niebezpieczne - skarciła łagodnie dziewczynkę, lecz jej twarz nie straciła przy tym pełnego miłości wyrazu.

- Ja tylko siedziałam na skale, mamusiu, nie podchodziłam do krawędzi - odparła Mari, podnosząc wzrok na matkę. - Eunice powiedziała, że mogę pójść popatrzeć na kaczęta.

Kobieta bezgłośnie westchnęła. Wzięła dziecko za rękę i wprowadziła do domu. Kiedy już były w środku, zwróciła się do młodej dziewczyny, czytającej książkę w odległym kącie kuchni.

- Eunice, nie życzę sobie, żeby Mari chodziła nad rzekę sama. Może się łatwo pośliznąć i spaść, a ty nawet nie będziesz o tym wiedziała. Tyle razy już ci o tym mówiłam. Eunice, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Tak, pani Sanderson. Bardzo przepraszam, już więcej nie pozwolę jej tam iść samej.

- Mam nadzieję - powiedziała Kate Sanderson na pozór spokojnie, lecz jej spojrzenie wyrażało troskę.

Odwróciła się gwałtownie, napełniła czajnik wodą i postawiła na palniku gazowym.

Dziewczyna głośno zamknęła książkę i wstała. - To ja już sobie pójdę.

Kate skinęła głową. - Dziękuję, że przypilnowałaś małą.

- Czy mam przyjść jutro? - burknęła Eunice, przemierzając kuchnię. - A może da sobie pani radę sama?

- Chyba tak. Ale przyjdź w piątek rano na kilka godzin. To by mnie urządziło.

- Dobrze, przyjdę. Może być o dziewiątej?

- Doskonale - odparła Kate, przewyciężając irytację i zmuszając się do uśmiechu.

- Pa, pa, Mari - powiedziała Eunice, uśmiechając się do dziecka.

- Pa, pa, Eunice - odparła Mari, przebierając szybko małymi, pulchnymi paluszkami na znak pożegnania.

Kiedy zostały same, Kate zwróciła się do swojej pięcioletniej córki: - Bądź dobrą dziewczynką, Mari, umyj ręczki, a potem siądziemy do podwieczorku.

Dziewczynka poszła na górę do łazienki i w chwilę później wróciła do matki, do kuchni, która była ich ulubionym miejscem. Tutaj koncentrowało się życie domu. Duża, urządzone w wiejskim stylu, z drewnianym, belkowanym sufitem, kuchnia miała solidny kamienny kominiek, a obok niego staromodny piec. Nad zlewem znajdowały się witrażowe okienka, a kamienną podłogę pokrywały barwne chodniki.

W tym ciepłym, przytulnym miejscu panował wzorowy ład. Wszystko leżało na swoim miejscu, garnki i naczynia błyszczały czystością, a dwa okna ze świeżo

upranymi koronkowymi zasłonkami połyskiwały w popołudniowym słońcu. Kate była dumna ze swego domu, dbała o niego i poświęcała mu wiele uwagi.

Mari pobiegła do stojącego na środku stołu, zastawionego do podwieczorku i przykrytego białą serwetą. Wdrapała się na proste, drewniane krzeselko.

Czekała cierpliwie, przyglądając się Kate, krążącej szybko z talerzami pełnymi kanapek i trójkątnych placuszków z jęczmiennej mąki, zalewającej wrzątkiem herbaciane liście w brązowym imbryku. Mawiała, że herbata w nim zaparzona smakuje najlepiej.

Dziewczynka bardzo kochała matkę i to uczucie odbijało się na jej twarzy. Obserwowała każdy jej ruch. Bardzo się cieszyła, że Kate wróciła wreszcie do domu po niemal całym dniu nieobecności. Zawsze za nią tęskniła, nawet gdy matki nie było w pobliżu choć przez chwilę. Kate była całym jej światem. Oczom pięcioletniego dziecka matka jawiła się jako istota doskonała, z delikatną twarzą, błyszczącymi złotorudymi włosami, oczami w odcieniu czystego błękitu i kochającym usposobieniem. Zawsze były razem, naprawdę nierozłączne, bo Kate kochała dziecko ponad wszystko.

Teraz krążyła po kuchni, przygotowując posiłek. Wreszcie usiadła obok Mari.

- Kupiłam w mieście twoje ulubione paszteciki z kielbaską. Zaczynaj jeść od razu, póki jeszcze nie wystygły - powiedziała.

Mari rozpromieniła się. - Oooh, mamusiu, uwielbiam ich.

- Je - poprawiła ją łagodnie Kate. - Uwielbiam je.

Dziewczynka skinęła głową na znak zrozumienia i sięgnęła po pasztecik. Zjadła go powoli, lecz z wielkim smakiem. Kiedy po paszteciku zostało już tylko wspomnienie, oczy Mari przyłgnęły łakomie do talerza pełnego kanapek. Było ich tam kilka rodzajów - z ogórkiem, wieprzową

kielbasą, pomidorem i pastą jajeczną. Mari poczuła, jak ślinka napływa jej do ust, lecz matka uczyła ją zawsze, by nigdy nie sięgała łąpczywie po jedzenie. Należało odczekać sekundę czy dwie, i Mari tak właśnie zrobiła, popijając w tym czasie mleko ze szklanki stojącej obok talerza.

Wreszcie, kiedy uznała, że wymagany czas minął, sięgnęła po kanapkę z ogórkiem i wbiła w nią zęby, rozkoszując się jej soczystą chrupkością.

Prawie ze sobą nie rozmawiały, pogryzając malutkie kanapki. Milczały, z przyjemnością oddając się jedzeniu. Obie były bardzo głodne.

Mari właściwie nie jadła tego dnia obiadu, gdyż Eunice zepsuła zapiekankę z mięsa i pomidorów, którą Kate dla nich przygotowała. Dziewczyna zbyt długo podgrzewała potrawę w piekarniku - spaliła się niemal na węgiel. Musiały zatem zadowolić się chlebem z dżemem i dwoma jabłkami.

Kate umierała z głodu, ponieważ ją także ominął dziś lunch. Od rana przemierzała ulice pobliskiego miasteczka w poszukiwaniu pracy i nie miała czasu ani nastroju, by wstąpić na szybki posiłek do którejś z miejscowych kafejek.

Wyprawa opłaciła się jednak. Tuż przed powrotem do domu Kate odwiedziła najmodniejszy w mieście sklep z odzieżą, Paris Modes, gdzie prawie obiecano jej posadę. Potrzebowali sprzedawczyni i wyglądało na to, że Kate spodobała się kierownicze. W piątek rano miała stawić się na rozmowę z właścicielką. Na razie trzymała kciuki i modliła się, by jej los odmienił się wreszcie na lepsze.

Kiedy Kate zaspokoila głód, wstała i weszła do spiżarni. Myśl o ewentualnej pracy napelniła jej serce nadzieją, toteż kiedy wynosiła stamtąd salaterkę truskawek i dzbanek śmietanki, poruszała się lżejszym niż zwykle krokiem.

Przyniosła je do stołu, uśmiechając się z zadowoleniem na widok uszczęśliwionej twarzy córeczki.

- Och, mamusiu, truskawki - powiedziała Mari i oczy jej zabłysły.

- Powiedziałam, że mam dla ciebie coś specjalnego! - oświadczyła Kate, podając córce dużą porcję owoców polanych śmietaną. Sobie też przygotowała porcję.

- Specjalny deser jadamy tylko w szczególne dni, mamusiu. Czy dzisiaj jest taki dzień? - spytało dziecko.

- Może się takim okazać - powiedziała Kate tajemniczo, a widząc pełen zaciekawienia wyraz twarzy Mari, dodała: - Niezależnie od tego chyba przyjemnie jest zrobić sobie ucztę w zwykły dzień. Taka niespodzianka robi o wiele większe wrażenie, prawda?

Mari zaśmiała się i skinęła głową.

Jak to często bywa w Anglii, ciepłe sierpniowe popołudnie przeszło w chłodny wieczór.

O szóstej zaczęło mżyć i znad rzeki podniosła się wilgotna mgła, która wkrótce rozpełzła się po nisko położonych łąkach i polach, otaczających domek, skrywając wszystko wokół. Drzewa i krzewy przybrały nowe kształty, podobne stojącym za oknami potworom i innym zwodniczym istotom.

Choć raz Mari była zadowolona, że zapakowano ją bezpiecznie do łóżka. - Opowiedz mi coś, mamusiu - prosiła, wsuwając się głębiej pod ciepłe przykrycie.

Kate przysiadła na łóżku i wygładziła prześcieradło.

- A co byś powiedziała na wierszyki? Zawsze mówiłaś, że lubisz wiersze - powiedziała.

- Powiedz mi ten o czarodzieju.

Kate odsunęła pasmo jasnobrązowych włosów z twarzy córeczki. - Czy masz na myśli *Cudowny stragan*, aniołku?

- Tak, właśnie ten - odparła dziewczynka pośpiesznie i błyszczące oczekiwaniem oczy utkwiała w twarzy matki.

Kate zaczęła powoli recytować wiersz miękkim, słodkim głosem.

*Czarodziej sprzedaje na swoim straganie,
Możesz tu kupić, co w myśli postanie:
Zakręt rzeki, blask księżycy,
Co tak bardzo cię zachwyca.
Każdy rodzaj udawania,
Nocy część i mili pól
Liścia drżenie, sen - marzenie.
Uśmiech słonia, węża ślizg,
I świetlika nagły błysk.
Kamień, który umie pływać
- nie wie nikt, jak się nazywa.
Kryształowy śniegu płatek,
A do tego roś z kwiatu.
Leszczynowych bazi pył,
I czas, który kiedyś był.
Wszystko jest, lecz próżno szukać
Igielnego tutaj ucha.
Tych się nigdy nie dostanie
Na jego cudownym straganie.*

Kiedy skończyła, uśmiechnęła się do córki. Tak bardzo ją kochała. Znów odsunęła uparty kosmyk z twarzy Mari i pocałowała ją w czubek nosa.

- To mój ulubiony - powiedziała Mari.

- Mmm, wiem o tym. Dostałaś dzisiaj więcej swoich ulubionych rzeczy, panienko, lecz teraz pora spać. Robi się późno, więc dalej, zakop się głębiej w łóżeczku... zmówiłaś pacierz?

Dziewczynka potrząsnęła głową.

- Musisz o tym pamiętać, Mari. Ja zawsze to robię. Codziennie. Od kiedy byłam taka mała, jak ty teraz.

Mari złożyła ręce i zamknęła oczy.

Powoli, starannie wymawiając słowa, zaczęła: - Aniele Boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój. Rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy. Amen. Boże pobłogosław mamę i zachowaj ją w zdrowiu. Boże, pobłogosław mnie i zachowaj mnie w zdrowiu. I spraw, abym była dobrą dziewczynką.

Otwierając oczy, zwróciła się do matki, przyglądając się jej w napięciu: - Ale ja jestem dobrą dziewczynką, prawda?

- Oczywiście że jesteś, kochanie - odparła Kate. - Najlepszą, jaką znam. I do tego moją. - Pochyliła się i objęła ramionami córeczkę, przytulając ją mocno.

Ramiona Mari objęły szyję matki i przez chwilę trwały obie w czułym uścisku. W końcu Kate odsunęła się nieco i ułożyła Mari z powrotem na poduszkach.

Pochylając się nad Mari, pocałowała ją w policzek.

- Niech cię Bóg błogosławi. Słodkich snów, Mari. Bardzo cię kocham - szepnęła.

- Ja także cię kocham, mamusiu.

Szerokie smugi słonecznego światła wpadały ukośnie przez okno, wypełniając jasnością małą sypialnię. Uparty promień słońca, padający na jej twarz, w końcu obudził Mari. Otworzyła oczy, mrugając, by przyzwyczaić je do jaskrawego porannego światła. Usiadła. Ostatnio nauczyła się odczytywać czas, spojrzała więc na mały zegar, stojący na nocnej szafce. Zbliżała się dziewiąta.

Zdziwiło to Mari, gdyż mama wstawiała zwykle dużo wcześniej i już przed ósmą wołała ją, by zeszła na śniadanie.

Spodziewając się, że Kate najwidoczniej zasnęła, dziewczynka wysliznęła się z łóżka i przebiegła szybko do korytarza, dzielący ją od sypialni matki. Łóżko było

jednak puste. Trzymając się poręczy, tak, jak ją nauczono, zeszła ostrożnie na dół.

Matki nie było także w kuchni. A przynajmniej nie od razu ją zauważyła. Lecz kiedy się rozejrzała, zobaczyła matkę leżącą na podłodze w pobliżu pieca.

- Mamusiu, mamusiu! - krzyknęła, obiegając stół i zatrzymując się przed bezwładną postacią leżącą w dziwnej pozycji. Jej twarz była śmiertelnie blada.

Mari dostrzegła krew na koszuli matki i tak ją to przeraziło, że przez dobrą chwilę nie mogła się poruszyć. Potem przykucnęła i wzięła do ręki jej dłoń. Była zimna. Zimna niczym lód.

- Mamusiu, mamusiu - łkała drżącym głosem, coraz bardziej przerażona. - Co ci się stało, mamusiu?

Kate nie odpowiadała, po prostu leżała bez ruchu.

Mari dotknęła jej policzka. Był równie zimny jak ręka.

Dziecko pozostało przy matce jeszcze przez chwilę, poklepując ją po dłoni, dotykając twarzy, próbując ją podnieść, lecz bez rezultatu. Oczy Mari wypełniły się łzami, które natychmiast spłynęły po jej policzkach. Ogarnęło ją uczucie strachu i bezradności; nie wiedziała, co począć.

W końcu przypomniała sobie to, co zawsze powtarzała jej Kate: Jeżeli zdarzy się coś niespodziewanego, jakaś nagła konieczność, a mnie tu nie będzie, idź i odszukaj konstabla O'Sheę. On będzie wiedział, co robić. Pomoże ci.

Choć bardzo nie chciała zostawiać matki samej, zdała sobie sprawę, że musi to zrobić. Musi pójść do budki policyjnej przy głównej drodze, gdzie można było znaleźć konstabla, jeżeli akurat miał obchód.

Mari puściła dłoń matki i weszła z powrotem na górę. W łazience umyła twarz, ręce i zęby, a potem ubrała się w bawełniane szorty i bluzeczkę, które miała na sobie

wczoraj. Zapięła sprzączki sandałów i wróciła do kuchni.

Przez chwilę stała nad Kate, spoglądając na nią z góry, przepełniona dojmującym uczuciem trwogi i niepokoju. Potem odwróciła się na pięcie i zdecydowanie ruszyła prosto w słoneczne światło poranka.

Pośpieszyła w dół ścieżką, prowadzącą do wysadzonej drzewami uliczki, jej stopy niemal unosiły się w powietrzu, gdy biegła w stronę głównej drogi. Tam właśnie stała budka policyjna.

Pomalowana na ciemnoniebiesko i dość duża, by w razie potrzeby pomieścić dwóch funkcjonariuszy, budka stanowiła duże udogodnienie dla odbywających obchód konstabli. Ponieważ wyposażono ją w telefon, bieżącą wodę i palnik gazowy, policjant mógł sobie tu zrobić herbatę, zjeść kanapkę, napisać raport, a w razie potrzeby zadzwonić na posterunek po posiłki. Takie budki rozlokowano w strategicznych miejscach większości miast i miasteczek w całej Anglii. Były one wręcz niezastąpione dla konstabli, zwłaszcza podczas nocnego obchodu czy złej pogody.

Kiedy Mari dobiegła wreszcie do budki, ledwie mogła oddychać. Lecz ku jej wielkiej uldze konstabl O'Shea był w środku. On mi pomoże, wiem, że mi pomoże, pomyślała, zatrzymując się przed nim.

Policjant stał właśnie w progu, paląc papierosa. Kiedy zobaczył Mari, wyrzucił niedopałek i rozgniół go butem.

Przyglądając się bliżej ciężko dyszącej dziewczynce, Patrick O'Shea zauważył natychmiast, jak bardzo jest przejęta i wystraszona. Domyślając się, że coś okropnego musiało się przydarzyć, pochylił się nad nią, wziął za rękę i spojrzał w zalaną łzami twarzyczkę. - Mari, kochanie, co się stało? - zapytał delikatnie.

- Moja mamusia - płakała Mari. - Leży na podłodze w kuchni. Nie mogę jej obudzić. - Płakała teraz rozpaczliwie, mimo że tak bardzo starała się być dzielna.

- Widziałam krew na jej koszuli.

Konstabl O'Shea znał Mari od urodzenia i wiedział, że jest miłą dziewczynką, dobrze wychowaną i zdecydowanie niezdolną do płatania jakichś figli czy wyolbrzymiania spraw. Tak czy inaczej, jej wzrastający niepokój przekonywał go, że coś złego musiało wydarzyć się w domku nad rzeką.

- Zaczekaj minutkę, Mari - powiedział, wchodząc do budki. - A potem pójdziemy do domu i zobaczymy, co trzeba zrobić. Zadzwoił na posterunek, prosząc, aby natychmiast przysłano do Hawthorne Cottage ambulans, i wyszedł, zamykając drzwi budki na klucz.

Podszedł do Mari i wziął ją na ręce, starając się jakoś pocieszyć i uspokoić.

- A teraz, kochanie, wrócimy do domu, zobaczymy, jak miewa się twoja mamusia i jestem pewien, że uda nam się doprowadzić wszystko do porządku.

- Ale ona umarła - szlochała Mari. - Moja mamusia umarła.

Część pierwsza

Czas teraźniejszy

1

Meredith Stratton stała przy wielkim oknie z tafli szkła w swoim prywatnym biurze, spoglądając na wznoszące się przed nią strzeliste, połyskujące sylwetki wieżowców. Panoramiczny widok rysujących się na tle nieba drapaczy chmur Manhattanu zawsze przyciągał wzrok, lecz tym razem wydawał się bardziej malowniczy niż kiedykolwiek.

Owego styczniowego wieczoru 1995 roku na atramentowoczarным, czystym niebie jasno płonęły gwiazdy. Na dodatek była pełnia. Żaden hollywoodzki scenograf nie zaprojektowałby tego lepiej, pomyślała Meredith. Natury nie da się prześcignąć. Musiała jednak przyznać, że to właśnie wznoszące się ku niebu wieżowce i cała architektura centrum miasta czynią ów widok tak nieodparcie pociągającym.

Empire State Building nadal przystrojony był jaskrawymi, tak charakterystycznymi dla Bożego Narodzenia barwami czerwieni i zieleni, nieco na lewo zaś znajdował się bardziej stonowany budynek Chryslera - wysmukła budowla w stylu art deco, oświetlona wyłącznie na biało.

Te dwa słynne punkty orientacyjne jak zawsze dominowały nad otoczeniem, lecz tego wieczoru cały ów

miejski horyzont zdawał się błyszczeć bardziej niż zwykle, ostrzej rysując się na tle nocnego nieba.

- Nie ma na świecie drugiego takiego miejsca jak Nowy Jork - powiedziała Meredith głośno.

- Zgadzam się. - Meredith odwróciła się i zobaczyła swoją asystentkę, Amy Brandt, stojącą w drzwiach.

- Przestraszyłaś mnie, skradając się w ten sposób - stwierdziła z uśmiechem, a potem odwróciła się znowu do okna. - Podejdz tu, Amy, i spójrz. Widok miasta zapiera dech.

Amy zamknęła za sobą drzwi i przeszła przez pokój. W przeciwieństwie do swojej szefowej, wysokiej blondynki, mierzącej sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, Amy była ciemnowłosa i niewysoka. Przy Meredith, noszącej w dodatku na ogół wysokie obcasy, większość ludzi zdawała się wyglądać niczym karzelki, co nieco pocieszało Amy, sprawiając, że nie czuła się już tak krucha i nic nie znacząca.

- Masz rację, Meredith, Manhattan wygląda wyjątkowo wspaniale, wręcz nierealnie.

- To dlatego, że niebo jest dziś takie czyste, choć ciemne - zauważyła Meredith. - W ogóle nie ma chmur i światła miasta tworzą tę cudowną lunę...

Obie kobiety stały przez chwilę przy oknie, aż wreszcie Meredith odwróciła się i powiedziała, podchodząc do swego biurka: - Musimy jeszcze omówić parę spraw, a potem będziesz mogła pójść do domu. - Spojrzała na zegarek. - Już siódma. Przepraszam, że przetrzymałam cię tak długo.

- Nic nie szkodzi. A skoro nie będzie cię tu przez tydzień, będę mogła sobie trochę odpuścić.

Meredith roześmiała się, unosząc perfekcyjnie zarysowaną, jasną brew: - Byłoby to wydarzenie na miarę stulecia. Jesteś pracoholiczką, Amy.

- O, nie, nie ja, lecz ty, moja szefowo. To ty przewodzisz w tej konkurencji.

Meredith roześmiała się i w kącikach jej intensywnie zielonych oczu ukazały się zmarszczki. Przysunęła do siebie stos tekturowych teczek, otworzyła tę znajdującą się na wierzchu i przez chwilę studiowała zadrukowany cyframi arkusz.

W końcu spojrzała na Amy i powiedziała: - Nie będzie mnie dłużej niż tydzień. To może potrwać nawet dwa tygodnie. Mam mnóstwo spraw w Londynie i Paryżu. Agnes bardzo namawia mnie do kupna tej starej posiadłości w Montfort-L'Amaury, a sama wiesz, jaka jest, kiedy już nabierze do czegoś przekonania. Tak czy inaczej, mam zamiar tym razem bardzo ściśle z nią współpracować.

- Sądząc po zdjęciach, które przysłała, to bardzo piękna posiadłość, doskonała do naszych celów - wyraziła swoją opinię Amy, dodając: - Chyba nagle nie stałaś się temu przeciwna, prawda?

- Ależ skąd. Masz rację, to miejsce jest dla nas wręcz idealne. Martwi mnie tylko, ile trzeba będzie wydać, aby przerobić ten stary dom na gospodę ze wszystkimi udogodnieniami, wymaganymi przez doświadczonych, a nawet rozpieszczonych turystów. Oto kluczowy problem. Agnes jest dosyć beztraska, jeżeli chodzi o pieniądze, wiesz o tym. Koszty wymiany kanalizacji specjalnie nie zaprzatają jej głowy, a nawet jej nie interesują. Obawiam się, że sprawy przyziemne zawsze jakoś jej się wymykają.

- Ale jest bardzo twórcza, zwłaszcza kiedy w grę wchodzi sprzedawanie i kupowanie nieruchomości.

- To prawda. Tyle że to ja potem muszę zajmować się kanalizacją.

- I wystrojem wnętrza. Nie zapominaj o tym, Meredith. Wiesz doskonale, że uwielbiasz projektować wnętrza tych zajazdów, zostawiać własne piętno na budynkach, nie wspominając już o tym wszystkim, co się w nich znajduje.

- Rzeczywiście sprawia mi to wielką przyjemność, lecz muszę brać pod uwagę także koszty, zwłaszcza tym

razem. Agnes nie jest już w stanie zainwestować więcej swoich pieniędzy ani w zakup, ani w przebudowę. To samo dotyczy Patsy w Anglii, ona także nie może mnie wesprzeć finansowo. Muszę sama zdobyć pieniądze. I zdobędę. Agnes i Patsy wyraźnie ulżyło, kiedy powiedziałam, że zajmę się finansami, ale tak czy inaczej lepiej będzie, jeżeli trochę ukróczę ich zapędy podczas przebudowy.

- Czy jesteś pewna, że chcesz rozwijać interesy w Europie? - spytała Amy. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że Meredith będzie musiała sama zająć się stroną finansową przedsięwzięcia i teraz zauważyła w jej głosie odcień niepokoju.

- O, tak, chcę. I trzeba będzie otworzyć nowe gospody, by firma mogła prawidłowo się rozwijać. Nie chodzi o to, że pragnę, by zbyt szybko się rozrosła, ale szczęsioma zajadami da się bez problemów zarządzać, zwłaszcza przy pomocy Agnes we Francji i Patsy w Anglii.

- Sześć - powtórzyła Amy, spoglądając na Meredith z żartobliwym wyrazem w oczach. - Czy ty próbujesz mi coś powiedzieć?

Meredith wydawała się zmieszana. - Nie rozumiem cię.

- Powiedziałaś, że szóstką da się zarządzać bez problemów, ale jeżeli dokupisz jeszcze te dwa w Europie, to razem będzie ich siedem. Masz zamiar sprzedać któryś z amerykańskich zajadów?

- Myślałam o tym - przyznała Meredith.

- Silver Lake przyniosłoby największy dochód - zauważyła Amy. - W końcu jest to nasze najbardziej udane przedsięwzięcie.

Meredith w milczeniu wpatrywała się w Amy. Nagle poczuła ten sam ucisk w piersi, jak wtedy, gdy tydzień temu podczas lunchu w „21” jej zaprzyjaźniony bankier,

Henry Raphaelson, użył dokładnie tych samych słów.

- Nie mogłabym sprzedać Silver Lake. Nigdy - odparła w końcu, powtarzając to, co odpowiedziała wówczas Henry'emu.

- Rozumiem.

Nie, nie rozumiesz, pomyślała Meredith, lecz nie odezwała się ani słowem. Po prostu opuściła głowę, stwarzając wrażenie, iż bacznie przygląda się przyczynie swoich finansowych niepokojów - to znaczy kosztorysowi przebudowy posiadłości w Montfort-L'Amaury. Jednak jej wzrok tylko prześlizgiwał się po cyfrach i rubrykach.

Myślała o Silver Lake. Nikt tak naprawdę nie wiedział, ile to dla niej znaczyło, nawet jej dzieci, które przecież tam właśnie się urodziły. Silver Lake zawsze było jej portem, pierwszą bezpieczną przystanią, jaką poznała, i pierwszym prawdziwym domem. A Jack i Amelia Silver, jego właściciele, byli pierwszymi ludźmi, którzy okazali jej życzliwość i dobre serce. Kochali ją i rozpieszczali niczym młodszą siostrę, wychowywali i kształcili - zachęcając do rozwijania zawodowych talentów, podziwiając jej styl. To oni właśnie nauczyli ją dobrych obyczajów i uprzejmości, godności i odwagi.

Jack i Amelia. Jedyna rodzina, jaką kiedykolwiek miała. Przez chwilę stanęli jej przed oczami. Pierwsi ludzie, których pokochała. Przed nimi nie było nikogo, kogo mogłaby kochać. Z wyjątkiem Spina, małego pieska, ale i tego jej odebrano, gdy tylko zdążyła się do niego przywiązać.

Silver Lake stanowiło część jej istoty, było częścią jej duszy. Wiedziała, że nigdy nie mogłaby, nie sprzedałaby go - bez względu na okoliczności.

Meredith odetchnęła głęboko i w końcu ból w piersi zaczął słabnąć. Podniosła wzrok i patrząc uważnie na

Amy, powiedziała prawie normalnym tonem: - Być może będę miała kupca na Hilltops. To dlatego zdecydowałam się pojechać do Connecticut jeszcze dziś wieczorem.

Amy była zdziwiona, skinęła więc po prostu głową.

- A co z Fern Spindle? Czy nie uważasz, że mogłabyś dostać więcej za gospodę w Vermont niż za Hilltops?

- Fern Spindle jest rzeczywiście o wiele więcej warte, warte wiele milionów. Lecz ktoś musi chcieć je kupić, inaczej jego wartość jest w tym przypadku bez znaczenia.

Amy przytaknęła.

Meredith mówiła tymczasem dalej: - Blanche wie, że przyjeżdżam dziś wieczór. Zatrzymam się w Silver Lake, nie ma powodu, by otwierać dom dla jednej osoby. Jonas wpadnie tam jutro rano i zawiezie mnie na spotkanie z potencjalnymi klientami. Po spotkaniu w Hilltops wrócę od razu do miasta i polecę do Londynu w sobotę, tak jak planowałam.

Wzięła z biurka skoroszyt i wręczyła go Amy. - Tutaj są moje listy, wszystkie podpisane, i parę czeków dla Lois. - Usadowiła się wygodnie na krześle i zakończyła rozmowę krótkim: - No cóż, myślę, że to już wszystko.

- Nie... zajrzyj do swojej poczty elektronicznej.

Meredith odwróciła się, aby popatrzeć w ekran komputera, stojącego na małym stoliku za jej krzesłem.

Czwart. 5 stycz. 1995

Cześć, Mamo:

Dzięki za czek. Przydał się.

Baw się dobrze. Jedź i zdobądź je.

Nie daj się obedrzeć ze skóry.

Ściskam tysiąc razy.

JON

- Ten to się umie posłużyć słowami - podsumowała Meredith, potrząsając głową i uśmiechając się w duchu

na myśl o swoim dwudziestojednoletnim synu, Jonathanie, który zawsze potrafił ją rozbawić. Był dobrym dzieckiem. Podobnie jak jego siostra. Jeśli o to idzie, Meredith uważała się za szczęśliwą.

Kiedy została sama, zabrała się za studiowanie kosztorysu, sporządzonego przez jej francuską partnerkę. Uznała, że został nieco zawyżony, lecz Agnes nigdy nie była zbyt praktyczna, gdy chodziło o odnawianie. Z pewnością uda się nieco obniżyć koszty, pomyślała.

Agnes D'Auberville była jej partnerką w interesach od ośmiu lat i był to bardzo szczęśliwy związek. Dobrze się z sobą zgadzały, uzupełniając się nawzajem, a smykałka Agnes do marketingu pomogła na trwale umieścić gospody na turystycznej mapie. W swoich wlokących się po ziemi spódnicach i długich szalickach wyglądała nieco egzotycznie, ale jej ubiór miał swój styl.

Agnes prowadziła paryską filię Havens Incorporated i doglądała zarządzania hotelem mieszczącym się w małym zameczku w dolinie Loary, stanowiącym ich wspólną własność. Choć nie była w stanie uczestniczyć finansowo w zakupie dworu w Montfort-L'Amaury, uważała, że absolutnie należy go kupić. - Nie będziesz żałowała, Meredith, to dobra inwestycja dla firmy - powtarzała podczas rozmowy telefonicznej, którą odbyły wcześniej tego dnia.

Meredith wiedziała, że to prawda. Wiedziała także, iż czarujący zajazd, położony zaledwie w odległości czterdziestu ośmiu kilometrów od Paryża, o rzut kamieniem od Wersalu i lasu Rambouillet to czysta żyła złota, zwłaszcza gdyby miał dobrą restaurację.

Agnes powiedziała jej też, że postarała się już o sławnego szefa kuchni, a także zapewniła sobie pomoc znanego architekta, który na pewno doskonale poradziłby

sobie z przekształceniem dworu w wygodną gospodę.

Co do Patsy Canton, jej angielskiej partnerki, która pojawiła się na pokładzie dziesięć lat temu, sprawy miały się nieco inaczej. Patsy przypadkiem natrafiła na dwie już istniejące gospody, wystawione na sprzedaż przez właścicieli. Uważała, że w obu przypadkach jest to prawdziwa okazja.

Jedna z gospód znajdowała się w Keswick, znanej ze swej urody miejscowości w Krainie Jezior w Cumbrii, druga zaś w jednej z górskich dolin Yorkshire, w pobliżu katedralnych miast York i Ripon. Obie miejscowości były dobrze znane i licznie odwiedzane przez turystów. I znowu każda z tych gospód, o ustalonej już renomie, mogła co najmniej zarobić na swoje utrzymanie.

Niestety, Patsy miała ten sam problem, co Agnes. Nie miała więcej pieniędzy, gdyż wszystko zainwestowała” już w Havens Incorporated - jej spadek po rodzicach poszedł na zakup Haddon Fields, wiejskiego zajazdu w Cotswolds.

Podobnie jak Agnes w Paryżu, Patsy zarządzała Haddon Fields, prowadząc jednocześnie małe biuro w Londynie. Jej mocną stroną było zarządzanie i *public relations*.

Meredith westchnęła cicho, rozmyślając o kłopotach, którym będzie musiała stawić czoło. Z drugiej strony, nie były to przecież trudności nie do przezwyciężenia, a na dłuższą metę dwie nowe gospody w Europie na pewno okażą się cennym nabytkiem, przynoszącym spółce znaczne dochody.

Ekspansja była jej pomysłem, wyłącznie jej. Zdecydowana też była go przeforsować - w końcu to ona miała najwięcej udziałów Havens i podejmowała wszystkie najważniejsze decyzje. W istocie była to jej firma i ona odpowiadała za jej politykę.

Henry Raphaelson powiedział na początku tygodnia, że bank pożyczycy jej pieniądze na nowe nabytki pod zastaw dotychczas posiadanych nieruchomości. Lecz Silver Lake zostało z tej umowy wyłączone. Henry przystał, choć niezbyt chętnie, na ten warunek, ponieważ przekonała go, że Hilltops zostanie szybko sprzedane. I na szczęście miała chyba rację. Jeżeli wszystko pójdzie jak należy, Elizabeth i Philip Morrisonowie mogą zobowiązać się do kupna już jutro. Oczywiście, że to zrobią, powiedziała sobie Meredith, wieczna optymistka.

Odsunęła krzesło, wstała i przeszła przez pokój do lakierowanej konsoli, na której wcześniej postawiła walizkę.

Choć tak wysoka, była niezwykle kobieca i miała długie nogi. Poruszała się zwinnie i z wdziękiem - prawdę mówiąc, była szybka we wszystkim, co robiła, energiczna i przedsiębiorcza.

Mając czterdzieści cztery lata Meredith Stratton wyglądała młodziej, niż na to wskazywał jej wiek. Miało to z pewnością wiele wspólnego nie tylko z młodą twarzą i jasnobłond włosami, uczesanymi po dziewczęcemu na pazia i tworzącymi obramowanie dla jej raczej wyrazistych rysów i przyciągających uwagę zielonych oczu, lecz także z niezwykle żywym usposobieniem ich właścicielki.

Choć była przystojna, ludzi ujmował raczej jej naturalny wdzięk i miły sposób bycia - na tyle odrębny i jej właściwy, że wywierała trwałe wrażenie na każdym, z kim dane jej było się zetknąć.

Meredith zaniósła walizkę na biurko i schowała do niej skoroszyty i papiery, nad którymi pracowała przez cały dzień. Następnie zestawiała walizkę na podłogę, wzięła do ręki słuchawkę telefonu i wykręciła numer córki.

- To ja - powiedziała, kiedy Catherine podniosła słuchawkę.

- Cześć, mamó! - wykrzyknęła Catherine, najwyraźniej zadowolona, że słyszy głos matki. - Jak leci?

- Raczej dobrze. W sobotę lecę do Londynu i Paryża.

- Szczęściara! Nie mogłabym polecieć z tobą?

- Oczywiście, że mogłabyś. Bardzo bym chciała, wiesz o tym.

- Nie mogę, choć świetnie by było urządzić sobie z tobą wagar w Paryżu, zabawić się trochę. Lecz muszę dokończyć ilustracje do nowej książki dla dzieci Madeleine McGrath, a poza tym czeka mnie jeszcze zrobienie kilku okładek. Ale pomarzyć nie zaszkodzi, prawda?

- Oczywiście, że nie. Cieszę się, że tak ci dobrze idzie z pracą. Ale gdybyś uznała, że możesz się wyrwać, zadzwoń do Amy. Zarezerwuje ci bilet na samolot, zanim zdążysz powiedzieć Jack Robinson.

Catherine zaczęła się śmiać. - Od lat nie słyszałam, byś używała tego wyrażenia, chyba od czasu, gdy byłam dzieckiem. Mówiłaś mi kiedyś, skąd się wzięło, ale zapomniałam. Brzmi bardzo dziwnie.

- Rzeczywiście. Często słyszałam je, gdy dorastałam w Australii. Myślę, że narodziło się w Anglii i zostało tam przywiezione przez Pommies, jak oni nazywają Anglików. Australijczycy zaczęli go używać i stopniowo stało się rodzajem miejscowego idiomu, wyrażeniem slangowym.

- Teraz pamiętam, jak wyjaśniałaś nam, że znaczy to „migiem”.

- Nawet szybciej niż migiem - powiedziała Meredith, śmiejąc się wraz z córką. - Tak czy inaczej, pomyśl o przyjeździe do Paryża czy Londynu. Wiesz, jak bardzo lubię z tobą podróżować. A co u Keitha?

Catherine westchnęła przeciągle. - Jest wspaniały... po prostu cudowny!

- Wygląda na to, że jesteś szczęśliwa, Cat.
- Tak, mam, jestem, jestem. Szaleję za nim.
- Czy to coś poważnego?
- Bardzo. - Catherine chrząknęła. - Mam, spodziewam się, że on się wkrótce oświadczy.

Przez krótką chwilę zaskoczona Meredith milczała.

- Mam, jesteś tam? . - Tak, kochanie.
- Zgadzasz się, prawda?
- Oczywiście. Bardzo lubię Keitha, po prostu trochę mnie zaskoczyłaś, i to wszystko. Sprawy przybrały taki poważny obrót tak szybko... to znaczy, nie znasz go zbyt długo, prawda?

- Sześć miesięcy. To chyba dość czasu?

- Przypuszczam, że tak.

Catherine mówiła dalej. - Prawdę mówiąc, zakochaliśmy się w sobie od pierwszego wejrzenia. Jak mówią Francuzi, był to prawdziwy *coup de foudre*.

Meredith uśmiechnęła się do siebie. - Ach, tak, uderzenie pioruna... wiem, o co ci chodzi.

- Czy tak właśnie było z moim ojcem?

Meredith zawahała się. - Niezupełnie, Cat... choć w pewnym sensie, tak. Tyle że przez dłuższy czas nie przyznawaliśmy się do tego przed sobą.

- No tak, jak mogłabyś... To znaczy, w tych okolicznościach. To musiało być dla ciebie piekło.

- To dziwne, ale właściwie nie. Tak czy inaczej, to bardzo, bardzo stara historia i nie czas teraz znów ją roztrząsać.

- A czy kiedy poznałaś Davida, to nie była miłość od pierwszego wejrzenia?

- Nie - powiedziała Meredith i pomyślała o ojcu Jona po raz pierwszy od lat. - Kochaliśmy się, lecz nie była to taka... szalona miłość.

- Chyba zawsze o tym wiedziałam. My się kochamy

szaleńczo i kiedy mnie zapyta, powiem „tak”. Naprawdę nie masz nic przeciwko temu, mam? - spytała znowu.

- Oczywiście, że nie, kochanie. I jeśli ten temat wypłynie, kiedy będę w Londynie czy Paryżu, zadzwoni do mnie od razu, dobrze?

- Jasne, na pewno tak zrobię. I założę się, że zostaniesz babcią, zanim zdążysz powiedzieć... Jack Robinson - zachichotała Catherine.

- Ale nie jesteś w ciąży, prawda? - spytała Meredith.

- Nie bądź niemądra, mam, oczywiście, że nie. Ale nie mogę się doczekać, kiedy będę miała dziecko. Zanim się zestarzeję.

Meredith roześmiała się. - Nie bądź śmieszna, masz dwadzieścia pięć lat!

- Wiem, ale chciałabym mieć dzieci, kiedy będę młoda, tak jak ty.

- Zawsze była z ciebie istna kwoka, nawet gdy byłaś dzieckiem. Posłuchaj kochanie, muszę już lecieć. Jonas zabiera mnie do Silver Lake dziś wieczorem. Mam jutro spotkanie w Hilltops. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w Nowym Jorku jutro wieczorem. Dobranoc Cat, Kocham cię. I uważaj na siebie.

- Obiecuję. Zadzwonię do ciebie jutro i - wszystkiego dobrego.

Po odłożeniu słuchawki Meredith siedziała jeszcze przez chwilę przy biurku, rozmyślając o swojej córce. Oczywiście, Keith Pearson na pewno się oświadczy, i to wkrótce, Meredith była tego zupełnie pewna. A zatem czeka ją w tym roku wesele. Jej twarz pojaśniała na samą myśl o tym. Catherine będzie prześliczną panną młodą, a ona wyprawi jej wesele, o którym długo będzie się pamiętać.

Meredith wstała, podeszła do okna i przez chwilę stała tam, wpatrując się w ostro zarysowane na tle nieba

sylwetki wieżowców Manhattanu. Miasto Nowy Jork, szepnęła do siebie po cichu, miejsce, które uczyniłam swoim domem. Jak stąd daleko do Australii... jak daleko odeszłam, i to pod wieloma względami. Wzięłam w swoje ręce to okropne życie i zmieniłam je. Stworzyłam sobie nową egzystencję. Wzięłam ból i złamane serce i zbudowałam na nich... użyłam ich jako słupów, na których zbudowałam swoją twierdzę w ten sam sposób, jak Weneccjanie budowali swoje na palach wbitych w piaszczyste łąchy. I dokonałam tego wszystkiego sama... no, niezupełnie sama. Pomogli mi Jack i Amelia.

Meredith rozejrzała się po eleganckim pokoju, którego wyposażenie utrzymane było w różnych odcieniach jasnej szarości, lawendy i ametystu. Objęła spojrzeniem mięsiste jedwabie i aksamity, którymi pokryto sofę i krzesła, lśniący szary lakier na nowoczesnych meblach i płótna francuskich i amerykańskich impresjonistów: Taurrelle'a, Epko czy Guya Wigginsa.

Popatrzyła dziś na nie świeżymi oczami, jakby widziała je po raz pierwszy i nie mogła nie zastanawiać się, co też pomyśleliby o tym Jack i Amelia... co pomyśleliby o wszystkim, czego udało jej się dokonać.

Poczuła, jak znajome uczucie żalu znowu ściska jej gardło, wróciła więc do biurka i usiadła, wpatrując się w dwie fotografie w srebrnych ramkach, które zawsze tam przed nią stały.

Jedna z nich przedstawiała Catherine i Jonathana, gdy jeszcze byli dziećmi: Cat miała dwanaście lat, Jon osiem. Jacyż byli piękni: wolny duch we wspaniałym ciele.

Drugie zdjęcie przedstawiało ją wraz z Jackiem i Amelią. Wydawała się na nim taka młoda. Opalona, jasna i beztraska. Kiedy zrobiono to zdjęcie, właśnie ukończyła dwadzieścia jeden lat.

Jack i Amelia byliby ze mnie dumni, pomyślała. To przecież oni pomogli mi stać się właśnie taką i w pewnym sensie jestem ich dziełem. A oni stanowią najlepszą część mnie.

2

Uczucie podniecenia nieodmiennie towarzyszyło każdemu jej powrotowi do Silver Lake. Bez względu na to, jak długo była nieobecna - miesiące, tydzień czy tylko kilka dni, za każdym razem jej powrotowi towarzyszyło owo uczucie wewnętrznej radości, świadomość, że wraca do domu.

Dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem.

Radosne oczekiwanie zaczęło się już w chwili, gdy Jonas zjechał z drogi numer 45 w pobliżu Cornwall i przejechał przez wielką żelazną bramę, znaczącą wejście do posiadłości Silver Lake.

Jechali teraz powoli drogą prowadzącą do jeziora, gospody i towarzyszących jej zabudowań. Była to dobra droga, jasno oświetlona przez szereg staromodnych ulicznych lamp, które Meredith kazała zainstalować kilka lat temu.

Wyglądając przez okno zorientowała się, że Pete musiał wynająć dziś kilku ludzi ze spychaczem, gdyż droga została oczyszczona, tylko na poboczu śnieg tworzył wysokie zwaly, w lesie zaś widać było dziwaczne, przypominające wydmy kształty wielkich zasp, nawianych przez wiatr.

Gałęzie drzew ugiwały się pod ciężarem śnieżnych czap, z wielu zwieszały się sople i w świetle księżyca

dziewiczy biały krajobraz zdawał się błyszczeć niczym przysypany srebrnym pyłem.

Meredith nie mogła się powstrzymać, by nie pomyśleć, jak pięknie wygląda las w swojej zimowej szacie. Lecz ten zakątek kraju zawsze wyglądał wspaniale, bez względu na porę roku. Okolica ta miała dla niej szczególne znaczenie i żadne inne miejsce na świecie nie mogło się z nią równać. Gdy pierwszy raz ujrzała Silver Lake, piękno tego miejsca niemal przejęło ją lękiem - wielkie jezioro lśniące w wiosennym słońcu niczym miękka szklana tafla, otoczona soczystymi łąkami i sadami, a wszystko to położone w naturalnej dolinie pomiędzy porośniętymi bujnym lasem wzgórzami, które wznosiły się, otaczając całą posiadłość.

Natychmiast zakochała się w tym miejscu i przez wszystkie te lata kochała je ze wzrastającą namiętnością i pasją.

Dwadzieścia sześć lat temu, pomyślała, miałam zaledwie osiemnaście lat. Tyle czasu minęło, więcej niż połowa jej życia. A wszystko to mogłoby zdarzyć się wczoraj, tak świeże i jasne były jej wspomnienia.

Przyjechała do Silver Lake, by starać się o pracę recepcjonistki, w odpowiedzi na anons w lokalnej gazecie. Paulsonowie, rodzina, z którą przybyła tu z Australii w charakterze *au pair*, wyjeżdżali do Afryki Południowej. Było to związane z obowiązkami zawodowymi pana Paulsona. Nie chciała tam jechać. Nie chciała też wracać do rodzinnej Australii. Wolałaby pozostać w Ameryce, a dokładniej mówiąc, właśnie w Connecticut.

I dlatego w połowie maja, wkrótce po swoich urodzinach, zjawiła się tu na pożyczonym rowerze, z włosami rozwianymi wiatrem i nieco nieuporządkowaną garderobą.

Cofając się pamięcią, ujrzała siebie taką, jaka była wtedy - wysoka, bardzo szczupła, cała składająca się z

nóg i rąk, niczym młody żreback. Dość ładny jednak, na swój świeży, naturalny sposób. Przepelniała ją żywotność i energia, pragnęła być pomocna, zadowalać ludzi, sprawiać im przyjemność. Taki właśnie miała charakter - była urodzonym rozjemcą.

Jack i Amelia od razu przypadli jej do serca, podobnie jak ona im. Martwiło ich jednak, że miałyby zostać w Ameryce sama, bez Paulsonów, wypytywali więc o jej rodzinę, o to, co rodzice o tym powiedzą. Gdy wyjaśniła, że rodzice nie żyją, okazali jej wiele sympatii, współczując, że utraciła ich tak wcześnie. Zrozumieli także, że nie ma po co wracać na antypody.

Kiedy skontaktowali się telefonicznie z panią Paulson i usłyszeli, co ma do powiedzenia na jej temat, od razu zaoferowali jej pracę.

I tak to się zaczęło, ten dziwny związek, który odmienił jej życie.

Meredith wyprostowała się na siedzeniu, gdy w polu widzenia ukazała się gospoda. W wielu oknach płonęło światło i był to bardzo przyjemny widok. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie znajdzie się w środku, z Blanche i Pete'em, otoczona przez tyle znajomych przedmiotów tego jakże ukochanego miejsca.

Po chwili Jonas parkował przed wejściem. Ledwie zdążył zahamować, kiedy drzwi otworzyły się i jasne światło zalało szeroki ganek.

W chwilę później Blanche i Pete O'Brien stanęli na górze schodów i zanim Meredith zdążyła na dobre otworzyć drzwi samochodu, Pete już był w połowie drogi, wołając: - Witaj, Meredith, wybrałaś sobie dobrą porę na przyjazd, pomimo śniegu.

- Cześć, Pete - odparła, kiedy otoczył ją ramionami. - Jeśli chodzi o prowadzenie samochodu, nie ma jak Jonas. Jest najlepszy.

- To prawda. Cześć, Jonas, miło cię widzieć - powiedział Pete, uśmiechając się do kierowcy i pozdrawiając go skinieniem głowy. - Pomogę ci przy bagażach pani Stratton.

- Dobry wieczór, Pete. Poradzę sobie, nie ma tu wiele do dźwigania.

Meredith pozostawiła problem bagażu mężczyznom i weszła po schodach.

- Jak dobrze być tu znowu, Blanche!

Kobiety uściśnęły się, a potem Blanche, uśmiechając się, wprowadziła Meredith do środka. - I dobrze jest mieć cię tu znowu, Meredith, choćby tylko na jedną noc.

- Chciałabym zostać dłużej, ale, jak już mówiłam przez telefon, po spotkaniu w Hilltops muszę od razu wracać do miasta.

Blanche skinęła głową. - Słyszałam, że masz zamiar ubić interes z Morrisonami. Oni bardzo chcą kupić tę gospodę, wynieść się z Nowego Jorku i żyć inaczej niż dotąd.

- Trzymam kciuki, by się udało - powiedziała Meredith, zdejmując grubą pelerynę z szarej wełny i rzucając ją na ławę.

- Wiem, że ich polubisz, to bardzo miła para, bardzo szczerą, i pomijając już to, że chcą wystartować w nowej branży, oboje uwielbiają tę część Connecticut.

- Dlaczego miałyby być inaczej, przecież to boski zakątek - mruknęła Meredith. Rozejrzała się po holu wejściowym. - Wszystko wygląda wspaniale, Blanche, tak ciepło i zachęcająco.

Blanche rozpromieniła się. - Dzięki, Meredith, wiesz, że kocham to miejsce tak samo jak ty. Ojej, ależ ty musisz być głodna. Pomyślałam, że pewnie o tej porze nie będziesz chciała gorącego obiadu, zrobiłam więc trochę kanapek z wędzonym łososiem, są też owoce i ser. A, mam

przecież jeszcze zup myśliwską. Perkocze sobie właśnie na piecu.

- Zupa to świetny pomysł. Robisz najlepsze zupy pod słońcem - wystarczą za cały posiłek. Jestem pewna, że Jonas też zgłodniał po tak długiej jeździe, więc może poczęstowałabyś go także zupą i kanapkami.

- Oczywiście.

Wszedł Pete, dźwigając torbę podróżną i walizeczkę Meredith. - Jonas parkuje samochód - wyjaśnił. - Zanioś to na górę.

- Dzięki, Pete - powiedziała Meredith.

- Ulokowałam cię w apartamencie *toile de Jouy*. Wiem, jak go lubisz. Chcesz, żebym przyniosła ci tacę na górę? A może zejdziesz do saloniku przy barze.

- Zjem na dole w saloniku, dzięki, Blanche - powiedziała Meredith, zaglądając do pokoju, wychodzącego na wielki hol wejściowy. - Widzę, że rozpaliliście w kominu... to miłe. Chyba zrobię sobie drinka. Napijesz się ze mną, Blanche.

- Dlaczego nie. Poproszę o wódkę z tonikiem. Ale najpierw przygotuję tacę dla Jonasa. Za kilka minut będę z powrotem. - To mówiąc, pośpieszyła do kuchni.

Meredith weszła do saloniku. Rozglądała się dokoła, idąc w stronę wielkiego kamiennego paleniska w odległym kącie pokoju. Ogień płonął jasno, a czerwony dywan, pokryte czerwonym aksamitem sofy i wyściełane czerwono-kremowym lnem krzesła sprawiały, że salonik wręcz tonął w ciepłym, różowym półmroku. Wrażenie przytulności potęgowały jeszcze czerwone brokatowe zasłony na oprawnych w olów oknach, ściany pokryte błyszczącą mahoniową boazerią i czerwone klosze ściennych kinkietów. Był to nieco męski pokój, raczej angielski w charakterze. Była w nim jakaś łagodność, dojrzałość, którą zawsze lubiła.

Naprzeciw okien, na lewo od kominka, znajdował się rzeźbiony, mahoniowy bar.

Meredith wzięła dwie szklaneczki, wrzuciła do nich lód i nalała po dobrej miarce stolicznej. Uśmiechnęła się na widok leżących obok kubelka z lodem trójkątnych kawałków limony. Blanche najwidoczniej domyśliła się, że jej stara przyjaciółka wypije drinka właśnie tu. Salonik przy barze od zawsze stanowił ulubiony zakątek Meredith, a także wszystkich innych, z powodu swej przytulności i odosobnienia, jakie oferował.

Kiedy drinki były już gotowe, podeszła do kominka i stanęła odwrócona do niego plecami, ciesząc się płynącym od ognia ciepłem, sącząc wódkę i odpężając się w oczekiwaniu na Blanche, która nigdy nie wyglądała lepiej, i jeśli nawet w jej jasnorudych włosach pojawiły się nikielne pasemka siwizny, to figurę miała równie szczupłą, jak w czasach, gdy była młodą dziewczyną, a jej wesołe ciemnobrązowe oczy jak zwykle promieniowały żywotnością.

Obie kobiety, które były rówieśnicami, przyjaźniły się już od dwudziestu czterech lat. Blanche przybyła do Silver Lake w dwa lata po tym, jak Meredith zaczęła tam pracować jako recepcjonistka. Zaczęła jako cukiernik, lecz wkrótce jej kulinarne talenty sprawiły, że awansowała na szefową kuchni. Blanche bardzo lubiła tę pracę i wykonywała ją, dopóki nie wyszła za Petera, który od dawna zarządzał posiadłością Silver ów. Gdy okazało się, że jest w ciąży, Meredith, która już wówczas zarządzała gospodą, zaoferowała jej posadę asystentki. Blanche z radością przyjęła propozycję, zadowolona, że nie musi już znosić parnej atmosfery kuchni i dźwigać ciężkich naczyń, pozostając jednakże w miejscu pracy, które tak lubiła.

Zarządzali wówczas z Peterem nie tylko gospodą, lecz także całą posiadłością. Blanche doskonale nadaje się do

tej pracy, rozmyślała teraz Meredith, a poza tym kocha to miejsce równie mocno jak ja i to przywiązanie przejawia się we wszystkim, co robi, jego efekty widać niemal na każdym kroku.

Blanche przerwała jej rozmyślenia, wpadając gwałtownie do saloniku. - Nawiasem mówiąc - zaczęła - nie uwierzysz, ale spodziewamy się w ten weekend wielu gości. Wszystkie pokoje są już zajęte. I kilka apartamentów. To niezwykle, jak na styczeń, ale nie powiem, żebym się skarżyła.

- Cieszę się, i wcale nie wydaje mi się to takie dziwne. Wiele osób lubi pobyt za miastem podczas śnieżnej pogody, a to miejsce cieszy się doskonałą opinią. Bez wątpienia dzięki tobie i Pete'owi. Naprawdę doceniam to, co oboje robicie.

- Wiesz, że uwielbiam tę gospodę.

- A właśnie, Catherine przesyła wam uściski.

Blanche uśmiechnęła się. - I nawzajem. A co tam u niej?

- Jak zwykle, wspaniale. Doskonale jej idzie w pracy, wyrosła na świetną ilustratorkę. I, oczywiście, jest do szaleństwa zakochana.

- Keith Pearson?

Meredith skinęła głową. - Mówiła ci?

- Tak, kiedy byliście tu na Święto Dziękczynienia.

- Myślę, że to coś poważnego.

- Czyżby czekało nas wesele? - spytała Blanche, spoglądając na Meredith z szelmowskim uśmiechem.

- Tak sądzę... właściwie, jestem raczej pewna.

- Chciałabyś, aby odbyło się tutaj, prawda?

- A gdzieżby indziej, Blanche? Cat tu się urodziła, tu dorastała i jestem pewna, że tu właśnie chciałaby wyjść za mąż. To doskonale miejsce.

- Och, nie mogę się już doczekać, kiedy zacniemy wszystko szczegółowo omawiać! - wykrzyknęła Blanche,

pociągając ze swojej szklaneczki. - Na zdrowie. Za Cat i wesele.

- Za wesele - powiedziała Meredith, także podnosząc szklaneczkę i zastanawiając się, czy tak wczesny toast nie przyniesie przypadkiem pecha.

- Namioty. Trzeba będzie ustawić namioty - powiedziała Blanche, wpatrując się przed siebie niewidzącym wzrokiem, ogarnięta wizją przyszłego przyjęcia.

- Ależ oni na pewno będą chcieli się pobrać w lecie - zauważyła Meredith.

- Tak, wiem, prawdopodobnie w czerwcu, wszystkie dziewczyny chcą brać ślub w czerwcu. Lecz nawet w czerwcu może padać i lepiej się zabezpieczyć. I tak będzie wspaniale. Zdobędziemy cudowne kwiaty i zastawę. No i specjalne menu. Zostaw to mnie, zobaczysz, że będzie fantastycznie.

Meredith roześmiała się. - Moja kochana Blanche, zrobię to z przyjemnością.

- Doskonale. - Blanche przez chwilę sączyła drinka, a potem zapytała niespodziewanie: - Czy miałaś jakieś wieści od Davida?

- Davida Laytona? - spytała nieco zdziwiona Meredith.

- Tak.

- Rzadko się z sobą kontaktujemy. Dlaczego pytasz?

- Po prostu akurat o nim pomyślałam... czyżbyś zapomniała, że wy też braliście tu ślub i że to ja urządziłam przyjęcie weselne?

- Nie, nie zapomniałam - powiedziała wolno Meredith, a potem dodała, potrząsając głową: - To zabawne, że czasem prawie w ogóle nie wspomina się czyjegoś imienia, a potem, w ciągu jednego dnia, zdarza się to aż dwa razy.

- Kto jeszcze wspomniał o Davidzie?
- Catherine, kiedy rozmawialiśmy wieczorem przez telefon. Zapytała mnie, czy byłam w nim do szaleństwa zakochana - a w każdym razie o to jej chodziło.
- I co jej powiedziałaś?
- Prawdę. To znaczy, że nie byłam szaleńczo zakochana.
- Oczywiście, że nie. Ty kochałaś w ten sposób tylko jednego mężczyznę, a był nim jej ojciec.

Meredith milczała.

- Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek, jak wyglądałoby twoje życie, gdyby on nie...

- Naprawdę nie mam ochoty o tym rozmawiać - rzuciła gwałtownie Meredith, przerywając Blanche w pół słowa. Potem przygryzła wargę, zmartwiona. - Przepraszam, Blanche, nie chciałam tak na ciebie napadać, ale po prostu wolałabym nie poruszać dzisiaj tego tematu. Mam za sobą ciężki dzień i nie czuję się na siłach, aby roztrząsać dramaty z przeszłości.

Blanche uśmiechnęła się ciepło. - To moja wina. Niepotrzebnie o tym wspomniałam, nie powinnam była... a teraz posmutniałaś... zepsułam ci nastrój.

- Ależ nie, Blanche, naprawdę.

Sądząc, że lepiej będzie zmienić temat, Blanche odstawiła swoją szklaneczkę i powiedziała: - A tak nawiasem mówiąc, będziesz musiała zamówić nową wykładzinę do apartamentu *toile de Jouy* i do błękitnego pokoju. Tej zimy zdarzyło się kilka przecieków, które zniszczyły podłogę. Przykro mi to mówić, ale to samo dotyczy twojej sypialni w domu. Pokażę ci jutro. Obawiam się, że tam także będziesz musiała wymienić wykładzinę.

- Takie rzeczy się zdarzają, obie wiemy o tym doskonale. I to pomimo tego, że w zeszłym roku położyliśmy nowe dachy. Zadzwońię do Gary'ego od Sarka jutro rano,

przed powrotem do Londynu. On ma wszystko w komputerze, więc nie powinno być problemu. - Meredith zmarszczyła brwi. - To były typowe wykładziny, prawda?

- Tak, z pewnością - powiedziała Blanche, ruszając w kierunku drzwi. - Zrobiło się późno. Idę do kuchni po tę zupę.

Meredith odstawiła szklaneczkę i pośpieszyła za nią. - Zjem w kuchni, Blanche, tak będzie prościej.

3

Hilltops, zajazd w pobliżu Sharon, należący do Meredith, położony był na szczycie wzgórza, w najwyższym punkcie nad jeziorem Wononpakook. Nic więc dziwnego, że widok z okien gospody, ukazujący nieskończone mile wody i nieba, bez choćby jednej budowli w zasięgu wzroku, zapierał dech w piersi.

Zajazd, zbudowany w latach trzydziestych jako letniskowa posiadłość pewnego amerykańskiego magnata, powstał bez oglądania się na koszty. Właściciel spędzał tu wraz z rodziną wakacje aż do połowy lat sześćdziesiątych, a gdy zmarł, posiadłość sprzedano.

Kiedy Meredith kupiła ją w 1981 roku, od niemal dwudziestu lat znajdowała się tu już dobrze prosperująca gospoda. Lecz to wprowadzone przez nią stylowe zmiany oraz otwarcie dwóch nowych restauracji nadały temu miejscu właściwy szlif i na dobre umiejscowiły je na turystycznej mapie regionu.

Hilltops zawsze przywodziło jej na myśl Szwajcarię, toteż powiedziała teraz, zwracając się do zarządzającego

gospodą Paula Ince'a: - Wiesz, Paul, stale odnoszę wrażenie, że patrzę na Jezioro Genewskie.

Paul roześmiał się i odpowiedział: - Wiem, o co ci chodzi, mnie też często wydaje się, że jestem w Alpach Szwajcarskich, zwłaszcza zimą.

Meredith przyjechała do Hilltops przed kwadransem i teraz oboje stali w ślicznej starej bibliotece gospody o ścianach wyłożonych sosnową boazerią, czekając na pojawienie się Morrisonów.

Meredith mruknęła, spoglądając za okno: - Tyle śniegu. Wygląda na to, że spadł już na dobre. Ale chyba nie odbiło się to na interesach, prawda, Paul?

- Nie, zupełnie nie. Choć może nie powinienem tak mówić. Jak wiesz, w zeszłym tygodniu mieliśmy trochę kłopotów, trzeba było nawet na kilka dni zamknąć restaurację. Lecz kiedy tylko spychacz oczyścił główną drogę, a potem drogę dojazdową, kłopoty się skończyły i już wszystko było w porządku. - Przerwał, odwracając się do niej. - I jest w porządku - zapewnił.

- A co z zamówieniami na najbliższy weekend? - spytała.

- Całkiem niezłe, na piętnaście pokoi dwanaście zostało już zarezerwowanych, a obie restauracje są prawie pełne. Miejscowi przychodzą tu równie chętnie jak goście hotelowi.

Odchrząknął, a potem powiedział z wahaniem: - Wiem, że na pewno uda ci się sprzedać to miejsce, Meredith - Morrisonom czy komukolwiek innemu - bo to doskonala inwestycja. I chciałem ci powiedzieć... że naprawdę będzie mi brakowało naszej współpracy. Zawsze byłaś wspianiałym szefem...

- To bardzo miłe, że tak mówisz. Dziękuję ci, Paul. Imnie także przez wszystkie te lata doskonale się z tobą pracowało. Ten sukces to w dużej mierze twoja zasługa, tyle z siebie dałeś, to ty rozwinąłeś ten interes. Jak ci już

mówiłam, jeżeli Morrisonowie w końcu zdecydują się na kupno, na pewno będą chcieli cię zatrzymać. Oczywiście, o ile zechcesz zostać.

- Chciałbym. I wiesz, kiedy tu byli podczas weekendu, też dali mi do zrozumienia, że mógłbym zostać.

- A co ty o nich sądzisz, Paul? Jakie są ich zamierzenia?

- Myślę, że są bardziej niż zainteresowani. Jak powiedziałem kiedyś Blanche, nie mogą się doczekać, by dostać Hilltops w swoje ręce. Najwidoczniej przez ostatnie kilka lat właśnie czegoś takiego szukali... wiejskiej gospody w Connecticut, z dala od szaleńczego tempa Nowego Jorku i wyścigu szczurów na Wall Street i Madison Avenue. Nowych karier dla siebie i nowego stylu życia dla siebie i dzieciaków.

- Nie wiedziałam, że mają dzieci - powiedziała Meredith, marszcząc brwi. - Czy to oznacza, że będą chcieli zamieszkać w domku? W twoim domku?

Paul potrząsnął głową. - Pani Morrison napomknęła, że mają zamiar zatrzymać dom w Lakeville. Lecz gdyby chcieli zamieszkać w domku, ja z Anną możemy przenieść się do gospody i tam poczekać, aż remont mieszkania nad garażem zostanie ukończony.

Meredith skinęła głową na znak, że rozumie. Podeszła do kominka, usiadła i naląła sobie następną filiżankę kawy. - Chcesz jeszcze kawy, Paul?

- Tak, proszę - powiedział, przysiadając obok niej.

Przez chwilę siedzieli pogrążeni każde we własnych myślach, pijąc kawę. Wreszcie Meredith przerwała milczenie, pytając: - Jak wiesz, cena wyjściowa wynosi cztery miliony, i jak do tej pory nie ustąpiłam ani na jotę. Lecz mówiąc między nami, jestem gotowa trochę opuścić, po prostu po to, by zakończyć sprawę. Jakie są twoje odczucia: czy będą w stanie tyle zapłacić?

- Trudno powiedzieć - odparł Paul w zamyśleniu. - Na twoim miejscu upierałbym się przy swoim przez jakiś

czas, by zobaczyć, jak zareagują. Ale powinnaś być przygotowana na to, że będziesz musiała zgodzić się na trzy miliony.

Potrząsnęła głową. - Nie ma mowy, Paul, muszę wyciągnąć co najmniej trzy i pół. Zwłaszcza że gospoda jest tyle warta... prawdę mówiąc, jest warta cztery miliony. Moi ludzie od nieruchomości ostatnio wycenili ją na cztery i pół.

- Lecz przecież zawsze mi mówiłaś, że prawdziwa wartość nieruchomości wynosi tyle, ile zechce za nią zapłacić ktoś, dla kogo będzie to cenny nabytek.

- Wiem, wiem, lecz ja naprawdę potrzebuję tych trzech i pół miliona na dalszy rozwój firmy - powiedziała Meredith, odstawiając filiżankę z głośnym brzękiem. - Dwie gospody w Europie będą wymagały dużych nakładów, a chciałabym, żeby zostało mi jeszcze trochę gotówki na koszty operacyjne i jakaś suma, którą mogłabym włożyć z powrotem w firmę.

- Posłuchaj, Meredith, jestem pewien, że Morrisonowie są naprawdę dobrze sytuowani. On przez wiele lat pracował na Wall Street, a ona była współpracowniczką w agencji reklamowej z Madison Avenue. Tak czy inaczej, kiedy przyjadą, porozmawiaj z nimi i sama oceń, jaką sumę będą w stanie zapłacić.

- Racja... po co snuć domysły.

W tym momencie usłyszeli pukanie do drzwi i recepcjonistka zawiadomiła ich, że przyjechali państwo Morrisonowie.

Paul skinął głową. - Wprowadź ich, Doris.

W chwilę później przedstawiał już Meredith oboje Morrisonów. Kiedy już wszyscy uścisnęli sobie dłonie, całe towarzystwo zasiadło w fotelach, stojących w pobliżu kominka.

- Czy mogę państwu coś zaproponować? Kawę, herbatę, a może wodę mineralną? - spytała Meredith.

- Nie, dziękujemy - odparła pani Morrison.

Jej mąż tylko potrząsnął głową, mrucząc pod nosem coś niezrozumiałego na temat śniadania, które właśnie zjedli. Potem zaczął rozmawiać z Paulem o pogodzie, śniegu na drogach i jeździe z Lakeville, gdzie mieli domek weekendowy.

Pani Morrison spojrzała na Meredith i powiedziała: - Bardzo podoba mi się wystrój gospody... jest taki czarujący, stwarza wrażenie takiej intymności. Hilltops kojarzy mi się z angielskim wiejskim dworem.

- Dziękuję - powiedziała Meredith, uśmiechając się do drugiej kobiety. - Lubię projektować wnętrza, tworzyć określoną atmosferę i, oczywiście, zapewniać gościom maksymalny komfort. Uważam, że gospoda powinna sprawiać wrażenie bezpiecznej przystani, portu, dlatego nazwałam swoją firmę Havens Incorporated*.

Haven (*ang.*) - port, przystań, schronienie (przyp, tłum.)

Elizabeth Morrison przytaknęła. - Bardzo trafnie, do prawdy, nadzwyczaj trafnie. Uważam, że wszystkie te drobne udogodnienia są po prostu cudowne. Te butelki na gorącą wodę w jedwabnych pokrowcach, specjalne lampki do czytania przy łóżkach, wełniane szale w bryczkach, wszystkie te drobne luksusy, które czynią taką różnicę.

- Ja też tak uważam - mruknęła Meredith - i taka jest właśnie polityka naszej firmy we wszystkich gospodach, które posiadamy.

- Zawsze chcieliśmy poprowadzić taką gospodę, jak ta - przyznała pani Morrison. - I teraz wreszcie nadeszła pora, by się tym zająć, dopóki jeszcze jesteśmy wystarczająco młodzi. A poza tym chcielibyśmy uciec z miasta, wychowywać trójkę naszych dzieciaków na wsi. W mieście jest teraz tyle przemocy, wprost trudno tam wytrzymać.

- Rozumiem. Sama wychowałam swoją dwójkę w Connecticut i zawsze bardzo cieszyłam się, że było mi to dane. Jak już wiecie, w okolicy jest mnóstwo dobrych szkół. To doskonale miejsce dla rodziny.

Elizabeth Morrison chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz pochwyciła ostrzegawcze spojrzenie swego męża. Chrząknęła więc tylko i usiadła prosto w fotelu, stając się w jednej chwili bardziej obserwatorem niż uczestnikiem spotkania.

Meredith, której uwagi nic nie uchodziło, odnotowała tę drobną wymianę spojrzeń. Zrozumiała też natychmiast, że Philip Morrison nie chciał, by żona powiedziała coś więcej. A już na pewno nie życzył sobie, by z takim entuzjazmem wyrażała się o gospodarze. Pragnął, by zregrała to na zimno, tak jak on robił to od początku spotkania. Najwidoczniej pora już była przystąpić do interesu.

Nie dając mu okazji do przejęcia inicjatywy, Meredith szybko zerwała się z fotela.

Wpatrując się prosto w Morrisona, otwarcie obrzucając go szacującym spojrzeniem, stwierdziła: - Wiem, że byliście tu już wiele razy, by przyjrzeć się Hilltops i że gospoda wam się podoba. Pytanie brzmi: czy rzeczywiście jesteście zdecydowani ją kupić?

- Tak - odparł Philip Morrison. - Za odpowiednią cenę. Dla nas odpowiednią.

- Cena wynosi cztery miliony dolarów, panie Morrison. Myślę, że mój prawnik, zajmujący się nieruchomościami, już panu o tym powiedział.

- Powiedział. Lecz, jak już mówiłem panu Melingerowi, cena wydaje mi się nieco wygórowana.

- Gospoda jest tyle warta, a nawet, prawdę mówiąc, jest warta więcej - zauważyła Meredith. - W rzeczywistości wyceniono ją na cztery i pół miliona. Może pan to sprawdzić w biurze handlu nieruchomościami, tu i w

mieście. Zdecydowałam się sprzedać ją taniej, ponieważ tak się złożyło, że potrzebuję pieniędzy na dalszy rozwój firmy. W innym przypadku upierałabym się przy właściwej cenie, zapewniam pana.

- Daję pani trzy miliony - powiedział Philip Morrison, spojrzał na żonę i dodał: - Tyle możemy zapłacić, prawda, Liz?

Elizabeth, niespodziewanie przywołana do udziału w dyskusji, wyglądała na zakłopotaną. Powiedziała jednak szybko, z naciskiem: - Sprzedajemy naszą firmę na Manhattanie i spodziewamy się dostać nieco pieniędzy na hipotekę pod zastaw domu w Lakeville. Jeżeli spieniężymy jeszcze kilka innych nabytków, możemy zbierać trzy miliony, ale to wszystko, na co nas stać.

Meredith przyjrzała się jej uważnie, lecz nie odezwała się ani słowem. Zamiast tego sięgnęła po filiżankę z kawą i powoli upiła łyk.

Morrison powiedział: - I co pani na to, pani Stratton? Zagadza się pani na trzy miliony?

- Nie - odparła Meredith, patrząc mu prosto w oczy. - Nie mogę. Jak już wam mówiłam, kiedy zdecydowałam się sprzedać Hilltops, moja cena wynosiła cztery i pół miliona, ponieważ gospoda jest tyle warta. Budynek jest w doskonałym stanie. Poza innymi ulepszeniami, w ciągu ostatnich kilku lat wymieniono dach, instalację wodno-kanalizacyjną i elektryczną. A poza tym w skład posiadłości wchodzi spory kawałek ziemi. Obniżyłam cenę tylko dlatego, że moi doradcy poradzili mi, by to zrobić, jeżeli chcę sprzedać szybko. Lecz muszę upierać się przy czterech milionach.

- Trzy miliony dwieście pięćdziesiąt - rzucił Morrison.

Meredith zacisnęła wargi i potrząsnęła głową. - Cztery.

- Trzy dwieście pięćdziesiąt - powtórzył ofertę.

Meredith westchnęła lekko, spoglądając na oboje Morrisonów i uśmiechając się z rezygnacją. - Wiecie, co? Zadowolę się trzema milionami siedmiuset pięćdziesięcioma tysiącami.

- Nie możemy tyle zapłacić - stwierdził Morrison.

- Lecz to prawdziwa okazja - stwierdziła spokojnie Meredith. - Jeżeli weźmiecie pod uwagę, że właściwa wartość wynosi cztery i pół miliona, oznacza to, że i tak opuściłam już siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

Philip Morrison uśmiechnął się krzywo. - Lecz nie zominajmy, że dla nas cena wyjściowa zawsze wynosiła cztery miliony, nie cztery i pół, prawda, pani Stratton?

Meredith milczała.

W końcu wstała, podeszła do szeregu okien, wychodzących na jezioro i przez chwilę stała tam, jakby zastanawiając się nad czymś.

Wreszcie odwróciła się i powiedziała: - Wy chcecie kupić tę gospodę, a ja chcę ją sprzedać. Powiem wam, co zrobię. Pójdę na kompromis. Sprzedam ją wam za trzy i pół miliona.

Morrisonowie wymienili spojrzenia.

W końcu Philip Morrison powiedział: - Naprawdę chciałbym się zgodzić, ale po prostu nie mogę wydać więcej.

- Mógłby pan pójść do banku, poprosić o pożyczkę lub, jeszcze lepiej, założyć na gospodę hipotekę.

Philip Morrison wpatrywał się w nią, nie odzywając się jednak ani słowem.

- Mogę pana zarekomendować w odpowiednim banku - zaproponowała, pragnąc zakończyć negocjacje.

- Sądzi pani, że zgodzą się dać mi pożyczkę na hipotekę? - spytał, chwytając przynętę.

- Raczej na pewno. Mogę zrobić coś jeszcze. Mogę poprosić swego prawnika, by opracował taki harmonogram spłat, by nie ogołocić was od razu doszczętnie.

- To bardzo przyzwoicie z pani strony - powiedziała Elizabeth Morrison.

- Chcę sfinalizować tę transakcję i nie mam zamiaru was oszukać. Jestem pewna, że wy chcecie tego samego i nie będziecie próbowali wystawić mnie do wiatru.

- Nigdy! Nie jesteśmy ludźmi tego pokroju! - wykrzyknęła Elizabeth z oburzeniem.

- Muszę powiedzieć, że to bardzo kusząca propozycja - wymruczał Morrison, spoglądając na Meredith. - Trudno jej się oprzeć.

- Więc niech się pan nie opiera, panie Morrison - stwierdziła Meredith, podchodząc do kominka.

Morrison wstał, gdy zatrzymała się przy jego fotelu.

Meredith wyciągnęła rękę. - Dajmy już spokój, nie targujmy się. Sfinalizujemy ten interes. Jest korzystny dla obu stron.

Morrison wahał się jeszcze przez chwilę, po czym ujął jej dłoń. - Zgoda, pani Stratton, dobiła pani targu. Niech będzie trzy i pół miliona.

Meredith skinęła głową, uśmiechając się do niego.

Odwzajemnił uśmiech.

Elizabeth Morrison podeszła i także uściśnęła dłoń Meredith.

Paul Ince, który podczas całego spotkania siedział jak na szpilkach, pogratulował wszystkim i powiedział: - Sądzę, że okazja wymaga toastu. Przejdźmy do baru, otworzę butelkę Dom Perignon.

- Co za wspaniały pomysł, Paul - stwierdziła Meredith, ruszając przodem.

Podczas podróży powrotnej do Nowego Jorku Meredith niewiele uwagi poświęciła Hilltops. Udało jej się przeprowadzić to, co sobie zamierzyła: sprzedała gospodę za cenę, jaką pragnęła za nią uzyskać, była więc

usatysfakcjonowana. Trzy i pół miliona dolarów wystarczy aż nadto na europejskie wydatki.

Przed wyjazdem z Hilltops poczyniono dokładne ustalenia. Morrisonowie zostali umówieni na przyszły tydzień z prawnikiem Meredith, który miał przygotować do tego czasu niezbędne dokumenty. Ustalono także spotkanie nowych właścicieli z Henrym Raphaelsonem i bankier w rozmowie telefonicznej zapewnił Meredith, że będzie w stanie pójść Morrisonom na rękę.

Kiedy więc Jonas wiózł ją z powrotem na Manhattan, Meredith skoncentrowała się na sprawach wymagających jej dalszej uwagi, to znaczy głównie na swojej wyprawie do Anglii w celu zakupienia gospody. Była przekonana, że z pewnością spodoba jej się jeden z dwóch wynalezionych przez Patsy zajazdów. Przy odrobinie szczęścia szybko sfinalizuje transakcję i będzie mogła pojechać do Paryża, zobaczyć się z Agnes D'Auberville.

Patsy zaprosiła ją na lunch w niedzielę, będą więc mogły omówić sprawy służbowe i zaplanować zajęcia, oszczędzając w ten sposób czas. Ogólnie biorąc, plan zakładał, że najpierw, w poniedziałek, udadzą się na północ Anglii, do Cumbrii, by tam przyjrzeć się bliżej gospodarzom w Krainie Jezior, a stamtąd pojadą już prosto do Yorkshiru, by obejrzeć drugi potencjalny zakup.

Kiedy spytała Patsy, którą z dwóch gospód radziłyby kupić, jej partnerka okazała niespodziewany brak zdecydowania. - Ta w Keswick nie wymagałaby tak wielu prze-róbek - powiedziała w końcu i umilkła na dobre.

Kiedy Meredith zaczęła ją naciskać, Patsy wprost odmówiła dalszych komentarzy. - Chcę, aby to była twoja decyzja, i tylko twoja - wymruczała w końcu. - Jeżeli teraz powiem ci, co sądzę, jeszcze zanim miałaś okazję

zobaczyć oba hotele, na pewno mimo woli wpłynę na twoją opinię. Więc nie naciskaj na mnie.

Patsy zasugerowała także, by Meredith nie wracała już do Londynu, lecz poleciała do Paryża z lotniska Bradford w Leeds. - Stamtąd jest mnóstwo lotów do Paryża, podobnie jak z Manchesteru, do którego także nie jest daleko. - Meredith uznała to za doskonały pomysł - pozwalał zaoszczędzić tyle czasu!

Oparła się wygodnie o siedzenie samochodu i zamknęła oczy, skupiając się na myśli o pakowaniu i o tym, które ubrania powinna zabrać. Nagle pomyślała o umówionym spotkaniu z Reedem Jamisonem. Już sama myśl o tym, że go zobaczy, wprowadziła ją w zmieszanie, wiedziała jednak, że jeśli zamierza z nim zerwać, nie wolno jej tego odkładać.

Ich znajomość właściwie nigdy nie przekształciła się w prawdziwą zażyłość, pomyślała teraz, wyglądając przez okno, choć ostatnio on zdawał się sądzić inaczej.

Pragnąc za wszelką cenę poprawić sobie samopoczucie, postarała się zmienić swój stosunek do całej tej sprawy na bardziej pozytywny, tłumacząc sobie, że wszystko pójdzie jak z płatka. On na pewno zrozumie. Jest w końcu dorosłym mężczyzną.

Jednak w głębi serca doskonale zdawała sobie sprawę, że myli się, oceniając go w ten sposób. Instynktownie przeczuwała, że będzie robił trudności. Jej konsternacja przerodziła się w obawę.

4

- Wiem, że uważałaś mnie za niemądrze upartą, gdy nie chciałam dyskutować z tobą o hotelach - powiedziała Patsy Canton. - Ale ja...

- Nie tyle za upartą, co raczej za niechętną do udzielenia odpowiedzi - wtrąciła Meredith.

- Ani jedno, ani drugie. Staralam się być po prostu ostrożna, byś nie jechała tam z już wyrobionym sądem na temat którejkolwiek gospody. Lecz teraz mogę już chyba udzielić ci pewnych wstępnych informacji, tak to nazwijmy. Właściciel gospody koło jeziora Windmere przysłał nam cały plik fotografii. Przyszły wczoraj. Poczekaj, zaraz je przyniosę.

Patsy zerwała się z krzesła i przeszła przez mały czerwony salonik swego domu w londyńskiej dzielnicy Belgravia, gdzie właśnie siedzieli, popijając drinka przed niedzielnym lunchem.

Pomimo dawno przekroczonej trzydziestki Patsy nadal była atrakcyjną kobietą, bardziej może przystojną niż ładną. Niemal równie wysoka jak Meredith, miała równie dobrą figurę. Jej krótko ostrzyżone blond włosy tworzyły wokół głowy chmurę rozwichrzonych loków, a wielkie szare oczy błyszczały inteligencją. Jednak to nieskazitelna angielska cera Patsy stanowiła główny, zwracający powszechną uwagę, atrybut jej urody.

Przemierzywszy salonik, podeszła do małego georgiańskiego biurka, wzięła z niego grubą kopertę i wróciła z nią na sofę.

- Ian Grainger, właściciel Heronside, jest bardzo dumny z tych fotografii. Sam je wykonał zeszłej wiosny i

lata. - Wręczyła kopertę Meredith, która z ciekawością sięgnęła po fotografię.

Przez chwilę przyglądała się im w milczeniu. Wreszcie zwróciła się do Patsy i powiedziała: - Nie dziwię się, że jest z nich dumny. Zdjęcia są piękne. Podobnie jak Heronside, jeśli wierzyć temu, co tu widzimy.

- Prawdę mówiąc, Meredith, te fotografie nie oddają prawdziwej urody hotelu i okolicy. Pokoje mają w sobie coś z atmosfery luksusu, tak że czujesz się rozpieszczana, ledwo przekroczysz próg. Cała gospoda jest urządzona w stylu, który z pewnością bardzo by ci się spodobał, mnóstwo tam ślicznych starych mebli i materiałów. A co do okolicy, widok po prostu zapiera dech, nie uważasz?

Meredith skinęła głową, po czym przejrzała fotografie raz jeszcze, wybierając jedną, przedstawiającą las. Promienie słoneczne z trudem przedzierały się przez gęsty baldachim zielonych liści, padając na pokrytą dywanem irysów ziemię. Nieco dalej widać było porośnięty żonkilami stok, a za nim rozległą, spokojną, połyskującą srebrzyście w słońcu powierzchnię jeziora.

- Spójrz, Patsy - powiedziała Meredith, wręczając swojej partnerce fotografię. - Wspaniałe, prawda?

- Tak, zwłaszcza to zbrocze pokryte żonkilami. Czy nie kojarzy ci się z wierszem Wordswortha?

Meredith wpatrywała się w nią w milczeniu.

- No, z tym o żonkilach. Nie znasz go?

Meredith potrząsnęła głową.

- To jeden z moich ulubionych - wyznała Patsy.

I niemal mimowoli zaczęła recytować:

Szedłem raz sam - obłok wolnym lotem

Tak nieraz płynie długie chwile -

Gdy nagle oczy olśnił złotem

Rozmigotany tłum: żonkile!

*Wprawiał je w taniec wiatr - od skraju
Jeziora po zarośla gaju**

*W przekładzie Stanisława Barańczaka

- Jakie to śliczne - powiedziała Meredith.
- Nie uczyłaś się tego w szkole?
- Nie - mruknęła Meredith.

Patsy mówiła dalej: - Najbardziej podoba mi się ostatnia strofa. Chciałabyś usłyszeć?

- Bardzo chętnie - odparła Meredith. - Doskonale recytujesz poezję - stwierdziła, z przyjemnością przysłuchując się dalszemu ciągowi wiersza.

*Bo często dziś, gdy na wznak leżę
W błogim sam na sam z własną myślą,
Znów gwiazdozbiory kwiatów świeże
Ku oczom duszy blask swój wyślą
i serca znów cię trosk nie plami,
Gdy tańczy, tańczy z żonkilami.*

- To naprawdę bardzo piękny wiersz - powiedziała Meredith, uśmiechając się do swej towarzyszki. - Taki spokojny... pogodny.

- Też tak go odbieram.

- Wydaje mi się, że gdzieś już słyszałam ostatnią zwrotkę. Ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć gdzie - mruknęła Meredith. - Na pewno nie w szkole.

Przez chwilę czy dwie intensywnie myślała, próbując cokolwiek sobie przypomnieć, lecz bez powodzenia. Choć wiersz z pewnością poruszył jakąś strunę w jej pamięci, pozostała ona nierozpoznana.

- Niestety, nie mam żadnych fotografii gospody w Rippon. Właściciele, Millerowie, zrobili co prawda trochę zdjęć, i to nawet dobrych, ale nie wzięłam ich, bo jakoś

nie oddają ducha tego miejsca. Postanowiłam więc nie pokazywać ci ich. Kiedy będziemy na miejscu, sama wszystko ocenisz.

- Nie ma problemu - Meredith przyjrzała się jej uważnie. - Ale tobie podoba się Skell Garth, prawda?

- O tak, Meredith, i to bardzo. Inaczej wcale bym cię tam nie ciągnęła - zapewniła ją Patsy pośpiesznie.

- Hotel jest doskonale położony, a otoczenie wręcz malownicze. I z okien gospody roztacza się wspaniały widok na opactwo Fountains, jedne z najpiękniejszych ruin w całej Anglii. Tak, Skell Garth to miejsce jedyne w swoim rodzaju.

- Skell Garth - powtórzyła Meredith. - Wiesz, kiedy pierwszy raz wymieniłaś tę nazwę, wydała mi się dość dziwna.

- No, myślę. Pozwól, że ci wyjaśnię. Skell to nazwa rzeki, która przepływa przez Ripon i teren, na którym znajduje się zarówno gospoda, jak opactwo. *Garth* to stare yorkshirskie słowo, oznaczające pole. Wielu okolicznych farmerów nadal tak właśnie nazywa swoją ziemię.

- A zatem nazwa ta oznacza właściwie pole nad rzeką Skell. Mam rację?

Patsy roześmiała się, rozbawiona docieklivością Meredith. - Absolutnie! Jeszcze trochę, a zrobię z ciebie prawdziwą yorkshirską niewiastę!

Dwie przyjaciółki i partnerki siedziały jeszcze przez jakiś czas, sącząc białe wino i rozmawiając o gospodach, a potem pogrążyły się w długiej i poważnej dyskusji na temat firmy.

Wreszcie Patsy zerwała się na równe nogi, wołając:

- O mój Boże! Czuję jakiś straszny zapach! Mam nadzieję, że to nie nasz lunch spalony na popiół!

Wypadła z saloniku i pognała po schodach na dół, do kuchni.

Meredith pośpieszyła za nią.

Patsy przykucnęła przed kuchenką, przyglądając się pieczeni i zagłębiając w brytfance łyżkę o długiej ręczce.

- I co, spaliło się? - zapytała Meredith z troską, wchodząc do kuchni.

- Na szczęście nie - odparła Patsy. Zamknęła drzwi piekarnika i odwróciła się do Meredith z uśmiechem. - Kilka ziemniaków przypiekło się po bokach, ale jagnięcina jest w porządku. To cebula tak się przypaliła. Prawdę mówiąc, jest zupełnie spalona, lecz mięso właściwie już się upiekło. No, prawie. Mam nadzieję, że jesteś głodna, bo przygotowałam tego całą furę.

- Umieram z głodu. Ale nie musiałaś sobie robić kłopotu. Wiesz, że bardzo chętnie zaprosiłabym cię gdzieś na lunch. Mogłyśmy też zjeść w moim hotelu.

- Lubię od czasu do czasu coś ugotować - zapewniła ją Patsy. - Przypomina mi to moje dzieciństwo w Yorkshire. A poza tym chyba nieczęsto trafia ci się okazja, by zjeść typowy, angielski niedzielny obiad, prawda?

Meredith roześmiała się. - Rzeczywiście. I dlatego tak się na niego cieszę.

5

Było wietrzne popołudnie.

Kilka suchych liści tańczyło wokół jej stóp, a wiatr szarpał połami długiej peleryny z kremowego tweedu, gdy szybko przemierzała alejki Green Park.

Meredith nie przejmowała się wiatrem. Było słonecznie i to równoważyło nagle porywy mroźnego powietrza,

a poza tym zadowolona była, że może rozprostować nogi po długim lunchu z Patsy.

Bardzo przyjemnie było spotkać się znów ze starą przyjaciółką i współpracowniczką, aby nadrobić zaległości i nagać się wreszcie o interesach i sprawach prywatnych. Meredith zawsze lubiła przychodzić do tego domku dla lalek, jak nazywała dom Patsy. Położony w dawnych stajniach dzielnicy Belgravia czteropiętrowy budynek urządzono czarująco i ze smakiem, w podobnym stylu jak ich gospody - a był to nieco zmodernizowany styl rustykalny, oparty na starych drewnianych meblach, interesujących tkaninach, tworzących ciekawą kompozycję żywych barw, oraz paru starannie dobranych rekwizytach.

Podczas spaceru myśli Meredith krążyły wokół Patsy, którą bardzo lubiła.

To nowojorski bankier Meredith, Henry Raphaelson, poznał je ze sobą w 1984 roku. Henry znał Patsy od kiedy była nastolatką, ponieważ przez długie lata łączyły go z ojcem dziewczyny, bankierem z City, zarówno przyjaźń, jak interesy.

Patsy i Meredith od razu przypadły sobie do gustu i po kilku niezwykle konstruktywnych spotkaniach zdecydowały się poprowadzić razem interesy, otwierając londyńskie biuro Havens Incorporated.

Patsy okazała się niezwykle cennym nabytkiem. Była solidna niczym skała, pracowita, zasługująca na zaufanie, oddana i lojalna. Choć brakowało jej wyobraźni i wizjonerskich uzdolnień Agnes D'Auberville, brak ten rekompensowały z nawiązką jej zdrowy rozsądek i umiejętność radzenia sobie z mediami. Żaden inny hotel w Anglii nie miał tak dobrej prasy, jak Haddon Fields w Cotswolds. Prawdę mówiąc, od czasu gdy otworzył podwoje, na jego temat nie ukazał się ani jeden negatywny artykuł.

Kiedy Meredith zaczęła przejawiać zainteresowanie otwarciem podobnego hotelu we Francji, Patsy zabrała ją do Paryża na spotkanie z Agnes D'Auberville. Dwie młode kobiety poznały się podczas studiów na Sorbonie i od tego czasu pozostawały bliskimi przyjaciółkami.

Agnes, podobnie jak dwa lata wcześniej Patsy, właśnie rozglądała się za jakimś przedsięwzięciem, w którym mogłaby ulokować odziedziczone pieniądze i które zapewniłoby jej przy tym pełnoetatowe zajęcie. Z entuzjazmem odniosła się więc do pomysłu otwarcia paryskiej filii Havens Incorporated i z zaangażowaniem przystąpiła do wyszukiwania w dolinie Loary posiadłości, nadającej się do adaptacji na gospodę.

W końcu znalazły Chateâu de Cormeron, stojący na brzegu pięknej rzeki Indre, w samym środku doliny Loary. Po nabyciu zameczku spędziły niemal rok na przerabianiu go tak, by nadawał się na hotel. Wiele pokoi wymagało położenia nowych podłóg lub odnowienia sufitów, trzeba też było zainstalować centralne ogrzewanie i klimatyzację, wymienić niemal całą instalację wodno-kanalizacyjną i elektryczną. Kiedy miały to już wreszcie za sobą, zaczęło się wyszukiwanie odpowiednich mebli, wspaniałych starych obić ściennych, luksusowych tradycyjnych tkanin i niepowtarzalnych rekwizytów wyszperanych w miejscowych sklepach ze starociami.

Przeróbka i urządzenie posiadłości pochłonęły mnóstwo energii, wysiłku, talentu i pieniędzy, lecz efekt wart był zachodu, wiedziały o tym obie.

Jakby w nagrodę ich mały hotelik okazał się niezwykle udanym przedsięwzięciem. Położony w pobliżu wielkich zamków doliny Loary, takich jak Chinon, Chenonceaux, Azay-le-Rideau, Loches czy Montpoupon, otwarty dla publiczności i chętnie odwiedzanych przez zagranicznych turystów, przyciągał klientów oczekujących luksusu,

wygody i doskonałej obsługi. Nie bez znaczenia było także sielankowe wręcz otoczenie zajazdu i jego położenie w pobliżu tak wielu słynnych zamków. Fakt, że w hotelu znajdowała się jedna z najlepszych restauracji w tym regionie też raczej nie przynosił szkody interesom.

Agnes D'Auberville, podobnie jak wcześniej Patsy, wkrótce stała się bliską przyjaciółką Meredith i odpowiedzialną partnerką w interesach. Wszystkie trzy doskonale zgadzały się ze sobą.

Patsy, podobnie jak Meredith, była rozwódką z dwójkiem dzieci, choć w jej przypadku byli to dziesięcioletni bliźniacy, uczący się w szkole z internatem. Agnes, która podobnie jak Patsy miała trzydzieści osiem lat, była żoną znanego aktora scenicznego, Alaina D'Auberville'a. Mieli jedno dziecko, sześcioletnią córeczkę Chloe.

Miałam szczęście, że na nie trafiłam, pomyślała Meredith, kończąc swój spacer po Green Park i wychodząc na Piccadilly. Doskonale się uzupełniamy i to im w dużej mierze należy zawdzięczać, że Havens Incorporated zaistniało w Europie i że odniosło tu sukces.

Minęła hotel Ritz i zatrzymała się przy krawężniku, czekając na zmianę świateł. Potem przeszła przez jezdnię i ruszyła z powrotem na Brook Street, do Claridge'a.

Meredith zawsze lubiła spacerować po Londynie i teraz też naprawdę cieszyła ją ta przechadzka, a wysiłek fizyczny i rześkie powietrze pobudzały ją i dodawały energii. Zeszła w dół Hay Hill i nagle znalazła się na Berkeley Square. Lecz kiedy przekraczała plac, nie mogła powstrzymać się od myśli, że mały skwer pośrodku wygląda dziś nieco przygnębiająco z nagimi drzewami i łachami brudnego śniegu pokrywającymi gdzieniegdzie wyschniętą, zbrązowiałą trawę.

Z drugiej strony jakże przyjemnie było przyglądać się ślicznym starym budynkom Mayfair, dzielnicy, którą znała najlepiej. Przyjeżdżała tu od dwudziestu jeden lat, od czasu swego małżeństwa z Davidem Laytonem. Pobrali się w 1974. Miała wówczas dwadzieścia trzy lata - i pod wieloma względami była jeszcze bardzo młoda, choć pod innymi zdradzała zdumiewającą dojrzałość.

Anglia nigdy nie przestała wywierać na niej wrażenia. Czuła się tu swojsko, lubiła też Anglików, z ich uprzedzeniami, lecz także dobrymi manierami i uprzejmością, o wielkim poczuciu humoru nie wspominając.

David Layton był Anglikiem, lecz kiedy go poznała, mieszkał i pracował w Connecticut. Po ślubie, który odbył się w Silver Lake, zabrał ją do Londynu, aby poznała jego siostrę Claire, jej męża i dzieci.

Meredith lubiła Davida, kochała go też wystarczająco, by wyjść za niego za mąż, i było jej naprawdę przykro, że to małżeństwo się rozpadło. Ich szczerze wysiłki, by je uratować, nie przyniosły rezultatu i w końcu rozwód okazał się nie tylko najlepszym, ale jedynym możliwym wyjściem.

A jednak ten wątpliwy i pełen napięć związek zaowocował przynajmniej jednym pozytywnym efektem: narodzinami ich syna Jonathana. Smutne zaś było to, że David ostatnio w ogóle nie widywał się z Jonathanem. W latach osiemdziesiątych przeprowadził się do Kalifornii i od tego czasu ani razu nie wrócił na wschodnie wybrzeże, aby zobaczyć się z synem, nigdy też nie zaprosił go do siebie.

Jego strata, mruknęła pod nosem Meredith. Ze względu na syna żałowała, że sprawy nie potoczyły się inaczej, lecz Jon zdawał się nie przywiązywać zbytnej wagi to tego, że został porzucony przez ojca. Nigdy też o nim nie mówił.

Samotne wychowywanie dwójki dzieci bywało czasami trudne, Meredith pierwsza skłonna była to przyznać.

Lecz Jon okazał się dobrym dzieckiem, podobnie jak jej najdroższa Cat. Posiadanie dzieci okazało się warte całej tej ciężkiej pracy, poświęceń, nieskończonych kompromisów, schlebiana, zmuszania i bezwarunkowej miłości. Starania o to, aby być dobrą matką, z pewnością odbiły się na jej życiu, lecz była dumna ze swoich dzieci. I, co zabawne, także z siebie.

Lata poświęcone wychowywaniu dzieci i tworzeniu firmy, a następnie zapewnieniu jej stabilności nie pozostawiły jej wiele czasu na znalezienie sobie odpowiedniego mężczyzny i związaną się z nim. Miewała, oczywiście, bliskich przyjaciół, lecz zwykle dzieci lub praca stawały na przeszkodzie wszelkim poważniejszym związkom. W głębi serca wcale jej to nie przeszkadzało. Przez wszystkie te lata, aż po dziś dzień, dzieci były całym jej światem.

Tak właśnie miały się sprawy, gdy cztery lata wcześniej poznała Brandona Leonarda. I być może tym razem wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby nie to, że Brandon był żonaty i nie zabrało jej wiele czasu zorientowanie się, że nie tylko nie zamierzał kiedykolwiek porzucić żony, lecz nawet nie był z nią w separacji. Mówiąc po prostu, Brandon nadal pragnął swojej żony. Podobnie jak kochanki. Ponieważ jednak Meredith jakoś nie widziała się w roli tej ostatniej, zakończyła ten związek bez osłonek oznajmiając, co jest tego przyczyną.

A potem, we wrześniu tego roku, podczas kolejnej wyprawy do Londynu, Patsy zabrała ją na otwarcie wystawy rzeźby w eleganckiej Lardner Gallery na Bond Street.

A tam, pomiędzy Arpami i Brancusimi, Moore'ami, Hepworthami i Giacomettimi, krążył Reed Jamison. Właściciel galerii.

Wysoki, ciemny, przystojny, charyzmatyczny. Najbardziej atrakcyjny mężczyzna, jakiego spotkała od dłuższego

czasu. I najwidoczniej nietrudny do zdobycia. - Uważaj - ostrzegła ją Patsy. A na pytanie, co ma na myśli, Patsy odpowiedziała: - Pilnuj się. On jest cudowny, ale trudny. Kiedy Meredith naciskała, by powiedziała coś więcej, Patsy odparła tylko enigmatycznie: - Niech nas wszystkie Bóg broni przed pogrążonym w zadumie byronicznym bohaterem. Wiesz, duch Heathcliffa...

Meredith tylko częściowo rozumiała, o co jej chodziło, gdy nagle Reed Jamison, zaledwie rzuciwszy na nią okiem, zaczął z zapalem starać się o jej względy.

Początkowo bardzo ją pociągał, toteż szybko uległa jego czarowi. Z czasem jednak, w miarę upływających miesięcy, ów czar zaczął powoli słabnąć. Wkrótce stwierdziła, że jego obecność wręcz ją krępuje i zaczęła stopniowo wycofywać się z tego związku.

Podczas ostatniej wizyty Reeda w Nowym Jorku, w końcu listopada, stwierdziła, iż ostatecznie straciła ochotę na jego towarzystwo. Być może z powodu jego zaborczości i ponurego, kłótliwego nastroju. Co więcej, dostrzegła w nim skłonność do psychicznego znęcania się nad słabszymi, co ją zaalarmowało i ostatecznie zniechęciło.

Dziś wieczór miała zamiar powiedzieć mu, że nie może się dalej z nim widywać, i że ich związek, a raczej to, co z niego zostało, dobiegł kresu. Perspektywa tej rozmowy wcale nie napawała jej radością, wiedziała jednak, że to konieczne.

- Czemu tak się tym przejmujesz? - powiedziała Patsy podczas lunchu. - Zjedz z nim dzisiaj kolację. Nic mu nie mów. Jutro wyjedziemy do Krainy Jezior i do Yorkshire, a stamtąd polecisz do Paryża. Po co się dręczyć, skoro można uniknąć kłopotliwej konfrontacji.

- Muszę mu powiedzieć, że wszystko skończone - odparła Meredith. - Czy nie rozumiesz, że on nie usunie

się z mego życia, lecz będzie mnie niepokoił, krążył wokół mnie, dopóki mu jasno nie powiem, że nie życzę sobie, by przebywał w pobliżu?

- Co poszło nie tak? - spytała Patsy, zaciekawiona.

- To Reed jest „nie taki”. Zbyt skomplikowany facet jak dla mnie.

- Z przykrością muszę powiedzieć: A nie mówiłam! - mruknęła Patsy.

- Wszystko w porządku, Patsy, spokojnie możesz to powiedzieć. Ostrzegaliśmy i muszę przyznać, że miałam co do niego absolutną rację.

Rozmowa potoczyła się w innym kierunku, lecz teraz Meredith nie mogła się powstrzymać, by nie zastanawiać się, czy Patsy przypadkiem nie miała racji także w innej sprawie i czy nie byłoby prościej, gdyby po prostu zjadła z Reedem kolację, nic mu nie mówiąc.

Być może tak właśnie powinienam postąpić, pomyślała, skręcając w Brook Street.

- Dzień dobry pani - przywitał ją umundurowany odźwierny, kiedy weszła na schodki Claridge'a.

- Dzień dobry - odwzajemniła powitanie, uśmiechając się miło i weszła do hotelu.

Jeden z portierów, Martin, także pozdrowił ją, gdy przechodziła przez hall, kierując się w stronę windy.

- Meredith!

Zatrzymała się, sztywniejąc, gdy rozpoznała ten kulturowy męski głos.

Odwracając się powoli, z trudem przywołała na twarz uśmiech i ruszyła w stronę wołającego ją mężczyzny. - Cześć, Reed! Jak się masz? Przyszedłeś chyba trochę za wcześnie, prawda?

Uśmiechnął się i przytulił ją do siebie, obejmując ramieniem jej talię. Pocałował ją w policzek. - Jestem tu na herbacie z przyjaciółmi. - Skinął głową w kierunku saloniku, znajdującego się za hallem, wskazując grupę ludzi,

siedzących przy jednym ze stolików. Właśnie podawano popołudniową herbatę i goście pili ją przy akompaniamencie kwartetu smyczkowego.

- Jak to cudownie widzieć cię znowu, najdroższa - mówił dalej, wpatrując się w jej oczy. - Tęskniłem za tobą, ale o tym mówiłem ci już rano przez telefon. Prawdę mówiąc, właśnie szedłem, aby do ciebie zadzwonić i poprosić cię, byś przyłączyła się do nas, kiedy zobaczyłem, że idziesz do windy. - Mocno ujął jej ramię, prowadząc ją w stronę salonu.

Meredith zatrzymała się jednak, z uporem potrząsając głową. - Reed, nie mogę. To bardzo miło, że mnie zapraszasz, i bardzo ci dziękuję, lecz przed kolacją muszę jeszcze załatwić mnóstwo spraw. - I spoglądając na zegarek, dodała: - Już prawie piąta. Nadal jesteśmy umówieni na szóstą trzydzieści, prawda?

- Oczywiście, chyba że wolałabyś wcześniej. Chodź, usiądź z nami - nalegał, próbując pociągnąć ją za sobą do salonu.

Meredith powiedziała cicho: - Proszę cię, Reed, nie rób sceny. Nie mam czasu na herbatę. Muszę wykonać kilka telefonów i przebrać się do kolacji.

Puścił gwałtownie jej ramię i odsunął się. - Doskonale - powiedział, najwidoczniej urażony. - Nie strój się za bardzo. Miejsce, do którego cię zabieram, trudno uznać za specjalnie wytworne.

- Do zobaczenia wkrótce - mruknęła, obdarzając go fałszywym uśmiechem. Odwróciła się i błyskawicznie wmaszerowała do windy, nie dając mu szansy na powiedzenie choćby słowa więcej.

Kiedy znalazła się w swoim apartamencie, zrzuciła pelerynę i rozpięła żakiet kostiumu, a potem weszła prosto do sypialni. Otworzyła drzwi szafy i przez chwilę zastanawiała się, co wybrać na dzisiejszą kolację. W końcu

zdecydowała się na czarny komplet ze spodniami. Wyjęła go z szafy, żałując w głębi duszy, że los w ogóle zetknął ją z Reedem Jamisonem.

6

Kiedy punktualnie o szóstej trzydzieści rozległo się pukanie do drzwi, od razu wiedziała, kogo się spodziewać.

Przeszła z sypialni do saloniku, zapinając po drodze żakiet i przywołując na twarz miły uśmiech.

- Mam nadzieję, że tym razem nie przyszedłem za wcześnie - powiedział Reed, całując ją w policzek.

- W samą porę - odparła Meredith i odsunęła się, by wpuścić go do salonu. - Wezmę tylko torebkę i płaszcz, i możemy wychodzić.

- Lecz jeszcze o wiele za wcześnie na restaurację, kochanie. Może najpierw napilibyśmy się czegoś tutaj. - Położył płaszcz na fotelu i wolnym krokiem przeszedł na środek pokoju. Omiótłszy salon uważnym spojrzeniem, podszedł do kominka i oparł się o półkę, przybierając malowniczą pozę.

- Dobrze - powiedziała Meredith, zmuszając się do uprzejmości i żałując jednocześnie, że przyszedł po nią na górę. Prawdę mówiąc, oczekiwała, że zatelefonuje z hallu. Nacisnęła przycisk dzwonka i zapytała: - Na co miałbyś ochotę?

- Poproszę o szkoocką z wodą, kochanie.

- Dokąd pójdziemy? - spytała, starając się podtrzymać konwersację.

- O, to niespodzianka! - oświadczył.

- Powiedziałeś, że nie będzie tam zbyt wytwornie.
- Zabieram cię do cudownej chińskiej restauracji, raczej z dala od utartych szlaków. Na pewno ci się spodoba. To miejsce ma specyficzną atmosferę i dają tam najlepsze chińskie jedzenie w całym Londynie. Naprawdę chińskie, nie te wyrefinowane podróbki, jakie można dostać w luksusowych restauracjach West Endu.

- Czekam z niecierpliwością - mruknęła, wychodząc do przedpokoju, by wpuścić kelnera, który właśnie zapukał. Zamówiła drinki i wróciła na swoje miejsce w pobliżu kominka.

Wpatrując się w nią uważnie, Reed zmienił nieco swoją wystudiowaną pozę i pochylając się w jej stronę, oświadczył: - Jestem na ciebie trochę zły, najdroższa.

- Tak? - Meredith spojrzała na niego pytająco. - Dlatego że nie chciałam przyłączyć się do twoich przyjaciół?

- Nie, oczywiście, że nie. To nie ma znaczenia. Lecz jestem zdziwiony, że poszłaś na lunch do Patsy, kiedy ja zaprosiłem cię do siebie.

Zdumienie na moment odjęło Meredith mowę. - Ale, Reed, Patsy i ja mamy wiele spraw do omówienia. Mówiłam ci w zeszłym tygodniu, że jadę do Londynu głównie służbowo, i...

- O, doprawdy? - przerwał jej, uśmiechając się sardonicznie. - Z pewnością mogłaś omówić to z Patsy przez telefon.

- Nie, nie mogłam - odpaliła, w zdenerwowaniu podnosząc głos. Znowu udało mu się ją zirytować. Uświadomiła sobie, że najwidoczniej nadal nie traktował jej pracy poważnie. Powstrzymując odruch zniecierpliwienia, mówiła dalej już znacznie spokojniejszym tonem: - Musiałeśmy porozmawiać o interesach, a poza tym bardzo chciałam się z nią zobaczyć.

- Bardziej niż ze mną...

- Reed, nie zachowuj się...

Przerwało im głośne pukanie do drzwi i po chwili kelner wniósł tacę z drinkami. Meredith wstała, podziękowała mu i wręczyła kilka monet, które trzymała w tym celu w pustej popielniczce. Podała drinka Reedowi, po czym usadowiła się ze swoim na sofie.

- Na zdrowie - powiedział, pociągając łyk ze swojej szklaneczki.

- Na zdrowie. - Meredith tylko dotknęła ustami kieliszka i odstawiła go na stolik. Nie miała dziś ochoty na alkohol.

Reed znowu popatrzył na nią, tym razem z uśmiechem.

Poczuła ulgę, że kłopotliwy moment minął. Uderzyło ją, że nie wyglądał już na tak ponurego - najwidoczniej humor poprawił mu się od chwili, gdy spotkali się w hallu na dole.

- Czy powiedziałaś Patsy, że masz zamiar przenieść się do Londynu za kilka miesięcy? - spytał.

Meredith spojrzała na niego, zdziwiona. - Skąd taki wniosek, Reed? Nie mam zamiaru dokądkolwiek się przenieść.

- Kiedy byłem w Nowym Jorku w listopadzie, wyraźnie dałaś mi do zrozumienia, że chciałabyś zamieszkać w Londynie.

- Nic podobnego.

- Och, Meredith, jak możesz tak mówić! Przecież właściwie ci się oświadczyłem i powiedziałem, że trudno mi dalej tak to ciągnąć, że nie możemy być z sobą, jeżeli dzieli nas ocean. Wyrziliem się całkiem jasno: chcę mieć cię tutaj. Bardzo chcę. A ty najwyraźniej nie miałaś nic przeciwko temu.

- To nieprawda.

- Prawda.

- Wyobraziłeś to sobie, Reed. Nigdy w życiu nie dopuściłabym, żebyś sobie pomyślał coś podobnego.

Przez chwilę wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, a jego ciemne oczy błyszczały gniewem. - Dokładnie pamiętam, jak ci mówiłem, że potrzebuję cię tu, w Londynie. A ty zgodziłaś się przyjechać.

Meredith zupełnie nie mogła sobie przypomnieć niczego takiego i już miała mu o tym powiedzieć, kiedy podszedł i usiadł obok niej na sofie.

- Co się stało, najdroższa? Dlaczego tak się zachowujesz? - zapytał, przysuwając się bliżej i obejmując ją ramieniem. - Nie rób trudności, moja kochana, wiesz przecież, co do ciebie czuję. Jesteś mi potrzebna, Meredith, i jesteś mi potrzebna tutaj. Nie w Nowym Jorku, lecz żyjąc ze mną tu, w Londynie. Powiedziałem ci o tym, gdy byłem w Stanach i z tego, co zrozumiałem, miałaś pozbyć się firmy najszybciej, jak tylko zdołasz i zamieszkać tu ze mną. Na stałe.

- Reed, najwidoczniej zaszło jakieś nieporozumienie. Nie wiem, jak mogło do tego dojść... lecz najwidoczniej tak właśnie się stało. Wcale nie mam zamiaru pozbywać się firmy.

- Więc nie rób tego, kochanie. Jeżeli chcesz pracować, pracuj, choć nie jest to konieczne. Potrafię zapewnić nam utrzymanie, wiesz o tym. Zapomnij o galerii, to tylko hobby. Mam duży prywatny dochód z trustu. Monty może sobie dziedziczyć po staruszku tytuł, kiedy ten umrze, jest przecież najstarszym synem, ale to mnie dostały się pieniądze matki.

Meredith siedziała skonsternowana, wpatrując się w niego bez słowa.

Nagle, niespodziewanie, Reed zdecydowanie przyciągnął ją do siebie. Był silnym, wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, toteż z łatwością trzymał ją w mocnym uścisku, przyciskając usta do jej warg.

Gdy w końcu udało jej się trochę go odepchnąć,

podciągnęła się szybko na sofie, starając się uwolnić z jego ramion.

Niespodziewanie Reed puścił ją równie nagle, jak przed chwilą wziął w ramiona. Spoglądając na nią dziwnie, powiedział lodowatym tonem: - Dlaczego odsuwasz się ode mnie tak gwałtownie, niczym od trędowatego? O co chodzi?

Meredith przygryzła wargę, lecz nie odezwała się. Potem szybko wstała, podeszła do okna i stała tam, odwrócona do niego plecami.

Lodowata cisza wypełniła pokój.

Meredith cała się trzęsła w środku, pragnęła mieć to wreszcie za sobą. Skończyć z nim. Lecz on najwidoczniej nie zamierzał ułatwić jej zadania; wręcz przeciwnie, wymyślał rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły, co tylko utrudniało sprawę.

Po chwili, kiedy poczuła, że znowu nad sobą panuje, odwróciła się do niego i odpowiedziała powoli, starając się, by zabrzmiało to najdelikatniej, jak tylko umiała: - Posłuchaj, Reed... pomiędzy nami nie układa się już tak dobrze jak kiedyś. I to od wielu miesięcy.

- Jak w ogóle możesz tak mówić! W Nowym Jorku było wspaniale, i to zaledwie miesiąc temu, o ile mnie pamięć nie myli.

Meredith potrząsnęła głową, coraz bardziej zmieszana. Nie chciała sprawić mu więcej przykrości, niż to konieczne, wiedziała jednak, że musi postawić sprawę jasno. - Wcale nie było wspaniale, Reed, przynajmniej nie dla mnie. Zdałam sobie wówczas sprawę, jak bardzo się różnimy. Zupełnie do siebie nie pasujemy, ani trochę. Przestałam czuć się przy tobie swobodnie, a to znaczy, że nasz związek znalazł się na równi pochyłej, że nic z tego nie będzie.

- To nieprawda, wiesz o tym. To ta odległość tak źle wpływa na nasze uczucia. Gdybyś tu zamieszkała, wszystko

zaczęłoby wyglądać inaczej. Proszę cię, przenieś się do Londynu i zamieszkaj ze mną.

- Reed, właśnie usiłuję ci powiedzieć, że - przynajmniej jeśli chodzi o mnie - nie widzę dla nas wspólnej przyszłości. A poza tym jestem tak pochłonięta pracą...

- Przestań, Meredith. Nie wierzę ani przez chwilę, że naprawdę jesteś bez reszty kobietą interesu, za jaką chciałabyś uchodzić. Nie mógłbym pokochać tego typu kobiety, a ciebie kocham.

Meredith milczała.

- Kocham cię - powtórzył.

- Och, Reed, tak mi przykro... lecz ja po prostu nie odwzajemniam twoich uczuć.

- Twoje zachowanie wskazywało raczej na coś zupełnie innego - powiedział na pozór spokojnie, lecz oczy mu się zwęziły.

- To prawda, szalałam za tobą zeszłej jesieni, przyznaję. Lecz to była tylko namiętność, nic silniejszego ani bardziej trwałego. Nie mogę zobowiązać się wobec ciebie do czegokolwiek, po prostu nie mogę.

- Tak dobrze nam było ze sobą, Meredith. Dlaczego mówisz mi to wszystko?

Meredith wzięła głęboki oddech, zdecydowana doprowadzić sprawę do końca. - Bardzo szybko zdałam sobie sprawę, że nie traktujesz mojego życia poważnie. Ani tego osobistego, z dziećmi, a już na pewno nie mojej pracy. Nie wyrzeknę się dla ciebie dzieci ani nikogo innego, skoro już o tym mowa, i z pewnością nie zrezygnuję z pracy. Zbyt wiele dla mnie znaczy. Poświęciłam jej tak dużo czasu i wysiłku.

- Nie zachowujesz się tak, jak tego po tobie oczekiwałem, Meredith - powiedział głosem zimnym i pełnym dezaprobaty. - W ogóle nie. Myślałem, że jesteś inna.

Uważałem cię za staromodną kobietę, hołdującą

tradycyjnym wartościom. Co za pomyłka z mojej strony. Nie mogę uwierzyć, że pomyliłem się aż tak bardzo. A może specjalnie wprowadziłaś mnie w błąd - stwierdził, unosząc ciemną brew.

Powoli, siłąc się na spokój, Meredith odpowiedziała: - Wiesz, właśnie poruszyłeś bardzo istotną kwestię. Czuję ciężar twoich oczekiwań i wiem, że po prostu nie potrafię im sprostać. W listopadzie zaczęłam zdawać sobie sprawę, że ty naprawdę wierzysz, iż jesteś dla mnie najważniejszy. Obawiam się, że tak nie jest. Właśnie dlatego chciałam się z tobą dzisiaj zobaczyć - żeby powiedzieć ci, co czuję i zakończyć naszą znajomość.

Reeda Jamisona po prostu zatkało. W swoim czterdziestojednoletnim życiu ani razu nie został odrzucony przez kobietę. To zawsze on kończył czy zaczynał romans, kontrolując, manipulując i pociągając za sznurki, by sprawy przybrały obrót, jaki mu odpowiadał.

Bez słowa wpatrywał się w Meredith. Była jedyną kobietą, która zdołała wyprowadzić go w pole. Poczul zalewającą go falę gniewu. Zerwał się na nogi i spoglądając jej prosto w twarz, wykrzyknął: - Jestem bardzo zadowolony, że wreszcie wiem, jaką kobietą naprawdę jesteś! Bo mógłbym popełnić błąd i ożenić się z tobą!

Przebiegł przez salon, złapał swój płaszcz i wybiegł, zartaszując za sobą drzwi z taką siłą, że zawieszony na suficie żyrandol zagrzecotał i zakołysał się.

Meredith podbiegła do drzwi i zamknęła je na klucz, a potem oparła się o nie i stała tak przez kilka sekund, drżąc. W końcu uspokoiła się na tyle, by podejść do biurka, usiąść przy nim i wybrać numer Patsy. Telefon dzwonił i dzwonił. Kiedy już miała zrezygnować, jej przyjaciółka podniosła wreszcie słuchawkę.

- Patsy, to ja. Reed tu był i powiedziałam mu, że między nami wszystko skończone. Poszedł sobie... a właściwie wymaszerował, biały z wściekłości.

- I dobrze, co za ulga. To znaczy, że w końcu mu powiedziałaś. Nic dziwnego, że wyszedł wściekły. Nie przywykł, by się go tak bezceremonialnie pozbywano. To właśnie część problemu, wiesz. Kobiety zawsze go psuły i teraz wyobraża sobie, że jest istnym darem niebios dla każdej istoty, która nosi spódnicę.

- Wiem, o co ci chodzi. To typowa męska, szowinistyczna świnia, że posłużę się tym starym, niemodnym określeniem. Bardzo tu pasuje. Kiedy ostatnio był u mnie w Nowym Jorku, odkryłam, że on nie traktuje poważnie ani mojej pracy, ani mojego życia. Jest takim egocentrykiem, że nie potrafi zrozumieć, dlaczego natychmiast nie rzucę wszystkiego, aby zamieszkać z nim w Londynie. Powiedział, że chciał się ze mną ożenić.

- Oświadczył się! Dobry Boże! Muszę przyznać, że najwidoczniej zrobiłaś na nim wielkie wrażenie. Od czasu rozwodu z Tiną Longdon był z niego prawdziwy wolny strzelec.

- Nie jestem pewna, czy wiem, co masz na myśli.

- Chodzi o ten rodzaj faceta, z nastawieniem... no wiesz, typu... „Kochaj mnie, najdroższa, ale na moich warunkach”. A potem: „Dziękuję za wszystko, żegnaj”. Wolni strzelcy, tak ich tu nazywamy. Zachowują się niczym kierowcy, którzy uciekają po spowodowaniu wypadku. Znam kilka kobiet, które w ten sposób potraktował.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Ależ mówiłam ci, a przynajmniej próbowałam cię ostrzec - najlepiej, jak potrafiłam. Powiedziałam ci, że to trudny facet.

- Wspomniałaś tylko, że to posepny byroniczny bohater, czy coś takiego, a ja nigdy tak do końca nie zrozumiałam, co miałaś na myśli.

- Och, chodzi o rolę, którą od lat przywykł odgrywać. W gruncie rzeczy jest to po prostu poza, lecz okazała się nadzwyczaj skuteczna i zapewniła mu duże sukcesy w

kontaktach z kobietami. Tak jakby w ogóle potrzebował pozy. Pomijając już jego wygląd, jest przecież na ogół czarujący, pomimo tego sposobu zachowania - jakby tlił się w nim jakiś ogień.

- Masz zupełną rację. Lecz czyż nie dlatego właśnie kobiety tak za nim szaleją?

- O tak, tak sędzę. Spójrzmy prawdzie w oczy, na pewno wiele z nich. To płomiennie spojrzenie, ten uduchowiony wyraz twarzy, zmienne nastroje - to wszystko może się podobać. Na świecie jest mnóstwo kobiet, gotowych natychmiast zakochać się w cierpiącym, udręczonym Heathcliffie. Choćby po to, by spróbować go zmienić, uczynić szczęśliwym. - Przerwała na chwilę, po czym powiedziała: - Czyż nie była to jedna z cech, które tak cię w nim pociągały?

- Nie - odparła szybko Meredith. - Prawdę mówiąc, on dopiero w listopadzie stał się taki zmienny i ponury. Nie masz pojęcia, jak mnie to irytowało!

Patsy roześmiała się. - Wyobrażam sobie! Najważniejsze, że nie wydajesz się specjalnie cierpieć z powodu tego zerwania.

Meredith także się roześmiała. - Bo nie cierpię. Oczywiście, zranienie czyichś uczuć na pewno nie sprawiło mi przyjemności, lecz trzeba było to zrobić. Musiałam mu powiedzieć. Czułam, że muszę załatwić tę sprawę raz na zawsze.

- I pewnie tak właśnie zrobiłaś.

- Uważam, że to w porządku wobec Reeda. Powinien dowiedzieć się, co czuję, i to im szybciej, tym lepiej. Trzeba było oczyścić atmosferę, zanim sprawy jeszcze bardziej się skomplikują. Tego rodzaju sytuacje potrafią przysporzyć wiele cierpienia.

- Jakbym tego nie widziała! - stwierdziła Patsy.

- Tony do dziś ma do mnie żal o rozwód. Oczywiście, to ja jestem wszystkiemu winna. Posłuchaj, a może

przyszłaś do mnie na kolację? Mogłybyśmy też wyjść gdzieś razem, jeżeli nie chcesz być dzisiaj sama...

- To bardzo miło z twojej strony, lecz wolałabym nie ruszać się już dziś z hotelu. Zamówię kolację do pokoju i spakuję się. Wspomniałaś, że wpadniesz po mnie o szóstej, prawda?

- Tak. Przepraszam za tę porę, ale musimy wyjechać wcześniej. Czekają nas cztery godziny jazdy, może trzy i pół, jeżeli nie będzie zbyt dużego ruchu. Spędzimy parę godzin w Keswick, a potem pojedziemy do Ripon. To i tak ambitny plan, jak na jeden dzień. Być może będziemy musiały zanoćować w Ripon.

- Nie ma problemu. I, Patsy?

- Tak?

- Nie sądzisz, że zbyt mocno zraniłam jego uczucia, prawda?

- Mogło tak być. Nie wolno ci nie doceniać efektu, jaki wywarł na nim fakt, że to ty z nim zerwałaś.

- Po prostu zraniłam jego miłość własną, i tyle.

- O, bez wątpienia, jestem tego pewna. Myślę też, że nasz Reed, ten cudowny playboy, naprawdę się w tobie zakochał. Zawsze tak uważałam. Ale cóż można zrobić... w końcu i on napotkał swoje Waterloo.

7

Meredith nie mogła zasnąć.

Przez dłuższy czas przewracała się w łóżku, wreszcie zrezygnowana wstała, włożyła ciepły wełniany szlafrok i przeniosła się na sofę w salonie. Jej umysł pracował gorączkowo.

Ponieważ nie zaciągnęła wcześniej ciężkich pluszowych zasłon, światło księżycy przenikało przez cienkie muślinowe firanki, kładąc się na meblach delikatnym, srebrzystym blaskiem, przydając pokojowi atmosfery spokoju.

Meredith oparła się o jedwabne poduszki sofy, myśląc o Reedzie. O tym, w jak nieprzyjemny sposób się rozstali i jaka była niemądra, że w ogóle się z nim związała. Miała już przecież czterdzieści cztery lata - powinna lepiej się orientować.

Stanowczo nie miała szczęścia do mężczyzn. Nigdy.

Nie, to nie była cała prawda.

Był pewien mężczyzna. Jedyny. Jakby stworzony dla niej. Teraz już nie żył. Odszedł tak młodo. I tak bardzo nie w porę... Wszyscy to mówili, nawet nie podejrzewając, jak dużo mają racji.

Mężczyzna umierający w wieku trzydziestu sześciu lat to bardzo brzydki kawał ze strony Boga, nieprawdaż?

Meredith tysiące razy zadawała już sobie to pytanie, starając się znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla tej strasznej i tak przedwczesnej śmierci. Nie znalazła niczego. Nie było żadnego usprawiedliwienia. W ogóle żadnego.

Pozostała jej tylko pustka.

Oczywiście, była jeszcze Cat, wówczas mały berbeć, i Amelia, biedna Amelia, które dzieliły z nią pustkę i smutek. Jak bardzo go opłakiwały... w nieskończoność... ona i Amelia. Jego kobiety. Kobiety, które go kochały.

Zawsze będą go opłakiwała, pomyślała Meredith, czując, jak znajomy smutek znowu wypełnia jej serce. Och, Jack, dlaczego odszedłeś? Ileż to razy zadawała sobie to pytanie? Nigdy nie uzyskała na nie odpowiedzi. Ani razu podczas tych dwudziestu dwóch lat.

I ileż to razy zadawała sobie pytanie, kiedy wreszcie spotka mężczyznę, który byłby do niego podobny? Teraz wiedziała już, że prawdopodobnie nie nastąpi to nigdy, gdyż mężczyzn w rodzaju Jacka było bardzo niewiele. I

wszyscy byli już zajęci. Kiedy Jack przestał być wolny, miał zaledwie dwadzieścia dwa lata. Poślubił wówczas swoją młodzieńczą miłość. Amelię. A potem pewnego strasznego dnia jego młoda żona spadła z konia. Miała dwadzieścia pięć lat i była w ciąży. W wyniku upadku nie tylko straciła dziecko, ale została kaleką, przykutą do wózka na resztę swoich dni. Lecz on ją kochał; zawsze będzie ją kochał i zajmował się nią - tak właśnie powiedział Meredith, a ona zrozumiała. Kochała Amelię, ta zaś kochała ją i Jacka, a także małą Cat. Amelia udzieliła im swego błogosławieństwa z owym właściwym sobie spokojem, wdzięczna za miłość, troskę i lojalność, które jej ofiarowali.

Jack.

Jasnowłosa, niebieskooki, opalony. Taki szybki, zwinny i energiczny. Zawsze pełen humoru, żartobliwych przechwałek, śmiechu i życia. Nic dziwnego, że zakochała się w nim natychmiast, gdy tylko go zobaczyła. Prawdziwy *coup de foudre*.

Tak dawno temu.

W maju 1969.

Właśnie skończyła osiemnaście lat.

Meredith zamknęła oczy. Natychmiast zobaczyła jego twarz. Pamiętała dokładnie, jakie myśli krążyły jej po głowie, kiedy tak stała, wpatrując się w niego, niezdolna się poruszyć pod hipnotycznym spojrzeniem tych niebieskich oczu.

Co za piękna męska twarz, myślała wówczas, jakie zmysłowe usta i te niezwykle oczy. Taki śliczny błękit. Niczym skrawki nieba, tak właśnie, jego oczy są niczym skrawki letniego nieba.

Dziś w nocy, tak wiele lat później, Meredith zobaczyła siebie taką, jaka była tego majowego popołudnia... obraz ich trojga przesunął się przed jej oczami, tak wyrazisty i żywy... ona, Jack i Amelia.

Minęły dziesiątki lat.

Poczuła, że znowu cofa się w czasie... z powrotem w odległą przeszłość.

- Czym mogę służyć? - zapytał uprzejmie młody człowiek, wstając ze stopni, na których siedział, i zdejmując słoneczne okulary w rogowej oprawce, by na nią spojrzeć.

- Szukam pana Silvera - odparła, zeskakując i rower, a właściwie niemal z niego spadając. Nagle poczuła się bardzo zmieszana, niemal półprzytomna, stając przed tym przystojnym mężczyzną, tak zadbanym i elegancko, choć swobodnie ubranym w szare spodnie, jasnoniebieską koszulę i ciemnoniebieski kaszmirowy sweter.

Mężczyzna podszedł do niej, wyciągając na powitanie dłoni.

- A zatem już go znalazłaś - oznajmił. - Nazywam się Silver.

- Pan Jack Silver? - spytała, ujmując jego dłoń.

Przytaknęła. - W samej rzeczy. Jedyny, który żyje i wierzga. Przynajmniej, o ile mi wiadomo. Cała reszta znajduje się tam - wskazała ręką za siebie.

Podążyła za jego spojrzeniem i spostrzegła mały ogrodzony cmentarz, położony na prawo od kępy drzew. - Ma pan prywatny cmentarz? - spytała z lekkim przerażeniem w głosie.

Skinął głową, a potem spojrzął na nią dziwnie badawczo i spytał ponownie: - Czym mogę służyć?

- Przyszłam w sprawie ogłoszenia w gazecie... tego o recepcjonistce.

- Ach tak, oczywiście. A z kim mam przyjemność...?

- Nazywam się Meredith Stratton.

- No cóż, witamy, Meredith Stratton. Miło mi cię poznać! - oświadczył, wyciągając do niej dłoń raz jeszcze. - Naprawdę, bardzo mi miło.

Ujęła jego dłoń i uściśniła ją raz jeszcze.

Nie puścił jej ręki, lecz uśmiechnął się do niej szerokim, ciepłym uśmiechem, ukazującym piękne zęby, tak bardzo białe na tle opalonej twarzy.

Z przyjemnością odwzajemniła uśmiech.

Zaczął się śmiać, ot tak, bez żadnego oczywistego powodu.

Śmiała się razem z nim, nagle oczarowana tym mężczyzną, którego nie widziała nigdy dotąd.

Nadal trzymając jej dłoń, poprowadził ją wraz z rowem, którego kurczowo się trzymała, do frontowych stopni, gdzie przed chwilą siedział.

- Wejdz, proszę. Obawiam się jednak, że swój środek transportu będziesz musiała zostawić tutaj - powiedział, uśmiechając się.

Meredith skinęła głową, rozglądając się wokół niespokojnie, a potem wyjęła dłoń z jego uścisku i oparła rower o balustradę ganku.

- Masz ładny rower.

- Nie jest mój, pożyczyłam go, gdyż był to jedyny sposób, by się tu dostać.

- Skąd przyjechałaś?

- Z New Preston. Mieszkamy nad jeziorem Wanamaug. - Odwróciła wzrok i spojrzała na położone w dole jezioro, oddzielone od nich trawnikami i ogrodami. - Macie tu ładne jezioro - mruknęła.

- To jezioro Silver - poinformował ją. - Choć ma ono też swoją indiańską nazwę, nieużywaną jednak od kilku lat. Właściwie od kilkuset lat. Kiedyś nazywano je Wap-paconaca, lecz jeden z moich przodków kupił tę ziemię wraz z jeziorem i odtąd miejscowa ludność zaczęła nazywać je jeziorem Silverów. Jak widać, nazwa przyjęła się.

A to jest, oczywiście, gospoda Silver Lake, wybudowana w 1832 przez tego samego przodka... sto sześćdziesiąt trzy lata temu.

Meredith przyjrzała się gospodzie. - To piękna stara budowla.

- Chodź, wejdźmy do środka. Chciałbym przedstawić cię Amelii.

Gdy tylko przestąpiła próg, od razu zdała sobie sprawę, jak wyjątkowe było to miejsce. Ściany, pomalowane na kolor zamglonego różu, przydawały wejściowemu hallowi ciepła, doskonale wypolerowane podłogi błyszcząły niczym ciemne lustra, zaś stara rzeźbiona skrzynia, dwa krzesła z wysokim oparciem i małe biurko już na pierwszy rzut oka zdradzały szlachetne pochodzenie i niemałą wartość, widoczne nawet dla jej niewprawnego w ocenianiu antyków oka.

Wszędzie stały wysokie kryształowe wazony pełne świeżych kwiatów i chińskie, porcelanowe czary, w których także znajdowały się rośliny. Ich pomieszane zapachy oszalały ją... zapach mimozy, hiacyntów, narcyzów, zmieszany z wonią wosku, cytryn, płatków róż i dojrziałych jabłek, gotujących się gdzieś na piecu.

Wszystko, co dotąd zobaczyła, napawało ją lękiem. Lecz poza niejasną obawą odczuwała także dziwne podniecenie, rodzaj przyjemności, jakiej nie zaznała nigdy dotąd. Zacisnęła kciuki, modląc się, by otrzymać tę pracę. Kiedy przyglądała się małemu antycznemu biurku, na którym stała jedynie porcelanowa lampa z jedwabnym abażurem i telefon, nie mogła powstrzymać się, by nie myśleć o tym, jak przyjemnie byłoby siedzieć tu, w hallu, być recepcjonistką i witać gości. Wydawało jej się to o wiele bardziej podniecające, niż praca opiekunki do dzieci zajmującej się nimi przez cały dzień, choć przecież lubiła dzieci.

Jack skierował ją w stronę małego korytarzyka i otworzył drzwi, znajdujące się w jego końcu. Za biurkiem, tyłem do drzwi, siedziała kobieta i wyglądała przez okno.

- Amelio - powiedział Jack. - Wreszcie zgłosiła się kandydatka. Na recepcjonistkę.

Kobieta odwróciła się powoli i Meredith natychmiast zdała sobie sprawę, że siedzi ona na wózku inwalidzkim. Uroda kobiety zaparła jej dech w piersiach. Ciemne włosy, rozdzielone pośrodku, otaczały bladą twarz w kształcie serca. Wspaniałe, wysokie kości policzkowe, dołeczki w policzkach i zmysłowe usta były i tak niczym w porównaniu z cudownymi, intensywnie zielonymi oczami pod łukami doskonale wykrojonych, czarnych brwi. Oto bohaterka *Przeminęło z wiatrem*, pomyślała Meredith.

- Jakoś dziwnie wyglądasz - zapytała Amelia. - Czy dobrze się czujesz?

Meredith zdała sobie sprawę, że od dłuższej chwili wpatruje się w kobietę. - Och tak, dziękuję, wszystko w porządku. Przepraszam, że tak się na panią gapiłam. - A potem, ponieważ była tak młoda i prostolinijna, dodała bez wahania: - Jest pani taka piękna, zupełnie jak Vivien Leigh w *Przeminęło z wiatrem*. Chyba wszyscy to pani mówią?

- Nie wszyscy. Dziękuję ci bardzo za tak miły komplement - odparła Amelia z uśmiechem, spoglądając z rozbawieniem na Jacka.

Jack odchrząknął i zdecydował się przejąć inicjatywę.

- Amelio, kochanie, pozwól, że ci przedstawię pannę Meredith Stratton. Panno Stratton, oto moja żona, Amelia.

Meredith przeszła przez pokój po wypolerowanej, drewnianej podłodze i ujęła smukłą dłoń kobiety, a potem odsunęła się, nadal poruszona jej doskonałą urodą.

- Proszę usiąść, panno Stratton - mruknęła Amelia.
- Dziękuję. Meredith opadła na krzesło, przyglądając fałdy bawełnianej spódniczki. - Czułabym się lepiej, gdyby zwracała się pani do mnie po imieniu, pani Silver. Nie jestem przyzwyczajona do tego „panno Stratton”.

I znowu delikatny uśmiech pojawił się na ślicznych ustach Amelii. - Z przyjemnością będę zwracała się do ciebie po imieniu.

Jack, który ulokował się na parapecie po prawej stronie żony, oświadczył: - Meredith jest z New Preston. A przynajmniej stamtąd przyjechała dziś do nas na rowerze. - A potem dodał, zwracając się już bezpośrednio do Meredith: - Ale tak w ogóle, przybywasz chyba z Australii, prawda?

Skinęła głową. - Z Sydney. Skąd pan wie? Ach, tak, mój straszny akcent, to o to chodzi, prawda?

- Nie jest wcale straszny - powiedziała Amelia. - Lecz rzeczywiście mówisz lekko przez nos, tak jak Australijczycy. Powiedz mi, od kiedy mieszkasz w Connecticut?

- W lipcu minie rok, jak tu przyjechałam. W Sydney pracowałam u pewnej amerykańskiej rodziny, Paulsonów, jako opiekunka do dzieci. Pan Paulson pracuje w agencji reklamowej. Gdy wyjeżdżali z Australii, zgodzili się zabrać mnie ze sobą.

- A teraz chcesz od nich odejść. Czy mogę zapytać dlaczego? - dociekał Jack.

- Chciałabym zmienić pracę, lecz chodzi nie tylko o to. Pan Paulson został znów przeniesiony, tym razem do Afryki Południowej. Cała rodzina wkrótce wyjedzie do Johannesburga. Prosili, bym z nimi pojechała, ale ja wolę zostać w Ameryce. Nie chciałabym opuszczać Connecticut. To najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam.

- Ale co z twoją rodziną? Z rodzicami w Australii? Co oni o tym sądzą? - spytała Amelia, najwidoczniej zaintrygowana.

- No cóż, oni nie... to znaczy... widzi pani, oni... nie żyją. Zginęli... tak, właśnie... zginęli w katastrofie samochodowej, gdy miałam dziesięć lat. - Meredith skinęła głową, jakby przytakując samej sobie. - Tak, kiedy miałam dziesięć lat - powtórzyła.

- Och, moje biedactwo - powiedziała Amelia, a jej twarz wyrażała teraz współczucie. - Cóż to za smutna historia i jakie nieszczęście dla ciebie. Nie masz tam innej rodziny? Jakichś krewnych?

- Nie, nie mam. Już nikogo.

- Ależ to musi być dla ciebie okropne, być samą na świecie. - Odwróciła fotel, by spojrzeć na męża. - Czyż to nie smutne, Jack?

- Tak, to prawda.

- Ile masz lat? - spytała Amelia, uśmiechając się do niej ciepło, jakby w ten sposób pragnęła dodać jej odwagi.

- Osiemnaście. Na początku maja skończyłam osiemnaście.

- Czy kiedykolwiek pracowałaś już jako recepcjonistka? Lub w ogóle w hotelu?

- Nie, ale na ogół dobrze sobie radzę z ludźmi. A przynajmniej tak twierdzi pani Paulson. A poza tym pomagałam jej przez dwa lata przy różnej papierkowej robocie. Książeczka czekowa, rachunki domowe i temu podobne. Nauczyła mnie nawet nieco księgowości. Powiedziała, że mam do tego smykałkę. Może pan do niej zadzwonić, kiedy tylko pan zechce. Obiecała także, że da mi referencje na piśmie. Mają być gotowe dziś po południu. Mogłabym przywieźć je wieczorem, jeśli pan sobie życzy.

- Chyba nie będzie takiej potrzeby - powiedziała wesoło Amelia, a potem zwróciła się do Jacka: - Myślę, że powinieneś od razu porozmawiać z panią Paulson. Nie będziesz miała nic przeciwko temu, Meredith, że zadzwonimy do niej teraz, kiedy tu jesteś?

- Och, nie. Wiem, że jest teraz w domu, zajęta pakowaniem. Myślę, że nawet spodziewa się pańskiego telefonu.

- Jaki to numer, Meredith? - spytał Jack, podchodząc do biurka.

Podowała mu numer i w chwilę później rozmawiał już z panią Paulson, lub raczej słuchał, usiłując wtrącić od czasu do czasu choć słowo.

Amelia siedziała spokojnie, czekając na zakończenie rozmowy.

Meredith zacisnęła dłonie, nagle spięta i niespokojna. Martwiła się, choć wiedziała, że pani Paulson z pewnością nie powie o niej nic złego. Jednak zbyt mocno pragnęła dostać tę pracę, by się nie niepokoić.

Kiedy Jack w końcu odłożył słuchawkę, powiedział do Meredith: - Bardzo cię chwaliła, mówiła, że jesteś mądrą dziewczyną, pilną, uczciwą i pracowitą. Podobno bardzo dobrze opiekowałaś się jej dziećmi.

Meredith rozpromieniła się, spoglądając wyczekująco na Amelię. Ta zaś powiedziała: - Dobrze wiedzieć, że pani Paulson ma o tobie tak dobre zdanie.

- Tak. Powiedziała nawet, że przyjdzie się z państwem zobaczyć - dodała, niepytana. - Chciałaby państwa poznać.

Jack podszedł do parapetu, usiadł na nim i mówił dalej: - Pani Paulson bardzo żałuje, że Meredith odchodzi, ale rozumie jej motywy. Uważa też, że jest stworzona do czegoś lepszego. - A potem, zwracając się tym razem bezpośrednio do Meredith, dodał: - Mówi, że doskonale radziłaś sobie z dziećmi, najwidoczniej cię kochają.

- Ja także je kocham - odparła Meredith. - I będę za nimi tęskniła, lecz nie chcę wyjeżdżać do Południowej Afryki.

- Nie mogę powiedzieć, bym winiła cię za to, że wolisz zostać w Connecticut - powiedziała cicho Amelia. - Tak tu pięknie, zwłaszcza wzgórze Litchfield nie mają sobie równych. A zatem, kiedy mogłabyś zacząć?

- W przyszłym tygodniu.

Meredith wyprostowała się na krześle, spoglądając to na Amelię, to na Jacka. - Czy to znaczy, że dostałam tę pracę?

- Tak - powiedziała Amelia. - Pani Paulson wystawiła ci doskonale świadectwo, i to wystarczy. Nie sądzę, abyśmy znaleźli kogoś lepszego od ciebie, prawda, Jack?

- Tak, zgadzam się. Wiesz, jest tylko jeden problem.

- Jaki, kochanie?

- Gdzie Meredith będzie mieszkała?

Słyszając to, Meredith popatrzyła zaskoczona na Silverów. - Jak to, gdzie? W gospodzie! - krzyknęła. - W ogłoszeniu było napisane: *Wyżywienie i mieszkanie na miejscu, jeśli potrzeba*. Gdyby nie to, w ogóle nie starałabym się o tę posadę. To właśnie tak spodobało się pani Paulson... że będę mogła mieszkać tu z wami, w gospodzie. Nie będę zdana wyłącznie na siebie.

- Mamy co prawda wolny pokój, ale na poddaszu - wyjaśnił Jack. - Nie mogę powiedzieć, żeby był zbyt przytulny. Jedyne porządne pokoje dla personelu zajmuje pomocnik zarządcy. Prawdę mówiąc, nie mamy tu zbyt wielu służbowych pomieszczeń.

- Może być na poddaszu - powiedziała Meredith, obawiając się, że praca, której tak pragnęła, może przesliznąć się jej między palcami. - Naprawdę, nie przeszkadza mi to.

- Mieliśmy nadzieję, że uda nam się znaleźć kogoś, kto mieszkałby w pobliżu i przychodził tylko na dzień -

uśmiechnęła się Amelia. - Lecz nikt się nie zgłosił, mimo że ogłoszenie wisiało tam już od kilku tygodni. Oczywiście, dopóki nie zjawiała się ty. - Amelia obdarzyła Jacka długim, badawczym spojrzeniem.

- Być może moglibyśmy nieco poprawić wygląd tego pokoju - pomalować ściany, położyć tapety. Można by też wstawić tam kilka ładnych mebli, słowem dopieścić nieco to pomieszczenie. W końcu sam pokój jest dość obszerny.

- Sam nie wiem - zaczął Jack, lecz umilkł, dostrzegłszy przygnębioną minę Meredith. Wstał energicznie, najwidoczniej podjąwszy jakąś decyzję. - Pozwól, że ci go pokażę. - I zwracając się do żony, dodał: - Uważam, że powinniśmy pozostawić Meredith ocenę pokoju. Niech sama powie, co o tym sądzi.

- Masz rację. Idź z Jackiem, Meredith. Zaprowadzi cię na ostatnie piętro.

W chwilę później byli już na poddaszu. Meredith z ulgą zauważyła, że pokój ma dwa mansardowe okna i rzeczywiście jest dość obszerny. Obeszła go dookoła, a potem powiedziała do Jacka Silvera: - Ależ on mi się bardzo podoba, jest taki oryginalny, niezwykły. Szybko postaram się, by było w nim naprawdę miło i przytulnie. Proszę się nie martwić, na pewno będzie mi tu bardzo dobrze.

Jack tylko skinął głową. Wrócili na dół.

- No cóż, i co o tym myślisz, moja droga? - spytała Amelia, gdy weszli. Uniosła pytająco jedną brew.

- Pokój jest niezwykły, proszę pani, lecz bardzo mi odpowiada. Na pewno potrafię się w nim wygodnie urządzić. Czy chciałaby pani, abym zaczęła w przyszłym tygodniu?

- Gdybyś mogła. Naprawdę cieszę się, że będziesz z nami, Meredith.

- Ja także. Przyniosę te referencje.

- Jeśli chcesz. A teraz muszę cię pożegnać - powiedziała, wsuwając się za biurko. - Pora wracać do tej nudnej papierkowej roboty, która ostatnio zwała mi się na głowę.

Jack i Meredith wyszli razem na ganek. - Teraz w gospodzie nie ma zbyt wielu gości - powiedział Jack - lecz sytuacja z pewnością zmieni się za mniej więcej tydzień. Jak myślisz, którego dnia mogłabyś zacząć?

- W poniedziałek. To tylko cztery dni. Czy tak będzie dobrze?

- Z pewnością. Zdejmujesz mi z ramion wielki ciężar, Meredith. Teraz wreszcie będę mógł przejąć część obowiązków Pata O'Briena, naszego zarządcy, który stanowczo się przepracowuje. Także Amelia będzie mogła nieco odetchnąć, kiedy już się zainstalujesz. Czasami bywa bardzo zmęczona, a do tej pory nie udało mi się znaleźć nikogo, kto mógłby jej pomóc, choć nie mogę powiedzieć, żebym nie próbował.

Meredith ze zrozumieniem skinęła głową, pełna sympatii i współczucia. - Musiało być jej trudno, lecz proszę się nie martwić, panie Silver, pomogę pańskiej żonie przy tej papierkowej robocie. Z przyjemnością zajmę się tym w wolnej chwili. - Spojrzała na niego, zawahała się, lecz w końcu spytała cicho:

- Co przytrafiło się pani Silver? Dlaczego jest przykuta do wózka?

- Amelia miała wypadek podczas jazdy konnej, jedenaście lat temu. Jej kręgosłup uległ uszkodzeniu i od tego czasu jest sparaliżowana od pasa w dół.

- Jakież to okropne, tak mi przykro... ona jest taka piękna.

- Tak, to prawda... i to zarówno w środku, jak i na zewnątrz. Amelia jest naprawdę dobrym człowiekiem, Meredith, najlepszym, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jest taka dzielna, taka cierpliwa...

Przez chwilę milczeli oboje, a potem Meredith powiedziała: - Dziękuję, że daliście mi państwo tę pracę. Na pewno was nie zawiodę. Będę się bardzo starała.

- Jestem pewien, że będziesz.

Meredith podeszła do roweru, a potem odwróciła się nagle, spoglądając na widoczne pomiędzy drzewami jezioro, połyskujące srebrzyście w słońcu późnego popołudnia. - Czy na jeziorze gnieździ się wiele ptaków? - spytała w końcu z dziwną tęsknotą w głosie.

- O tak, i to przez cały rok, miło mi to stwierdzić. Teraz są ich tam prawdopodobnie całe stada. Kaczki, a zwłaszcza kanadyjskie gęsi. Czy chciałabyś tam pójść i rzucić na nie okiem?

Meredith skinęła głową, ujęła kierownicę roweru i poprowadziła go między Jackiem a sobą.

- Lubisz jazdę na rowerze? - zapytał po chwili Jack.

- Czasami, a dlaczego pan pyta?

- Ja też mam rower i czasami objeżdżam na nim posiadłość. Nie twierdzą, że udaje mi się dotrzeć do wszystkich zakątków na całych stu pięćdziesięciu akrach, lecz zawsze staram się zobaczyć jak najwięcej. A jest na co popatrzeć, zapewniam cię.

- To duża posiadłość, prawda?

- Tak, ale z pewnością nie tak duża, jak wasze australijskie przestrzenie.

Roześmiała się. - Jedyłą częścią Australii, którą znam, jest Sydney.

Wzruszył ramionami. - A jednak to wielki kraj.

- Tak, owszem. A czy to wszystko wokół należy do pana?

- Jak najbardziej. Mój praprapradziadek, Adam Silver i jego żona Angharad kupili tę ziemię w 1832, jak ci

mówiłem. Zbudowali gospodę, obok niej dom, w którym mieszkamy teraz z Amelią, i kilka innych mniejszych budynków na terenie posiadłości. Od tego czasu gospoda cały czas pozostaje w rękach rodziny.

- Nieprzerwany łańcuch - powiedziała, a w jej głosie znowu zadźwięczał lęk.

Jack skinął po prostu głową.

Szli oboje powoli szeroką ścieżką, prowadzącą w dół pomiędzy zielonymi trawnikami i ogrodami pełnymi kwiatów, które właśnie zaczynały rozkwitać. Ścieżka kończyła się nad brzegiem jeziora.

- Wiem już, że jezioro wzięło swą nazwę od nazwiska waszej rodziny, lecz ono naprawdę jest srebrne. I takie spokojne.

Pochyliła się nad kierownicą roweru, osłaniając jedną dłonią oczy. - Zawsze lubiłam przebywać w pobliżu wody, od kiedy tylko sięgam pamięcią. Nie wiem dlaczego, lecz czuję się wówczas - przerwała, niezdolna dokończyć zdanie, znaleźć odpowiednie słowa, oddające we właściwy sposób uczucia, których doświadczała.

- Jak się wówczas czujesz, Meredith?

- Nie jestem pewna... to takie nieuchwytnie...

- Szczęśliwa? Zadowolona? Bezpieczna? To musi być jakieś przyjemne uczucie, gdyż inaczej na pewno nie lubiłabyś przebywać nad wodą.

- To prawda. Chyba odczuwam wówczas... to wszystko, o czym pan przed chwilą mówił. Lecz czasami odczuwam także smutek, tak jakbym utraciła coś niezwykle cennego... i woda przypomina mi o tym.

Nie odpowiedział, tylko przez chwilę przyglądał się jej uważnie, zanim w końcu skierował wzrok na jezioro. Nagle wyciągnął rękę i krzyknął: - Popatrz! O, tam! To ta błękitna czapla, która przylatuje tu każdej wiosny. Po

kilku dniach odlatuje i w tym samym roku na ogół już nie powraca. Lecz to z pewnością ten sam ptak. Jest po prostu wspaniały!

- Jakie to dziwne. Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego to robi. Gdybym była ptakiem, nie chciałabym nigdy opuścić Silver Lake, chciałabym zostać w jego pobliżu na zawsze. Tu jest tak pięknie!

Jack Silver wpatrywał się w dziewczynę, poruszony jej słowami, wypowiedzianymi tak spokojnym tonem.

Meredith także spojrzała mu w oczy, porażona intensywnością jego spojrzenia. Wpatrywał się w jej twarz, a jego oczy miały wyraz, którego nie umiała zgłębić. Odkryła, że nie potrafi odwrócić wzroku...

Jack przerwał w końcu ów dziwny nastrój oczarowania, odzywając się nagle niemal burkliwie: - Cieszę się, że będziesz pracowała w Silver Lake, Meredith. Mam przecucie, że wszystko dobrze się ułoży. Lubię cię, i Amelia także. Mam nadzieję, że i ty nas polubisz.

- Na pewno, panie Silver. Ja także się cieszę, że będę tu mieszkała.

Wracali do gospody w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach.

- Do zobaczenia w poniedziałek - powiedziała Meredith, wsiadając na rower.

- Mów mi Jack - zawołał za nią, gdy odjeżdżała.

- Dobrze, zgoda - odparła, odwracając się, by mu pomachać, zanim skrył ją zakręt drogi.

Stał obserwując ją, dopóki nie zniknęła, zdziwiony, że tak bardzo nie chce, by odjechała. W tej dziewczynie było coś niezmiernie pociągającego: była taka świeża, słodka i bardzo, bardzo piękna, choć wiedział doskonale, że ona jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Ani z tego, jak pionujące wrażenie wywierają jej długie nogi, rozświetlone słońcem brązowe włosy i zamglone zielone oczy.

Choć znał ją zaledwie od kilku godzin, już odczuwał jej brak. Uczucia, jakich w związku z tym doświadczał, coraz bardziej go zaskakiwały.

Nagłący dźwięk telefonu wyrwał Meredith z zamyślenia. Gdy przestraszona zerwała się, by podnieść słuchawkę, zdała sobie sprawę, że najwidoczniej przespała na sofie całą noc.

- Halo?

- Dzień dobry, pani Stratton. Tu obsługa hotelowa. Zamawiała pani budzenie na godzinę piątą.

- Dziękuję - odparła, odkładając słuchawkę i zapalając lampę. Popatrzyła na zegarek - rzeczywiście, była piąta, a to znaczyło, że przespała na sofie całą noc, nie budząc się ani razu. Musiała być bardzo zmęczona, a szeroki, wyściełany mebel był równie wygodny jak łóżko.

Lada chwila będzie tu Patsy, pomyślała, wchodząc pośpiesznie do sypialni. Zrzuciła koszulę nocną i popędziła pod prysznic. Jak dobrze, że spakowała się poprzedniego wieczoru.

W godzinę później stała już w hallu, czekając na swoją partnerkę, która miała zawieźć ją na północ Anglii.

8

Gdy odjeżdżały sprzed hotelu, był szary, posępny poranek. Ołowiane chmury groziły deszczem i kiedy Patsy zjeżdżała swym aston-martinem na autostradę wiodącą na północ, lało już na dobre.

Meredith oparła się wygodnie o siedzenie samochodu, jednym uchem słuchając radia i rozmyślając o interesach. Przymknęła na chwilę oczy i niemal natychmiast zapadła w drzemkę, ukołyszana ciepłem i płynącą z radia muzyką.

- Prześpij się, jeśli masz ochotę - powiedziała Patsy, zerkając na nią, zanim znowu skupiła wzrok na drodze. - Nie przeszkadza mi to. Nie musimy rozmawiać, jeśli jesteś zmęczona.

- Ze mną wszystko w porządku - odparła Meredith, otwierając oczy i prostując się na siedzeniu. - Wypoczęłam całkiem niezłe, mimo że spędziłam noc na sofie.

- A dlaczegoż to?

- O pierwszej nie czułam się jeszcze wcale senna, chyba przez to, że byłam zbyt przygnębiona. Postanowiłam więc wstać, a potem najwidoczniej jednak się zdrzemnęłam.

- Mam nadzieję, że nie zdręczałaś się myśleniem o Reedzie Jamisonie w środku nocy - zachmurzyła się Patsy, rzucając jej zatroskane spojrzenie.

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dobrze, bo on z pewnością nie jest wart, by się nim przejmować.

- Zgadza się z tobą, Patsy, i bardzo mi ulżyło, gdy w końcu powiedziałam mu o swoich uczuciach - Meredith zaśmiała się sucho. - I był to chyba jedyny moment, kiedy poświęcił mi całą swoją uwagę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zawsze mi się zdawało, że on tak naprawdę wcale nie słucha, co do niego mówię. Wydawał się bardziej zajęty przygotowaniem stosownej odpowiedzi niż słuchaniem tego, co chcę mu powiedzieć.

- To dość powszechna przypadłość - mruknęła Patsy.

- Jakaś odmiana egocentryzmu, jak przypuszczam. A zresztą - dzisiaj i tak prawie nikt tak naprawdę nie umie

słuchać drugiej osoby. Z wyjątkiem ciebie. Jesteś najlepszym słuchaczem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

- Nauczyłam się tego od Amelii. To ona uświadomiła mi, jak ważna jest umiejętność słuchania. Zawsze mówiła, że nie dowiesz się niczego istotnego, jeśli to ty będziesz mówiła przez cały czas. Miała oczywiście rację, podobnie jak w wielu innych sprawach. Tyle się od niej nauczyłam... - Meredith umilkła na chwilę, a potem dodała: - Była z pewnością najbardziej godną uwagi osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

- Żałuję, że jej nie znałam - stwierdziła Patsy. - To zabawne, że wspomniałaś o Amelii, ponieważ ja także myślałam o niej wczoraj wieczorem, o tym, jak znaczący wpływ wywarła na nasze życie, choć w moim przypadku niebezpośrednio. Pomyśl tylko, gdyby John Raphaelson nie był jej adwokatem, a później twoim, prawdopodobnie nigdy nie poznałabyś jego brata, który z kolei był jednym z najlepszych przyjaciół mego ojca i mogłybyśmy nigdy się nie spotkać, prawda?

Meredith uśmiechnęła się. - To prawda. Ja także żałuję, że nie znałaś Amelii. Była kimś szczególnym. - Westchnęła lekko. - Wiesz, gdyby żyła, miałyby dziś dopiero sześćdziesiąt dwa lata. Nie byłaby wcale stara.

- A Jack? Ile on miałby dziś lat?

- Był o cztery lata młodszy od Amelii, skończyłby więc wkrótce pięćdziesiąt osiem lat... pod koniec tego miesiąca.

- Jakaż to strata dla ciebie, że oboje zmarli tak wcześnie.

- Tak... Po śmierci Jacka Amelia starała się walczyć, lecz jakby straciła motywację do życia. W końcu się poddała. Zawsze sądziłam, że umarła z powodu złamanego serca, o ile to w ogóle możliwe.

- O tak, Meredith, sędzę, że to możliwe. Wydaje mi się, że podobnie miała się sprawa z moją mamą... odeszła tak szybko po ojcu. Kiedy już było po wszystkim, ciotka powiedziała mi, że mama zwykła wówczas mawiać, że „chce pójść do Winstona”. Prawie nic nie jadła i wyglądało to tak, jakby nagle straciła apetyt i to nie tylko na jedzenie, ale na wszystko inne, z życiem włącznie. Naprawdę uważam, że po prostu postanowiła umrzeć.

- Z Amelią było podobnie, choć żyła jeszcze rok po śmierci Jacka. Kiedy tak o tym myślę, uważam to za zrozumiałe. Ludzie, którzy byli ze sobą przez wiele lat, stają się tak od siebie zależni, że kiedy jedno z nich zostaje nagle samo, doznają czegoś w rodzaju długotrwałego szoku.

- Czują się samotni, a samotność to uczucie trudne do zniesienia.

- Amelia kiedyś powiedziała mi coś podobnego. Dokładnie mówiąc, powiedziała, że samotność to rodzaj śmierci. Kochała mnie i kochała Cat, lecz to Jack był treścią jej życia. Bez niego wszystko straciło sens. Czy wspominałam ci, że znali się od dzieciństwa?

- Nie, nigdy. Czy dorastali razem?

- Częściowo. Jej rodzice mieli letni dom w Cornwall Bridge, niedaleko Silver Lake, i przyjaźnili się z Silverami. Jack i Amelia poznali się, gdy byli dziećmi. Amelia miała wówczas czternaście lat, a Jack dziesięć. Bardzo się zaprzyjaźnili, zwłaszcza że oboje byli jedynakami, podobnie jak ich rodzice, w rodzinie nie było zatem nie tylko rodzeństwa, lecz nawet kuzynek czy kuzynów. „Kiedy dorosnę, ożenię się z tobą” - mówił jej zawsze Jack, ona zaś śmiała się i twierdziła, że wątpi, by mogła poślubić młodszego mężczyznę. A jednak pobrali się, kiedy oboje byli ledwo po dwudziestce. A potem Amelia miała ten wypadek... jakże inaczej mogłoby wyglądać ich życie,

gdyby nie spadła wówczas z konia. Lecz takie widać było jej przeznaczenie... a przynajmniej tak zwykle mawiała.

- Co chciała przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, Patsy. Twierdziła, że nikt nie może odmienić swego losu. Ani go uniknąć. *Che sera sera*, będzie, co ma być, powtarzała nieustannie po cichu. Był to rodzaj jej credo, jej życiowa filozofia. Powiedziała, że to los przywiódł mnie do Silver Lake w ten majowy dzień 1969 i że po prostu wypełniałam w ten sposób swoje przeznaczenie, podobnie jak ona i Jack. „Najwidoczniej pisane mi było zostać przykutą do tego fotela” - powtarzała bez przerwy. - Meredith przerwała, zerkając na Patsy kątem oka. - Twierdziła, że to przeznaczenie przywiodło mnie do nich. I, jak już ci to tyle razy mówiłam, oni zmienili moje życie, podobnie jak ja zmieniłam ich, i to na tyle sposobów. Lecz zawsze na lepsze... dla każdego z nas. Oni dali mi miłość, ciepło, zrozumienie i jedyny prawdziwy dom, jaki kiedykolwiek miałam. A ja dałam im coś, czego zawsze pragnęli, za czym tęsknili...

- Byłaś dla nich jak siostra, jak siostra, której żadne z nich nigdy nie miało.

- Tak, w pewnym sensie. Lecz miałam na myśli to, że dałam im Cat. Moja córka była zarówno ich dzieckiem, jak moim. Tak bardzo ją kochali.

- Wiem, i pomyślałam właśnie, jak bardzo byliby szczęśliwi, gdyby mogli ją dziś zobaczyć. Wyrosła na taką wspaniałą młodą kobietę. Czy sądzisz, że naprawdę zaręczy się z Keithem?

- Tak uważam i chyba nie trzeba będzie na to zbyt długo czekać. Catherine ma wycucie i na pewno nie powiedzialaby mi o tym, gdyby nie była pewna, że Keith lada moment się oświadczy.

- Mam nadzieję, że zostanę zaproszona na ślub?

- Nie bądź niemądra, oczywiście, że tak. Cat cię uwielbia, nigdy nie zapomniała, jaka cudowna byłaś dla niej przez ten rok, kiedy mieszkała w Londynie. Ja także nie, jeśli już o to chodzi. Dzięki tobie mogłam spokojnie spać po nocach, nie zamartwiając się o moją córkę, samą w obcym kraju.

- Z przyjemnością zajmowałam się nią, bawiło mnie odgrywanie starszej siostry. Czy przyjęcie odbędzie się w Silver Lake?

- O tak, z pewnością. Cat na pewno nie zgodziłaby się na żadne inne miejsce, uwielbia je tak samo jak ja. A poza tym to takie piękne otoczenie, idealne, by wziąć w nim ślub. Blanche jest cała podekscytowana i już zaczęła wszystko planować. Wczoraj wieczorem mówiła o namiotach i menu. Jestem pewna, że do tej chwili ma już wszystko opracowane, poczynawszy od kwiatów, a na miejscach do parkowania skończywszy. Oczywiście, jeżeli tylko zechcesz przyjechać, zatrzymasz się u mnie, w domu.

- Wspaniale, dzięki. O rany, Meredith, być zakochaną to takie cudowne uczucie. Tak bardzo się cieszę z powodu Cat i z tego, że znalazła właściwego mężczyznę. Szkoda, że mnie się to nie udało.

- Bo kiedy się rozglądasz, nigdy żadnego nie ma w pobliżu. - Meredith oparła się wygodniej i przymknęła oczy. - A poza tym znalezienie mężczyzny z reguły nie załatwia wszystkiego, wiesz o tym.

- Jeszcze jak! - Patsy wbiła wzrok przed siebie, klnąc pod nosem i starając się dostrzec coś przez zalaną deszczem szybę. - Mam nadzieję, że ta okropna pogoda wkrótce się zmieni. Co za ohyda!

- Czy chciałybyś, abym poprowadziła?

- Nie, nie, wszystko w porządku. Znam tę drogę jak własną kieszeń. Nie zapominaj, że prowadzi na północ Anglii.

- Czyli w twoje ulubione strony.

- W każdym razie jedne z nich - powiedziała Patsy, uśmiechając się.

Meredith umilkła i pogрузzyła się w myślach. .

Patsy skoncentrowała się na prowadzeniu. Wiał silny wiatr i podejrzewała, że na zewnątrz musi być naprawdę zimno, gdyż droga stawała się śliska od marznącego deszczu i śniegu.

Gdy tak jechała, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jej myśli krążyły wokół Meredith i tego, jak przyjechała do Silver Lake tyle lat temu, i jak jej życie zmieniło się w jednej chwili. Cóż za niezwykła historia. Wiedziała, że Meredith bardzo szybko stała się dla Amelii kimś niezastąpionym, że obie kobiety połączyło coś w rodzaju symbiotycznej przyjaźni. Meredith opowiedziała jej kiedyś, jak Jack stopniowo nauczył się na niej polegać, jak przekazywał jej swoją wiedzę na temat zarządzania hotelem, ucząc ją wszystkiego, co sam wiedział o prowadzeniu interesów. Tak, Meredith opowiedziała jej mnóstwo o swoim życiu z Silverami, lecz niezbyt wiele o sobie samej. Nigdy nie mówiła o swoim wcześniejszym życiu w Australii. Prawdę mówiąc, jej życie przed przyjazdem do Silver Lake owiane było mgiełką tajemnicy, zupełnie jakby była to odrębna część jej losów, skazana na zapomnienie. Patsy nie była wścibska, nie zadawała więc pytań, uznając prawo przyjaciółki do zachowania prywatności.

Meredith odwróciła się do niej i powiedziała: - Być może wyda ci się to śmieszne, lecz mam uczucie, że bardziej podoba ci się gospoda w Ripon. Wolałabyś, żebyśmy kupiły Skell Garth, prawda?

- Dlaczego tak sądzisz? - spytała Patsy, zaskoczona.

- Po prostu wiem. Poskładałam razem do kupy różne rzeczy, które mówiłaś. A poza tym ty tak bardzo kochasz Yorkshire, tam się wychowałaś.

- Już ci mówiłam, Meredith, chciałabym, żebyś sama wyrobiła sobie opinię, naprawdę. Nie chcę na ciebie wpływać, nastawiać cię tak czy inaczej.

- Co jest nie tak z gospodą w Krainie Jezior?

- Nic, doprawdy. Widziałas przecież zdjęcia.

- Tak, wyglądała na nich wspaniale, podobnie jak ogrody i otoczenie. Powiedziałas, że hotel jest luksusowy, pięknie urządzone, lecz czuję, że za tym wszystkim kryje się jakieś „ale”.

- Zbyt wiele poduszek - mruknęła Patsy.

Meredith roześmiała się. - I nigdy nie zdołałabym tego naprawić, prawda? - powiedziała, wspominając swój komentarz na temat innej gospody, której kupno rozważały pół roku wcześniej. - A zatem chcesz powiedzieć, że dom jest przeladowany, przesadnie upiększony?

- Coś w tym stylu... pełen luksus i komfort, człowiek z pewnością czuje się tam wręcz rozpieszczany. Lecz jeśli pominąć wszystkie te piękne materiały, dywany i stare meble, w Heronside trudno doszukać się czegoś niepowtarzalnego, oryginalnego. Wszystko jest tam zbyt doskonałe. Zawsze mówiłaś mi, jakie to ważne, by pokój sprawiał wrażenie lekko zaniedbanego, żeby miał jakąś skazę, gdyż to czyni go bardziej interesującym.

- Osobliwości dodają charakteru i zawsze dotąd braliśmy to pod uwagę. - Meredith spojrzała na swoją partnerkę i przyjaciółkę, a potem skinęła głową. - Czuję, że nie podoba ci się Heronside.

- Kiedy to nie jest zupełnie tak - stwierdziła Patsy szczerze.

- Posłuchaj, w takim razie po co w ogóle tam jedziemy? Dlaczego nie pojechać prosto do Ripon?

- Ponieważ to cudowna gospoda i chciałabym, żebyś sama ją zobaczyła. Nie wymagałaby dużych nakładów, bo

dwa lata temu wyremontowano ją, a widoki są tam po prostu zachwycające. A poza tym wcale nie jestem pewna, czy się nie mylę. Naprawdę, wolałabym, abyś to ty podjęła decyzję.

- No dobrze, zgoda. Ale ty rzadko się mylisz, Patsy. Mamy bardzo podobny gust.

9

Ranek wstał jasny i zimny, był to ten rodzaj rześkiej, słonecznej pogody, który Meredith szczególnie lubiła. Błękit bezchmurnego nieba wręcz oślepił, a słońce, choć o tej porze roku nie zapewniało zbyt wiele ciepła, to przecież przydawało dniowi blasku.

Gdy zegar wybił godzinę dziewiątą, Meredith spacerowała już po Studley Park, w kożuchu i wysokich butach. Majestatyczna lipowa aleja, prowadziła do kościoła w Studley, widocznego na szczycie wzgórza pomiędzy drzewami. Zgodnie ze wskazówkami pani Miller, Meredith za kilka minut powinna dotrzeć do opactwa.

Kiedy wczoraj po południu dotarły wreszcie do Ripon, udały się od razu do Skell Garth. Dom, usytuowany pomiędzy dwoma małymi wioskami Studley Royal i Aldfield, położony był nad brzegiem niewielkiej rzeki Skell, podobnie jak znajdujące się na przeciwległym brzegu opactwo Fountains.

Kiedy już dokonano wzajemnych prezentacji, Patsy wyjaśniła państwu Millerom, właścicielom gospody, że chciałyby zatrzymać się w Skell Garth na noc. Ponieważ była zima, i w dodatku środek tygodnia, nie przedstawiało to większego problemu. Wiele pokoi stało pustych i

Claudia Miller pozwoliła wybrać te, które im najbardziej odpowiadały.

- Myślę, że weźmiemy te dwa sąsiadujące ze sobą na najwyższym piętrze - powiedziała Patsy, gdy podążały za gospodynią szeroką klatką schodową. - Wie pani, te, których okna wychodzą na opactwo.

Gdy w chwilę później znalazły się w pokoju, Patsy natychmiast zaciągnęła Meredith do okna. Spójrz, czy to nie malowniczy widok? - wykrzyknęła. - A oto opactwo Fontains, jedno z dwóch najpiękniejszych ruin opactw w całej Anglii!

Meredith spojrzała ponad opadającymi ku rzece trawnikami i ogrodami Skell Garth, ukrytymi teraz pod warstwą śniegu, ku wznoszącej się pośród białych pól olbrzymiej, ciemnej, monolitycznej budowli, rysującej się wyraźnie na tle zielonkawego nieba, temu dawnemu wyrazowi hołdu złożonego Bogu przez wiernych. Wstrzymała oddech, porażona jego pięknem. Było wspaniałe. Tak, „wspaniałe” było jedynym określeniem zdolnym opisać to, co widziała.

- A w dodatku jest to jedno z najlepiej zachowanych opactw w kraju - zauważył Bill Miller. - Przez cały czas pracują tam kamieniarze, próbując powstrzymać proces niszczenia. To narodowy zabytek, wie pani.

Właśnie w tym momencie, z powodów, których nie zdołała zgłębić, Meredith postanowiła, że musi bliżej przyjrzeć się ruinom, czuła, że to miejsce w dziwny sposób przyciąga ją do siebie.

Po podwieczorku resztę popołudnia poświęcono na dokładne oględziny gospody, zbudowanej w dziewiętnastym wieku. Kiedy w końcu skończyły omawiać z gospodarzami wszystkie wady i zalety hotelu, zrobiło się zupełnie ciemno. Pójdę tam jutro przed wyjazdem, postanowiła

Meredith, zdecydowana bliżej przyjrzeć się ruinom, choć trudno jej było powiedzieć, skąd brała się ta determinacja.

Rankiem, gdy właśnie kończyła śniadanie, w jadalni zjawiła się Claudia Miller, aby zapytać ją, czy niczego nie potrzebuje. Meredith natychmiast skorzystała z okazji, by dowiedzieć się, jak dotrzeć do opactwa.

- Najlepiej będzie pójść na piechotę. Proszę włożyć kałosze, jeśli je pani zabrała, a jeśli nie, to przynajmniej wysokie buty. Na drodze do Studley nadal jest sporo śniegu - powiedziała Claudia, a potem podała jej dokładniejsze wskazówki.

Już prawie dotarłam, powiedziała do siebie Meredith, gdy wreszcie pozostawiła za sobą lipową aleję i znalazła się na szczycie wzgórza. Spojrzała na kościół w Studley, niezwykle malowniczy na tle białego śniegu, a potem na znajdujący się w pobliżu obelisk. Następnie skierowała wzrok na położone poniżej jezioro, połyskujące teraz w blasku słońca. Za nim płynęła rzeka Skell, a dalej, nieco w górę jej biegu, wznosiło się opactwo.

Meredith stała jeszcze przez chwilę na szczycie wzgórza, osłaniając oczy dłonią i przyglądając się opactwu, które dziś wydawało jej się jeszcze bardziej imponujące. I nic w tym dziwnego, pomyślała, jestem teraz bliżej, nie patrzę na nie przez szyby okien odległego domu.

Nagle poczuła, że drży. To było tak, jakby niespodziewanie owiał ją lodowaty wiatr, przenikając na wylot przez ubranie. Tyle że dziś nie było w ogóle wiatru. Ktoś przeszedł po moim grobie, mruknęła cicho, zdziwiona, że to powiedziała i że w ogóle przyszło jej na myśl to stare powiedzenie. Nie używała go nigdy wcześniej.

Czuła się bardzo dziwnie. Stała więc spokojnie, natężając zmysły. Nagle wiedziała już, co to za uczucie... odnosiła osobliwe wrażenie, że już tu kiedyś była, że stała dokładnie w tym samym miejscu, na tym właśnie wzgórzu, przyglądając się tym oto średniowiecznym ruinom. Zdawało jej się, że cały krajobraz poniżej wygląda znajomo. Wzdrygnęła się. *Déjà vu*, kiedyś widziane, przypomniała sobie francuskie określenie tego zjawiska. Lecz ona nigdy tu przecież nie była, i to nie tylko tu, ale w ogóle w Yorkshire.

Jednak starożytne ruiny poruszyły w niej jakąś strunę. Czuła, że przyciągają ją do siebie z coraz większą mocą, ruszyła więc biegiem w dół wzgórza, ślizgając się na zamrzniętym śniegu. Kilka razy omal się przy tym nie przewróciła, udało jej się jednak utrzymać równowagę, biegła więc dalej.

I wreszcie, niemal bez tchu, dotarła do ruin dawnego klasztoru cystersów.

Budowla nie miała dachu, stała otwarta ku błękitnej kopule nieba, a pozbawione szyb okna rysowały się gigantycznymi lukami na tle pustego nieba. Meredith stała tam, obracając się powoli, i z odrzuconą do tyłu głową przyglądała się wznoszącym się wysoko kamiennym murem, wyszczerbionym i porozbijanym na szczytach... olbrzymim kolumnom... połamanym kamiennym płytom, pokrytym teraz czystym białym śniegiem. W tym miejscu czuło się wieczność.

Kiedy tak rozglądała się dookoła, jej serce ścisnęło się nagle, porażone dojmującym uczuciem straty. Wrażenie było tak silne, ostre i przytłaczające, że łzy same napłynęły jej do oczu. Uczucia, jakich doznawała, przeraziły ją.

Coś zostało mi tu odebrane... coś niezwykle dla mnie cennego. Ja już tu kiedyś byłam. Znam to miejsce... jest częścią mnie, choć nie wiem dlaczego. Co mogłam tu

stracić? Na Boga, cóż to mogło być takiego? Coś droższego niż życie. Jakaś część mojej duszy... mego serca. Co to wszystko oznacza? Dlaczego tak się czuję? Zapytywała samą siebie, nie znajdując odpowiedzi.

Meredith stała w bezruchu pośrodku zrujnowanego opactwa, czując, jak ciepłe łzy ogrzewają jej policzki. Zamknęła oczy, nie rozumiejąc, co się z nią dzieje. Czuliła się tak, jakby za chwilę miało jej pęknąć serce. Coś zostało jej odebrane. Lub ktoś. Ktoś, kogo kochała. Czy o to właśnie chodziło? Nie była pewna. Była pewna jedynie tego, że właśnie doświadcza niezwykle intensywnego poczucia straty.

Otworzyła oczy i podeszła powoli do jednej ze ścian opactwa, opierając głowę o nadgryziony zębem czasu mur. Stare ściany promieniowały odwiecznym spokojem, który zdawał się koić jej ból.

Z oddali dobiegło ją wołanie samotnego ptaka, szybującego swobodnie gdzieś daleko na niebie. Nagle zerwał się wiatr, wzbudzając wśród ruin dziwne jęki i wzdychania. Gwałtowny poryw nie trwał długo, wiatr ucichł równie nagle, jak się pojawił, i po chwili na dziedzińcu klasztoru znowu zapanował spokój.

Zaczęła iść w kierunku krużganków, poruszając się niczym w letargu. Znała drogę. Tu, w środku, nie groziły jej żadne nagłe porywy, tyle że wiatru nie było. Wszędzie panowała niczym niezmacona cisza.

Ból, pomyślała. Dlaczego odczuwam taki ból i taką rozpacz? Co jest takiego w tym miejscu, co sprawia, że cierpię? Jakie znaczenie ma dla mnie to opactwo? Nie wiedziała. Była to tajemnica.

Kiedy po godzinie Meredith wróciła do Skell Garth, Patsy już na nią czekała.

- Dobry Boże, wyglądasz, jakbyś kompletnie prze-marzła! - krzyknęła na jej widok. - Chodź tu, usiądź przy kominku i ogrzej się trochę, zanim wyruszymy na lotniko.

- Nic mi nie jest. - Meredith zdjęła kozuch i podeszła do paleniska, by ogrzać sobie dłonie nad ogniem.

- Nie mogłam uwierzyć, kiedy Claudia powiedziała mi, że poszłaś do Fountains. Przy tej pogodzie. Gdybyś zaczęła, aż zejdem na śniadanie, zawiozłabym cię tam, jeśli nie na samo miejsce, to przynajmniej tak daleko, jak dałabym radę podjechać.

- Spacer sprawił mi przyjemność. - Meredith usiadła w fotelu i odwróciła głowę, wpatrując się w ogień buzujący żwawo na kominku.

- Pójdę i zamówię ci dzbanek herbaty - powiedziała Patsy, wstając. - A może chciałabyś coś zjeść? Coś, co obie lubimy?

- Nie, dzięki, nie teraz. Lecz chętnie napiję się herbaty.

Po powrocie Patsy obrzuciła Meredith zagadkowym spojrzeniem. - Być może to, co powiem, wyda ci się dziwaczne, lecz jesteś taka blada, wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. - A potem uśmiechnęła się i dodała: - A może zjawilo się kilku zakonników, by pospacerować z tobą po opactwie?

Kiedy Meredith nie roześmiała się, jak to miała w zwyczaju, lecz milczała, zerkając na nią spod oka, Patsy zaczęła przyglądać się jej uważniej.

- Czy coś się tam stało, Meredith? - zagadnęła.

Przez chwilę Meredith milczała, lecz w końcu powiedziała: - Ze mną wszystko w porządku, lecz doznałam tam dziwnego przeżycia.

- Co się stało?

- Te ruiny mnie przyciągnęły. Zupełnie jakby miały w sobie jakiś magnes. Od kościoła w Studley praktycznie

biegłam, by jak najszybciej się tam dostać. Parę razy o mało się nie przewróciłam, lecz tak bardzo chciałam już tam być, że nie zwracałam na to uwagi. A kiedy stałam pośrodku dziedzińca, poczułam, że znam to miejsce bardzo dobrze. Wszystko wydawało mi się jakieś znajome. A potem przytrafiło mi się coś dziwnego... doznałam niezwykle intensywnego uczucia straty... tak bolesnego i dojmującego, że byłam wstrząśnięta. Nie potrafię tego wyjaśnić, doprawdy nie potrafię. - Meredith wpatrywała się w przyjaciółkę. - Pewnie pomyślisz, że zwariowałam... Lecz jestem pewna, że opactwo Fountains coś dla mnie znaczy, że jest to jakieś szczególne miejsce. I, jak na razie, nie potrafię powiedzieć ci dlaczego. Do wczoraj w ogóle o nim nie słyszałam. I nigdy w życiu tam nie byłam.

Przez chwilę Patsy nie odpowiadała, lecz w końcu powiedziała: - Nie, nigdy tam nie byłaś. Przynajmniej w tym życiu. Lecz może byłaś tam w którymś z poprzednich wcieleń. Czy wierzysz w reinkarnację?

- Sama nie wiem. Meredith potrząsnęła głową. - Jeśli powiem, że nie, zabrzmiałoby to tak arogancko... - Wzdrygnęła się, najwidoczniej zakłopotana. - I kto tak naprawdę wie coś o tym dziwnym świecie, w którym żyjemy...

- A może widziałas jakiś dokumentalny film na temat opactwa i dlatego wydaje ci się teraz takie znajome - zasugerowała Patsy.

- Nie sądzę. A jak wyjaśnisz to szczególne uczucie straty, którego doświadczyłam?

- Nie potrafię - przyznała Patsy.

Do salonu weszła młoda kelnerka, która przyniosła im herbatę, obie więc umilkły.

Gdy znów zostały same, Patsy zauważyła spokojnie, przyglądając się bacznie Meredith: - Wczoraj wieczorem wydawałaś się mocno podekscytowana... to znaczy,

perspektywą kupna Skell Garth. Mam nadzieję, że to doświadczenie nie sprawi, że zmienisz zdanie?

- Nie, Patsy, wręcz przeciwnie. To oczywiste, że opactwo Fountains ma dla mnie jakieś znaczenie, choć jeszcze nie całkiem rozumiem, na czym ono polega. Lecz uważam to przeżycie za dobry omen. A poza tym, podoba mi się gospoda. Miałaś rację co do niej - powiedziała Meredith, uśmiechając się ciepło do przyjaciółki. - Na swój sposób to istny klejnot i z pewnością odpowiada mi bardziej niż Heronside. Tam rzeczywiście zbyt dużo napakowano tych poduszek. Skell Garth jest oryginalne i czarujące, ma specyficzną atmosferę i zapewnia wszelkie wygody. Oczywiście jest trochę zaniedbane, lecz chyba nie potrzeba byłoby wielkich nakładów, by to poprawić.

- Tej gospodzie potrzeba tylko zdolnego dekoratora wewnątrz. A ty najlepiej się do tego nadajesz, Meredith.

Meredith skinęła głową, nie odzywając się.

Patsy podniosła w górę filiżankę z herbatą: - Za naszą nową gospodę, żeby zawsze cieszyła się powodzeniem.

- Za Skell Garth - przytaknęła Meredith.

10

Luc de Montboucher przeniósł spojrzenie z Agnes na Meredith i powiedział: - Musimy mieć pół roku na remont. Skrócenie tego okresu do czterech miesięcy będzie oznaczało klęskę.

- Miałymy nadzieję, że uda się otworzyć gospodę przed latem - odezwała się Agnes.

- To niemożliwe! - przerwał gwałtownie. - Zbyt wiele jest do zrobienia, a niektóre prace są bardzo poważne, jak na przykład te przeróbki architektoniczne, których sobie życzyście. I które są potrzebne, ośmielę się dodać. A potem jeszcze nowa instalacja elektryczna, kanalizacja, a także podłogi i okna. Większość ścian trzeba będzie na nowo otynkować i wyszlifować. - Uniósł dłonie i dodał: - Uczciwie mówiąc, Agnes... Meredith... muszę was ostrzec, że sześć miesięcy to i tak bardzo krótki termin dla przedsiębiorcy budowlanego. Mam nadzieję, że będzie w stanie go dotrzymać.

- Lecz Manoir de la Closiere nie jest przecież aż tak wielki - zauważyła Agnes i zwracając się do Meredith, spytała: - Byłaś tam w tym tygodniu dwa razy, jakie jest twoje zdanie?

Był piątek i cała trójka jadła właśnie lunch w restauracji Relais Plaza hotelu Plaza Athenee w Paryżu, spędziwszy pracowity poranek na omawianiu planów przebudowy starego domu.

Meredith odłożyła widelec, odwzajemniając przenikliwe spojrzenie swojej francuskiej współpracownicy. - Masz rację, Agnes, dom nie jest co prawda zbyt duży, lecz w znacznie gorszym stanie, niż było *chateau*, wymaga też poważniejszych przeróbek. Jestem skłonna zgodzić się z Lucem. I bardzo wątpię, by udało nam się znaleźć kogoś, kto potrafiłby zrobić to szybciej. Prawdę mówiąc, i tak uważam ten termin za nieco optymistyczny. I, spoglądając na Luca, dodała: - Czy nie uważasz, że byłoby rozsądniej, gdybyśmy zgodzili się na osiem miesięcy?

Nie dając mu czasu na odpowiedź, Agnes oświadczyła z zapalem: - Lecz wyremontowanie i przeróbka Chateau

de Cormeron zajęły nam tylko rok, a przecież jest to o wiele większa budowla!

- Wiem, lecz rezydencja w Montfort-L'Amaury nie była tak troskliwie pielęgnowana - zauważyła Meredith. - Uważam, iż nie byłoby z naszej strony w porządku oczekiwać od Luca, że będzie się starał dotrzymać nierealnych terminów. On ma rację, zakończyłoby się to totalną klęską.

Agnes milczała.

Luc skinął głową, uśmiechając się do Meredith z wdzięcznością. - Dziękuję za zrozumienie.

Meredith lubiła go. Był przystojnym mężczyzną, po europejsku czarującym, lecz szczerym.

- A zatem kiedy moglibyśmy otworzyć gospodę? - spytała Agnes.

- Sądzę, że następnej wiosny... to znaczy, wiosną 1996. Nie sądzę, by mogło być szybciej. Luc wie już doskonale, o co nam chodzi, a wkrótce będzie wiedział, co da się osiągnąć. Przypuszczam, że mógłby zacząć pracę, powiedzmy, za miesiąc. Mam rację, Luc?

- Masz. Postaram się jak najszybciej zakończyć prace projektowe i przedstawić plany do zaaprobowania. Jeżeli wszystko wam się spodoba i dacie mi swoje błogosławieństwo, wprowadziłbym tam ekipę pod koniec stycznia. Mogą zacząć od wyburzania wnętrza i jeśli nie pojawią się jakieś niespodziewane problemy, powinniśmy uporać się z tym do czerwca. Będę się starał ukończyć prace w sześć miesięcy, nie w osiem, ale dziękuję za te dwa dodatkowe, choć nie sądzę, by były mi potrzebne.

- Miło wiedzieć - ucieszyła się Meredith, a potem dodała, zwracając się do Agnes: - Kiedy prace budowlane zostaną ukończone, będziemy mogły wprowadzić tam innych rzemieślników... malarzy, tapeciary i tak dalej, a oni z pewnością w cztery miesiące uporają się z resztą

roboty. W przyszłym tygodniu możemy zaczynać projektowanie wewnątrz.

- No dobrze - mruknęła Agnes. - Jeżeli sądzisz, że potrzeba na to całego roku, to pewnie tak jest.

- Roześmiała się i nagle uspokojona powiedziała wzruszając ramionami: - Muszę przyznać, że tam, gdzie chodzi o przeróbki, zwykle masz rację. Wbiła widelec w kawałek ryby i zakończyła: - Problem ze mną polega na tym, że jestem zbyt niecierpliwa. Nie mogę się doczekać, kiedy wszystkie prace zostaną ukończone i gospoda zostanie wreszcie otwarta dla gości.

- Nie ma w tym nic złego - odparła Meredith.

- Lecz zbyt ni pośpiech to dopraszanie się o kłopoty.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia - powiedział Luc. - Pozwólcie mi dodać, że rezydencja jest czarująca i stwarza liczne możliwości, głównie dlatego, że okolica jest tak piękna. Myślę, że dokonaliście dobrego wyboru.

- To dzięki tobie, Agnes - powiedziała Meredith. - To ty wypatrzyłaś ten dom.

Agnes, której niepokój z powodu odwlekania się terminu otwarcia gospody minął już zupełnie, uśmiechnęła się zadowolona i pociągnęła spory łyk białego wina.

- A zatem ustalone. Luc postara się, by plany zostały jak najszybciej ukończone, a wtedy wyślemy je do Nowego Jorku. Myślę, że da się to zrobić w ciągu jednej nocy. A teraz - przerwała, wyciągnęła rękę i uściśnęła ramię Meredith - jakie masz plany na weekend?

- Nie planowałam niczego specjalnego. Pomyślałam, że pomyszkuję trochę po sklepach, a w niedzielę wybiorę się do Marche aux Puces. Nie martw się o mnie, Agnes, wiem, że i tak masz pełne ręce roboty.

Agnes wykrzywiła twarz. - Chyba rzeczywiście, zwłaszcza że i Alain, i Chloe leżą w łóżku z grypą. Dobrze, że nie złapałam tego od nich.

- Przykro mi, że chorują. Nie możesz teraz przejmować się mną, doskonale poradzę sobie sama.

Luc podniósł kieliszek i oparł się wygodnie, spoglądając badawczo na Meredith. W końcu powiedział:

- Jeśli rzeczywiście nie masz żadnych specjalnych planów na weekend, chciałbym zaprosić cię do mego domu na wsi. Wyjeżdżam tam jutro rano - moglibyśmy pojechać razem, a w poniedziałek przed południem odwiózłbym cię do Paryża.

- To bardzo miło z twojej strony, Luc - mruknęła Meredith i zawahała się. - Sama nie wiem... nie chciałabym się narzucać...

- Ależ wcale się nie narzucasz, przecież cię zaprosiłem. I bardzo chciałbym, żebyś przyjechała. To nie będzie jakiś szalony weekend z mnóstwem gości, jeśli o to ci chodzi. Prawdę mówiąc, muszę cię ostrzec, że bylibyśmy tam sami i pewnie nieźle byś się wynudziła. Choć, z drugiej strony, okolica jest piękna, więc może nie będzie tak źle.

- No cóż, dziękuję... - umilkła, nadal niepewna.

Agnes przyjrzała się obojgu, po czym wtrąciła pośpiesznie: - Luc ma jeden z najbardziej czarujących starych domów w całej dolinie Loary. Jest naprawdę wyjątkowy, zobaczysz, że będziesz zachwycona. Po prostu musisz tam pojechać.

- Tak, Meredith, bardzo cię proszę - nalegał Luc.

- A zatem zgoda, przyjadę - zgodziła się Meredith, podejmując decyzję. - I jeszcze raz dziękuję za zaproszenie.

Po lunchu Agnes i Meredith wracały powoli do biura firmy, usytuowanego w wąskiej uliczce, odchodzącej od rue de Rivoli.

- Zaczęłam zbierać próbki materiałów i tapet już kilka tygodni temu - wyjaśniła Agnes, kiedy ukryły się w części biura przeznaczonej do prywatnego użytku i zawalonej teraz próbkami.

Opadła na sofę i przyciągając do siebie dwie wielkie torby na zakupy, powiedziała: - No dalej, Meredith, usiądź tu obok mnie, przyjrzyjmy się przynajmniej niektórym z nich. Pomyślałam, że dobrze byłoby mieć tu co nieco pod ręką, kiedy zacniemy planować wystrój wnętrza.

- Musiałaś przeszukać cały Paryż, żeby to zdobyć - zaśmiała się Meredith, przyłączając się do niej i zanurzając dłonie w jednej z toreb. - Nigdy w życiu nie widziałam tylu próbek. Wyciągnęła czerwono-niebieski skrawek i przez chwilę przyglądała mu się uważnie - Ten mi się podoba... zupełnie w stylu Manuela Canovasa, prawda?

- Wiesz, on byłby znakomitym kandydatem na męża - powiedziała Agnes, także sięgając do torby.

- Kto? Manuel Canovas? Myślałam, że jest żonaty...?

- Nie, nie Manuel Canovas. Luc de Montboucher. O niego mi chodzi.

- Ach, tak.

- Dlaczego mówisz „ach, tak”, w dodatku takim zdziwionym tonem?

- Odkąd to zajmujesz się swataniem, Agnes?

- W ogóle się nie zajmuję - zaśmiała się Agnes. - Nawet mi to przez myśl nie przeszło, dopóki nie zaprosił cię na weekend... A potem nagle uderzyło mnie, że przecież Luc to atrakcyjny mężczyzna, odnoszący sukcesy zawodowe i, co najważniejsze, wolny.

- Rozwiedziony?

- Nie, chyba nigdy nie był żonaty - Agnes zmarszczyła brwi, przygryzając wargę. - Nie, poczekaj chwilę... być

może miał żonę, lecz ona zmarła. Nie mogę sobie przypomnieć. Luc jest przyjacielem Alaina, więc łatwo będę mogła to sprawdzić.

- Jak myślisz, ile on może mieć lat? Około czterdziestu?

- Chyba trochę więcej, jeśli dobrze pamiętam. Jakieś czterdzieści trzy. Zapytam Alaina, jak tylko dotrę do domu i zadzwonię do ciebie do hotelu.

Meredith roześmiała się i potrząsnęła głową. - Ależ on tylko zaprosił mnie na weekend, a ty zachowujesz się, jakby mi się oświadczył.

- Moja droga Meredith, ja wiem, że zrobiłaś na nim wrażenie. Zauważyłam, jak na ciebie patrzy. Z wielkim zainteresowaniem, i do tego w ten szczególny sposób.

- Co rozumiesz przez „szczególny sposób”?

- Z zaciekawieniem. To oczywiste, że chciałby cię bliżej poznać. A co z tobą, czy uważasz, że jest sympatyczny?

- Oczywiście, inaczej nie przyjąłabym jego zaproszenia.

- To bardzo utalentowany architekt, ale to już wiesz, pokazał ci przecież parę swoich prac, kiedy byliśmy u niego w biurze. Miałam szczęście, że udało mi się go zaangażować. I, jak już powiedziałam, idealnie nadawałby się na męża, a to najważniejsze.

- Sądząc z tego, co mówiłaś, musisz znać ten jego dom na wsi - mruknęła Meredith, zmieniając temat.

- Tak, byliśmy tam parę razy z Alainem. W lecie... nigdy o tej porze roku. Ale to śliczne stare miejsce. Gdzieś pomiędzy Talcy a Menars.

- A w odniesieniu do naszej gospody?

- Nieco bardziej na północ, tuż za Blois, bliżej Orleanu niż Cormeron. Czy pamiętasz, jak kiedyś zabraliśmy cię z Alainem do Chambord?

Meredith skinęła głową.

- Chambord leży na drugim brzegu Loary, w prostej linii do Talcy.

- Chyba już kojarzę... Co to za dom?

- Duży... Clos-Talcy od setek lat należy do jego rodziny, i zawsze bardzo o niego dbano, jest więc doskonale utrzymany. Myślę, że Luc spędza tam wszystkie weekendy, w końcu to tylko kilka godzin jazdy, bliżej stamtąd do Paryża niż do Cormeron.

- Dobrze się składa, że wzięłam trochę odpowiednich ubrań - powiedziała Meredith, ponieważ zastanawiając się, w co się pakuje.

- Nie musisz się przejmować, on prowadzi raczej spokojny tryb życia - zauważyła Agnes, wręczając jej kolejną próbkę. - A to, jak ci się podoba?

Meredith przyjrzała się skrawkowi materiału. - Wiesz, że lubię ten odcień czerwieni. Doskonale pasuje do czarnych mebli czy dodatków - powiedziała kiwając aprobującą głową.

- Luc naprawdę przyglądał ci się w ten szczególny sposób, *chérie* - zauważyła Agnes, zerkając na Meredith.

- Nie wymyśliłam sobie tego.

- Wierzę ci - odparła Meredith i uśmiechnęła się, rozbawiona romantycznymi zapędami przyjaciółki.

11

Clos-Talcy zobaczyła po raz pierwszy niejako podwójnie - samą budowlę i jej odbicie w wodach olbrzymiego i niezwykle pięknego jeziora, nad którym stała.

- To wspaniałe! - krzyknęła, kiedy Luc zatrzymał samochód na zakręcie długiego podjazdu, by pokazać jej jezioro i położony na jego brzegu, odległy teraz jeszcze dom.

- Chciałem, abyś zobaczyła go stąd, nie z samochodu - powiedział. - Ten widok zaskakuje każdego, i muszę ci powiedzieć, że jest także jednym z moich ulubionych... intryguje mnie zwłaszcza ten obraz w jeziorze.

- Doskonały dom w doskonałym otoczeniu - mruknęła Meredith, niemal do siebie. Stała obok Luca, z zainteresowaniem przyglądając się budowli. Był to właściwie niewielki *chateâu*, zbudowany z różowej cegły i białego kamienia, z pokrytym ciemnoszarym łupkiem dachem, z którego wyrastało kilka wysmukłych, wysokich kominów. Naliczyła trzydzieści osiem dużych okien, plus pięć mandsardowych.

Liczne wysokie drzewa, otaczające dom, także odbijały się w jeziorze, tworząc wraz z nim obraz doskonałej symetrii. Z pewnością był to najpiękniejszy „pierwszy rzut oka”, jaki kiedykolwiek jej się zdarzył.

Zwracając się do Luca, spytała: - Ile lat ma ten dom?

- Wybudowano go na początku siedemnastego wieku, a ogrody zostały zaprojektowane mniej więcej pięćdziesiąt lat później przez słynnego wówczas artystę krajobrazu, La Notre'a.

Wziął ją pod ramię i prowadząc do samochodu, mówił dalej: - Lecz teraz jedźmy dalej. Później, po lunchu, obwiozę cię po parku i, jeśli będziesz chciała, możemy spacerować się po ogrodach. Choć muszę cię ostrzec, że o tej porze roku nie wyglądają zbyt zachęcająco.

- Och, to nie ma znaczenia. Prawdę mówiąc, lubię ogrody w zimie, są często bardzo interesujące, i choć oczywiście wyglądają inaczej niż latem, to jednak

przyciągają wzrok. - Zaśmiała się lekko. - A przynajmniej niektóre z nich.

- Ja także lubię ogrody w zimie - zauważył Luc, otwierając drzwi samochodu, by pomóc jej wsiąść.

Ruszyli powoli majestatyczną aleją platanów. - Na szczęście w tym roku nie spadło zbyt wiele śniegu, będziemy więc mieli miły spacer.

Meredith skinęła głową i wyjrzała przez okno. Zobaczyła drugie jezioro, tym razem nieco mniejsze i widok ten sprawił, że powiedziała: - Zawsze bardzo lubiałam przebywać w domach położonych nad wodą lub bardzo blisko niej, choć nie mam pojęcia dlaczego.

- Och, bardzo dobrze rozumiem to uczucie - odparł Luc, zerkając na nią, a potem błyskawicznie odwracając wzrok. - Uważam, że jest coś zadziwiającego i cudownego w wodzie pośrodku łądu, co rozciąga się zarówno na naturalne otoczenie, jak wszelkie znajdujące się w pobliżu budowle. Tu, w Talcy, wody mamy pod dostatkiem. Poza tymi dwoma jeziorami, które już widziałaś, jest jeszcze staw rybny w pobliżu sadu, strumień biegnący przez las, wodospad i masa fontann.

- Zachichotał. - Jeden z moich przodków miał najwidoczniej bzika na punkcie fontann... i teraz w parku znajduje się ich blisko dwanaście, a niektóre są naprawdę wspaniałe, możesz mi wierzyć. W Talcy nigdy nie znajdziesz się zbyt daleko od bieżącej wody.

Meredith uśmiechnęła się. - To miłe... wiesz, Luc, wszystkie moje gospody także znajdują się nad wodą, z wyjątkiem Montfort-L'Amaury. To była jedyna rzecz, która mi się nie spodobała, gdy po raz pierwszy zobaczyłam dwór.

- Jeżeli chcesz, możemy wybudować w pobliżu jakiś staw albo niewielkie jeziorko - zaproponował Luc. - To nic trudnego, a ziemi jest tam pod dostatkiem. Co o tym sądzisz?

- Niezły pomysł. Porozmawiam z Agnes, a ty zastanów się nad kosztami.

- *Mais certainment...* oczywiście. No, Meredith, wreszcie jesteśmy na miejscu.

Luc wprowadził samochód na wielki brukowany dziedziniec i zaparkował. Znajdowali się przed głównym wejściem do *chateâu*. Szerokie stopnie prowadziły do wielkich podwójnych drzwi z ciemnego drewna, ozdobionych żelazną ornamentacją. Zanim zdążyli wysiąść, z domu wyszedł mężczyzna w średnim wieku, bez marynarki, ubrany w czarną kamizelkę i fartuch w zielone pasy. Mężczyzna zbiegł ze schodów, uśmiechając się do nich serdecznie.

- *Bonjour*, Vincent - zawołał Luc, wysiadając pośpiesznie, by pomóc Meredith.

- *Bonjour, monsieur* - odparł mężczyzna.

Luc i Meredith podeszli do niego i Luc przywitał się z nim.

- Meredith, przedstawiam ci Vincenta Marchanda, który, wraz ze swą miłą panią, Mathilde, zarządza tym miejscem. Vincent, przedstawiam ci panią Stratton.

- *Madame* - powiedział mężczyzna, pochylając z szacunkiem głowę.

Meredith uśmiechnęła się do niego. - Miło mi pana poznać, Vincencie - powiedziała, wyciągając dłoń.

- *Grand plaisir, madame* - Vincent energicznie potrząsnął jej dłonią i ruszył w stronę samochodu, by zająć się bagażem. Wziął tyle toreb, ile tylko zdołał, i wniósł je na schody.

Tymczasem Luc wprowadził Meredith do hallu wejściowego, wielkiego niczym jaskinia o kamiennych ścianach i wykładanej kamiennymi płytami podłodze. Dwie ściany z jasnego wapienia osłonięto gobelinami, a z wysokiego sufitu zwieszał się kryształowy żyrandol.

Jedynym meblem była tu długa, ornamentowana i pozłacana konsola, na której stały dwie wielkie kamienne urny, pełne suszonych kwiatów. Pomiędzy nimi wisiało pozłacane lustro, w rogu zaś widać było kamienny posąg rycerza w pełnej zbroi.

- Daj mi swoje okrycie - powiedział Luc, a kiedy się z niego wyplątała, schował kożuch do szafy, wbudowanej w jedną ze ścian.

Niemal w tym samym momencie drzwi na końcu korytarza otworzyły się. Wysoka, zażywna niewiasta pospieszyła ku nim, przebierając szybko drobnymi stopami.

- *Monsieur* - wykrzyknęła, rozpromieniając się na widok Luca i obrzucając Meredith szybkim, zaciekawionym spojrzeniem.

Luc pocałował ją w oba policzki. - *Bonjour*, Mathilde. Pozwól, że ci przedstawię: oto pani Stratton. Jak ci mówiłem, przez weekend będzie naszym gościem.

Mathilde podeszła bliżej, uśmiechając się i potakując. Kobiety uściśniły sobie ręce, po czym Mathilde powiedziała: - Pokażę pani pokój, *madame* - i spoglądając na Luca, dodała szybko: - Tak jak pan proponował, *monsieur*, przygotowałam dla pani Stratton pokój pańskiej babki.

Luc podprowadził Meredith do klatki schodowej i powiedział: - Mam nadzieję, że pokój ci się spodoba, był jednym z ulubionych pokoi mojej babki. Właściwie jestem pewien, że ci się spodoba... jego okna wychodzą na wodę... właśnie na to malownicze jezioro, które zobaczyłaś najpierw. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak trafny był to wybór.

- Tak, z pewnością pokój będzie prześliczny.

Mathilde poprowadziła ich na górę, za nią szła Meredith i Luc. Pochód zamykał Vincent, który niósł dwie walizki gościa.

Mathilde pomaszerowała następnie długim korytarzem, wyłożonym grubym dywanem. Niemal całą jedną ścianę zajmowały okna. Wisiały tu liczne portrety, przedstawiające zapewne mniej ważnych członków rodziny, skazanych na to, by ich podobizny zdobiły jedynie korytarz.

- *Voilà!* - wykrzyknęła nagle Mathilde, otwierając gwałtownym ruchem drzwi. - Oto pokój *Grandmère* Rose de Montboucher, kobiety, którą wszyscy kochali.

- I której się bali - dodał Luc, mrugając do Meredith. - Czasami był z niej istny tyran, lecz bardzo, bardzo piękny tyran.

Widząc, że się rozgląda, wyjaśnił: - Jesteśmy w saloniku, sypialnia i łazienka są za tamtymi drzwiami. Ale wracając do tematu, moja babka zakochała się w tym apartamencie, gdy dziadek przywiózł ją tu po raz pierwszy. I odtąd zawsze już w nim mieszkała. Nawiasem mówiąc, jest tu nawet jej portret - to ten, który wisi nad kominem.

Meredith podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

Jej oczy spoczęły na obrazie, przedstawiającym niezwykle piękną młodą kobietę, której złotorude loki okalały pełną uroku twarz, osadzoną na długiej, białej szyi. Oczy pod łukami kasztanowych brwi wydawały się bardzo niebieskie, a szerokie usta świadczyły o szczodrej i wspaniałomyślnej naturze właścicielki.

Meredith podeszła bliżej kominka i z wielkim zainteresowaniem przyjrzała się portretowi. Artyście udało się uchwycić pewien szczególny rys osobowości kobiety - z jej uśmiechu przebijało wrodzone ciepło i poczucie osobistego szczęścia. Rose de Montboucher miała na sobie suknię z bładoróżowego szyfonu z miękko udrapowanym kołnierzem, ozdobioną sznurem pereł. Meredith zdecydowała, że portret musiał zostać namalowany w latach dwudziestych.

- Twoja babka była absolutnie wspaniała, nie ma dwóch zdań - powiedziała, spoglądając na niego przez ramię. - Przypuszczam, że musiała być nieco przewrotna, jest coś takiego w spojrzeniu tych skośnych oczu i tym zaraźliwym uśmiechu...

Luc skinął głową: - To doskonała charakterystyka. Uważam, że musiało być z niej niezłe ziółko, miała jednak tę szczególną radość życia, prawdziwą *joie de vivre*, której nie sposób było się oprzeć. Ja znałem ją już co prawda, gdy była znacznie starsza niż na portrecie, lecz nawet wtedy czuło się, że chęć do figli wcale jej nie opuściła, przeciwnie, jak mawiał mój ojciec, stale była do nich gotowa. Ojciec był jej pierwszym i najbardziej kochanym dzieckiem. Pamiętam też, że miała wspaniałe poczucie humoru i była doskonałą gawędziarką. Najwidoczniej udało jej się pocałować skałę w Blarney.

- Czy była Irlandką?

- Tak. Mój dziadek poznał ją w Dublinie. Na balu. Poszedł tam, by coś ustrzelić.

Mathilde wynurzyła się z sypialni z nieodłącznym Vincentem przy boku. - Czy życzy sobie pani, aby ktoś pomógł jej przy rozpakowywaniu? Mogę przysłać Jasmine...?

Meredith potrząsnęła głową. - Dziękuję, Mathilde, dam sobie radę sama.

Gospodyni skinęła głową, obdarzyła ją szybkim uśmiechem, spojrzała na Luca, skinęła głową i wymaszerowała z pokoju. Za nią postępował Vincent, na próżno starając się dotrzymać jej kroku.

- Chodzi za nią jak cień - powiedział Luc ściszone głosem, kiedy zostali sami. - To wspaniali ludzie, oboje, i pracują w Talcy przez całe życie, jak przedtem ich rodzice. Mają dwie córki, Jasmine i Philippine, a także syna, Jean-Pierre'a, który także pracuje w *château*. Zostawię cię teraz, byś mogła się odświeżyć. Czy jesteś absolutnie

pewna, że nie chcesz, żeby Jasmine pomogła ci przy ubraniach?

- Nie trzeba, naprawdę, dzięki.

Luc odsunął rękaw marynarki i spojrzał na zegarek.

- Jest dopiero trochę po dwunastej. Spotkajmy się zatem w bibliotece, powiedzmy, za godzinę, dobrze? Nie trzeba ci więcej czasu?

- Oczywiście, że nie.

Uśmiechnął się lekko, odwrócił na pięcie i skierował w stronę drzwi.

- Luc, a gdzie właściwie jest ta biblioteka? - spytała Meredith.

Odwrócił się i uśmiechnął przepaszająco: - Wybacz, zapomniałem, że nie znasz domu. Biblioteka to środkowy pokój w amfiladzie... to ten rząd połączonych ze sobą pokoi na prawo od wejścia. Napijemy się czegoś przed lunchem.

- Z przyjemnością.

Kiedy drzwi miękko zamknęły się za nim, Meredith wróciła przed kominek i jeszcze przez chwilę przyglądała się portretowi.

„Te roześmiane irlandzkie oczy” zanuciła półgłosem refren znanej starej ballady. I rzeczywiście, oczy Rose de Montboucher pełne były śmiechu, bez wątpienia miała też typowo irlandzką twarz. Meredith odsunęła się nieco dalej i z przekrzywioną na bok głową i zmrużonymi oczami nadal przyglądała się portretowi. Rose de Montboucher kogoś mi przypomina, pomyślała, nie mam jednak pojęcia kogo. Prawdopodobnie swego wnuka. Lecz nie, Luc był przecież brunetem o ciemnobrązowych oczach. Te złotorude loki i czyste, błękitne oczy zdawały się otwierać jakąś klapkę w jej pamięci, lecz wrażenie minęło, zanim na dobre zdołała je uchwycić, potrząsnęła więc tylko głową, rzuciła portretowi ostatnie spojrzenie i weszła do sypialni.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz, gdy tylko zobaczyła ciepłe, przytulne wnętrze z ogniem płonącym jasno na kominku, oświetlone lampami o jedwabnych abażurach. Całość utrzymana była w szaro-błękitnej tonacji: takie właśnie były tapety, a także zwiewne, układające się w fałdy zasłony ze srebrnoszarej tafty, sprawiającej wrażenie ręcznie haftowanej. Tego samego materiału użyto także na pokrycie boków wielkiego łóża z baldachimem. Po bliższej inspekcji Meredith uświadomiła sobie, że różowe, czerwone i żółte róże oraz zielone pędy winorośli zostały ręcznie namalowane na szarym jedwabiu. Było tam kilka foteli i śliczne siedzisko, pokryte perłowym aksamitem, ustawione w pobliżu kominka. W rogu stała niezwyklej urody antyczna toaletka, zrobiona w całości z weneckiego lustra.

Meredith spacerowała powoli po pokoju, zafascynowana otaczającym ją pięknem i licznymi przykładami dobrego smaku, przyglądając się wszystkiemu dokładnie i kiwając aprobująco głową nad każdym kolejnym obrazem czy dziełem sztuki. Niektóre rzeczy były dość zniszczone, a nawet sprawiały wrażenie lekko zaniedbanych, lecz mimo to całość stanowiła odbicie elegancji, luksusu i poczucia proporcji świata, który przeminął. Zarówno sypialnia, jak salonik, utrzymany w pastelowej, szaro-różowo-błękitno-zielonej kolorystyce, dopasowanej do barw zakrywającego podłogę dywanu Aubusson, wywoływały wrażenie spokoju i odprężenia, zachęcając do odpoczynku.

Okrążając sypialnię, Meredith podeszła w końcu do toaletki. Na jej lustrzanej powierzchni leżała kolekcja srebrnych szczotek Rose de Montboucher z inicjałami właścicielki, kryształowych flakonów na perfumy, pudełek na puder i róż zaopatrzonych w srebrne wieczka.

Po jednej stronie zgrupowanych bibelotów stała oprawiona w srebrną ramkę fotografia przystojnego,

ciemnowłosego mężczyzny w stroju wieczorowym. Meredith schyliła głowę, by lepiej się jej przyjrzeć. W pierwszej chwili sądziła, że fotografia przedstawia Luca, lecz szybko zdała sobie sprawę, że to nie mógł być on: krój stroju wskazywał, że zdjęcie musiało zostać zrobione w latach dwudziestych. Najwidoczniej był to więc jego dziadek. Jak bardzo Luc jest do niego podobny, myślała. Jego dziadek... wygląda zupełnie jak on.

Kiedy walizki zostały rozpakowane, Meredith wzięła ze sobą kosmetyczkę, weszła z nią do łazienki i stanęła zaskoczona wielkością pomieszczenia i ogniem płonącym wesoło na palenisku marmurowego kominka.

Łazienka była olbrzymia, z wysokim oknem, przyozdobionym białą, koronkową zasłoną, staroświecką wanną na nóżkach i zwieszającymi się nad nią dzwoniczami na służbę. Meredith zastanawiała się, czy dzwonki nadal działają, lecz powstrzymała się od wypróbowania ich, na wypadek gdyby rzeczywiście działały.

12

Na dole Luc de Montboucher siedział w swoim biurze przy rysownicy, przyglądając się odbitkom planów, sporządzonych przez kolegę z firmy architektonicznej, którą prowadził. Miał szczerzy zamiar przyjrzeć się im przed lunchem, w nadziei, że nie będą wymagały poprawek. Lecz jak do tej pory odbitki leżały przed nim nietknięte.

Jego myśli nie krążyły wokół planów. Krążyły wokół Meredith Stratton.

Od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczył ją w śróde rano we dworze w Montfort-L'Amaury, nie mógł przestać o niej myśleć, intrygowała go i, prawdę mówiąc, bardzo mu się podobała. Jako architekt i projektant był szczególnie wrażliwy na bodźce wzrokowe, więc to wygląd Meredith w pierwszej chwili obudził jego zainteresowanie. Podobał mu się jej wysoki wzrost, jej jasne włosy i cera, w zwłaszcza te zamglone zielone oczy, które powiedziały mu o niej tak wiele.

Była przystojną kobietą o dużym wyczuciu stylu. Odczuwał prawdziwą przyjemność, ilekroć na nią spoglądał. Doceniał także jej pewność siebie i opanowanie: budziły zaufanie i działały na niego kojąco. Kapryśne kobiety zawsze go denerwowały.

Już pierwsze godziny, spędzone w jej towarzystwie, przekonały go, że Meredith jest kobietą praktyczną, zorganizowaną, stanowczą i zdecydowaną w interesach. Te cechy musiały wydać się pociągające człowiekowi o takim zamiłowaniu do porządku jak Luc.

Nie znosił tych chaotycznych kobiet, prowokujących kłopoty wszędzie, gdzie tylko się pojawiły, żyjących w ciągłym nieładzie i powodujących nieład. Nic więc dziwnego, że energia i żywotność Meredith rozpraszały jego ponury nastrój, wprawiały go w dobry humor, dając mu radość życia, której nie doświadczał już od tak dawna.

Co za szkoda, że mieszka tak daleko, pomyślał, stukając ołówkiem w blat rysownicy. Nie była to jednak odległość, która czyniłaby jakikolwiek związek niemożliwym. Istniały przecież samoloty ponaddźwiękowe. Lecąc *concorde*'em mógłby znaleźć się na Manhattanie w trzy i pół godziny, no, może w cztery. Odbył taką podróż zaledwie trzy tygodnie wcześniej, kiedy to poleciał do Nowego Jorku, by spotkać się z klientem. Nic prostszego.

Luc pragnął, a właściwie odczuwał potrzebę, by poznać Meredith Stratton lepiej. Dużo lepiej. Bardzo blisko. Była atrakcyjna fizycznie, i to o wiele bardziej, niż każda inna kobieta, z którą spotykał się w ciągu ostatnich kilku lat. Już w środę wieczorem, po pierwszym spotkaniu z Meredith, zdał sobie sprawę, że jej pragnie. A jeśli mężczyzna nie zdaje sobie z tego sprawy po pierwszym spotkaniu, to czy kiedykolwiek będzie to wiedział? - zastanawiał się teraz. Tak samo pewnie jest z kobietami, pomyślał.

Niejako wbrew swoim chęciom zwierzył się Agnes, choć tylko do pewnego stopnia. Niemal powiedział jej o swoim zainteresowaniu Meredith, o swojej chęci poznania jej bliżej. Do zwierzeń doszło w czwartek wieczorem, kiedy zadzwonił do niej do domu. Nie mógł się powstrzymać. A potem zaprosił D'Auberville'ów i Meredith na weekend, lecz Agnes musiała odmówić, gdyż Alain i Chloe mieli grypę.

Doradziła mu jednak, by tak czy inaczej spróbował zaprosić Meredith samą. - Nie obawiaj się - obiecywała. - Po naszym piątkowym spotkaniu zaproponuję, abyśmy zjedli wspólnie lunch i wtedy będziesz mógł ją zaprosić. Postaram się, żeby wypadło to naturalnie.

Kiedy zaczął wysuwać różne obiekcje, oświadczyła ze śmiechem: - Nie bądź takim tchórzem, Luc. Meredith nie ma żadnych planów na weekend i nie zna w Paryżu nikogo poza nami. Przypadkiem wiem, że cię lubi, więc pewnie przyjmie zaproszenie. A tobie na pewno spodoba się jej towarzystwo. Meredith jest wspaniała, wszyscy ją kochają.

Kochają, pomyślał teraz. Czy on odnajdzie jeszcze miłość? Bardzo tego pragnął. Lubił kobiety, podziwiał je i szanował. Chciał się powtórnie ożenić. Nie miał najmniejszej ochoty spędzić reszty życia samotnie.

Lecz jak dotąd miłość nie przychodziła. Po śmierci Annick jego życie jakby stanęło w miejscu. Gdy końcu ocknął się z odrętwienia, podjął kilka prób ułożenia sobie życia na nowo. Próbował, jeden Bóg wie, jak bardzo. Lecz wszelkie próby zakończyły się fiaskiem.

To prawda, że zaprzyjaźnił się bliżej z kilkoma kobietami, lecz choć były bardzo miłe, jednak żadna z nich nie rozpałała w nim tej iskiej. Zaczął już się zastanawiać, czy owa iska nie opuściła go na zawsze i ostatecznie zdecydował, że najwidoczniej tak właśnie się stało. Niemal już zdołał przekonać o tym samego siebie, gdy spotkał Meredith. Tak go oczarowała, nie czyniąc w tym kierunku żadnych wysiłków, że aż go to przestraszyło. To było rzadkie uczucie i silne pragnienie, a właściwie potrzeba połączenia się z inną istotą. Chęć, by stać się częścią jej życia, podążać jej śladem.

Jak często mężczyzna czuje coś takiego? Pewnie tylko raz w życiu. Natychmiast poprawił się: w jego przypadku były to dwa razy, to samo odczuwał wobec Annick.

Meredith Stratton, powiedział szeptem i napisał jej imię na bloczku do notowania, który leżał przed nim na stole.

Kim jesteś, Meredith Stratton? I czym tak bardzo się martwisz? Skąd bierze się ten głęboki smutek? Kto skrzywdził cię tak bardzo, że zranił ci duszę? Kto złamał ci serce? Instynktownie wyczuwał, że Meredith musiało kiedyś spotkać jakieś wielkie nieszczęście. Dostrzegął ból w jej zamglonych zielonych oczach, widział mieszcujący się w nich smutek. Pragnął złagodzić ten ból, odegnąć smutek - wiedział, że potrafi tego dokonać, jeśli tylko będzie miał szansę.

Luc nie chciał wypytywać o Meredith Agnes, choć bardzo pragnął to zrobić. Wścibstwo nie leżało jednak w jego

naturze. A poza tym czuł, że w jakiś szczególny sposób zna Meredith, wie, jakim jest człowiekiem. Jest dobrą kobietą.

Jak brzmiało to wyrażenie, którego z takim upodobaniem używała jego piękna irlandzka babka? „Szczere złoto”. Rosie de Montboucher powiedziała mu: „Twój dziadek to szczere złoto, Luc”.

I taka właśnie jest Meredith.

Mały czarny zegar, stojący na rysownicy, wskazywał już niemal dwunastą trzydzieści. Nagle, zniecierpliwiony, odrzucił ołówek i wstał, rozprostowując swe długie nogi. Zmęczyło go siedzenie, a poza tym czuł się zdrętwiały po długiej jeździe z Paryża.

Wyszedł z gabinetu, wbiegł na piętro i poszedł korytarzem w stronę swojej sypialni. Zrzucił sweter i wszedł do łazienki. Opłukał twarz zimną wodą i uczesał włosy.

Przez chwilę przyglądał się sobie w lustrze. W jego czarnych włosach pojawiły się już pierwsze srebrne pasma. Przyjrzał się dokładniej i stwierdził, że jego twarz wydaje się zmęczona. Wokół oczu rysowały się zmarszczki. Wyglądam na więcej niż czterdzieści trzy lata, pomyślał.

Meredith także niedawno przekroczyła czterdziestkę. Agnes dała mu to do zrozumienia, zanim Meredith przyjechała z Londynu. Zastanawiał się, czy jest jeszcze dość młoda, by mieć dziecko. Przypuszczał, że to zależy od kobiety. Zawsze pragnął dziecka. Aby podtrzymać ród. Lecz nawet gdyby okazało się, że nie może go mieć, na dłuższą metę nie miało to znaczenia. Życie było nieustanną walką, i Luc nagle uświadomił sobie, że pragnie czerpać z życia pełnymi garściami, cieszyć się nim i być szczęśliwym. W miłości nie chodzi przecież tylko o potomstwo.

Meredith. Ona potrafiłaby uczynić mnie szczęśliwym. Czuję to w kościach, a kości nie kłamią, jak często mawiała babcia Rosie, gdy był dorastającym chłopcem. Wiele możesz się z nich dowiedzieć, dodałaby. Dobra rasa, Luc. Spójrz na konie. Nawet jeśli mają dość sił życiowych, to nie wystarczy, potrzebna jest jeszcze wrodzona szlachetność. Znam się na tym, Luc, jestem dobrym sędzią. *Qui, Grand-mere*, odpowiadał posłusznie. Luc, dzisiaj mówimy po angielsku. Tak, babciu. Ufaj swoim przeczuciom, Luc, powtarzała. One nigdy cię nie okłamią, nigdy. Och, babciu Rosie, pomyślał, uśmiechając się mimo woli, byłaś doprawdy niezwykła.

Odwracając się od lustra, pośpieszył do sypialni, wyjął z szafy szarą tweedową marynarkę, włożył ją na czarny sweter i ciemnoszare spodnie, które miał już na sobie, i wyszedł z pokoju.

Zbiegł szybko po schodach, przemierzył hall wejściowy i wpadł do biblioteki.

Obrzucił pomieszczenie szybkim spojrzeniem. Wszystko było w porządku: na kominku płonęło drewno, trzaskając wesoło, taca z drinkami była dobrze zaopatrzona, zobaczył też, że przyniesiono butelkę szampana Dom Perignon, stojącą teraz w srebrnym kubelku, wypełnionym lodem. Nie pozostawało już nic, jak tylko czekać, aż pojawi się Meredith.

Podszedł do jednego z francuskich okien i stał tam, spoglądając na ogród i rozmyślając, jak niezwykle wyglądają klomby: przycięte ciemnozielone żywopłoty pokryte były cienką warstwą białego niczym lukier śniegu, zamazującego ich wyraziste, geometryczne kontury. Z zadowoleniem pomyślał, że jego siostry nie zdecydowały się przyjechać na weekend do Talcy. Choć kochał je bardzo i lubił ich mężów, z ulgą myślał o tym, że tym razem będzie miał dom wyłącznie dla siebie. Nie miał zamiaru

uwodzić Meredith, nie było to w jego stylu - pragnął, by sprawy potoczyły się swoim trybem. Nie chciał jednak, by Meredith czuła się spięta, wystawiona na pokaz przed jego rodziną.

Nagle usłyszał cichy odgłos kroków.

Odwrócił się od okna i popatrzył wyczekująco na drzwi pokoju, sąsiadującego z biblioteką. Meredith szła w jego stronę, on zaś odczuł znów tę samą przyjemność, jaką sprawiał mu zawsze jej widok. Był podekscytowany niczym chłopiec.

- Aaa, jesteś! - zawołał, podchodząc bliżej. - Chodź, Meredith, podejdź do ognia, tu jest cieplej. Napijesz się szampana?

- Z przyjemnością, Luc - odparła.

Podszedł, by otworzyć butelkę, nie mógł się jednak powstrzymać, by nie przyglądać się jej kątem oka. Miała na sobie beżowy żakiet w kratę, a pod nim kremowy kaszmirowy sweter i spodnie. Pomyślał, że wygląda wręcz oszalamiająco. Uśmiechnął się lekko do siebie. Oczywiście, że tak. Nie miał żadnych wątpliwości, że tam, gdzie chodziło o Meredith Stratton, jego osąd daleki był od bezstronności.

Kiedy usadowili się już z kieliszkami naprzeciw kominka, Luc zapytał: - Mam nadzieję, że masz wszystko, czego potrzebujesz i jest ci wygodnie w pokojach babki.

- O tak, dziękuję bardzo. Są takie piękne, no i ta łazienka! Dobry Boże, ni mniej, ni więcej, tylko kominek! - Zaśmiała się i dodała: - Co za luksusy. Zepsujesz mnie do szczętu.

Zaśmiał się wraz z nią. - Wszystkie sypialnie na tym piętrze mają kominki w łazienkach, lecz niezbyt często ich używamy - prawdę mówiąc, właściwie tylko dla gości, i to kiedy jest zimno. Utrzymanie ognia wymaga wiele wysiłku. Dawniej, w czasach mojego pradziadka, a nawet

jeszcze kiedy żył dziadek, mieli tu istną armię służby, która zajmowała się wszystkim. Lecz dzisiaj trudno o sprawny personel, a poza tym utrzymanie go jest bardzo kosztowne, toteż ograniczyliśmy znacznie korzystanie z takich luksusów, jak kominki.

- Nie mogę powiedzieć, że bym miała ci to za złe. - Spojrzała na niego, uśmiechając się ciepło. Bardzo go lubiła i chciała dowiedzieć się o nim więcej. - Wychowałeś się tutaj? - spytała z zaciekawieniem.

- Tak, z moimi siostrami: Isabelle i Natalie. Są młodsze ode mnie, mimo to bawiliśmy się zawsze wspaniale. Takie posiadłości doskonale nadają się do wychowywania dzieci.

- To musiało być idylliczne dzieciństwo.

- Tak przypuszczam, choć wtedy wcale tak mi się nie wydawało. Mój ojciec był raczej wymagający. I bardzo dobrze.

Przez chwilę przyglądał się jej znad krawędzi kieliszka.

- Posmutniałaś. Czy coś się stało?

- Och, nie, wcale nie - odparła szybko. - Myślałam po prostu, jak inne było moje dzieciństwo - umilkła nagle, zastanawiając się, co skłoniło ją, by to powiedzieć. Rzadko rozmawiała o swoim dzieciństwie.

Choć w żaden sposób nie mógł wiedzieć, o czym myśli, podejrzewał jednak, że powiedziała więcej, niż zamierzała. Poznał to po wystraszonem wyrazie jej twarzy. Zapytał więc szybko: - Ale ty też wychowałaś się na wsi, prawda? W Connecticut?

Potrząsnęła głową. - Nie. Przypuszczam, iż Agnes powiedziała ci, że pochodzę z Connecticut, że tam jest mój dom rodzinny i moja gospoda. To wszystko prawda, lecz właściwie wychowałam się w Australii. Dzieciństwo spędziłam w Sydney.

- Jesteś Australijką?

- Tak, a przynajmniej tam się urodziłam i taka jest moja narodowość, choć zostałam obywatelką amerykańską, gdy miałam dwadzieścia dwa lata. - Oparła się o ozdobne poduszki, popatrzyła wprost na niego i dokończyła: - To znaczy, dokładnie dwadzieścia trzy lata temu.

- Masz czterdzieści pięć lat? Nie wydaje mi się to możliwe. Na pewno na tyle nie wyglądasz! - wykrzyknął Luc, szczerze zdziwiony.

- Dziękuję ci. Prawdę mówiąc, mam czterdzieści cztery. Na początku maja skończę czterdzieści pięć.

- Ja mam czterdzieści trzy... Trzeciego czerwca skończę czterdzieści cztery. - Przez chwilę panowała cisza, a potem Luc zapytał ostrożnie, starając się nie przywołać złych wspomnień: - Z tonu, jakim to powiedziałaś, odniosłem wrażenie, że twoje dzieciństwo nie było zbyt szczęśliwe.

- To prawda. Było okropne. Po prostu straszne. Żadne dziecko nie powinno przechodzić przez coś takiego - powiedziała gwałtownie, a potem przygryzła wargę i odwróciwszy twarz, wpatrzyła się w ogień.

Tu więc znajduje się źródło bólu, pomyślał, a przynajmniej jego części. Na pewno nie powiedziała mu wszystkiego. Nie odzywał się, pragnąc dać jej czas, by mogła zapanować nad emocjami.

W końcu powiedział tylko: - Przykro mi słyszeć, że cierpiałaś, Meredith. Co ci się przytrafiło?

- Bardzo wczesnie zostałam sierotą. Miałam wówczas dziesięć lat. Moi rodzice zginęli w katastrofie samochodowej. Potem mieszkałam przez jakiś czas w różnych miejscach... trochę tu, trochę tam... Nie było mi łatwo... - Przerwała, wzdrygnęła się, a potem, widząc skierowane na nią spojrzenie Luca, zmusiła się do uśmiechu i dokończyła: - Lecz było to tak dawno temu, że, prawdę mówiąc, zdążyłam już o tym zapomnieć.

Nieprawda, powiedział do siebie w myślach i spytał:

- Kiedy przyjechałaś do Ameryki?

- Gdy miałam siedemnaście lat. Pojechałam do Connecticut z amerykańską rodziną, u której pracowałam w Sydney jako opiekunka do dziecka. Potem pracowałam u Jacka i Amelii Silverów. Oni... kompletnie zmienili moje życie. Ciepły uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Byłam dla nich niczym młodsza siostra. Widzisz, Luc, oni nie byli tak wiele starsi ode mnie, mieli nieco ponad trzydziestkę. Tak czy inaczej, traktowali mnie jak członka rodziny. Amelia i Jack wynagrodzili mi wszystkie te złe lata.

Luc skinął głową, wstrzymując się od komentarza. Siedział, wpatrując się w jej zamglone zielone oczy. Smutek, który dostrzegał w nich przed chwilą, ulotnił się, lecz wiedział, że tylko chwilowo. Zastanawiał się, czy potrafiłby odpędzić go od niej na zawsze - teraz już nie był tego taki pewny. Wiedział jednak, że chciałby przynajmniej spróbować.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz, Luc? - zapytała Meredith. - Czyżbym miała smugę na nosie lub coś takiego?

- Nie, oczywiście, że nie. - W jego ciemnych oczach zapłonęły nagle isierki. - Prawdę mówiąc, po prostu cię podziwiałem. Jesteś piękną kobietą, Meredith.

Poczuła, jak zdradziecki rumieniec pełnie powoli po jej szyi i zalewa twarz. Czowała się zażenowana. Mężczyźni mówili jej już przedtem komplementy, dlaczego więc zaczerwieniła się, kiedy Luc to powiedział? - Dzięki - wykrztusiła w końcu. Ostry dźwięk telefonu wybawił ją z opresji.

Luc wstał i odszedł, by podnieść słuchawkę. - Clostalcy, *bonjour*. Przez chwilę słuchał, po czym powiedział: - Proszę chwilę poczekać. - I, zwracając się do Meredith, dodał: - To twoja córka, Catherine.

Twarz Meredith pojaśniała z radości. Zerwała się i podbiegła do biurka, dziękując po drodze Lucowi.

Luc skinął głową, podszedł do okna i stał tam, wyglądając na zewnątrz, z głową pełną myśli o tej kobiecie. Sądził, że ją zna, a jednak zdołała go zaskoczyć. Otaczała ją aura jakiejś tajemnicy. Uważał, że jest porywająca.

- Cześć, Catherine, jak się masz? - spytała Meredith, wsłuchując się uważnie w głos córki, dolatujący do niej przez Atlantyki. Uśmiechnęła się szeroko: - Tak, kochanie, bardzo się cieszę i jestem taka podekscytowana. - Chwyliła mocniej słuchawkę, przez chwilę słuchała, po czym powiedziała: - Tak, będę w Paryżu w poniedziałek i nie, nie wrócę do domu w następnym tygodniu. - Teraz mówiła Catherine, a potem Meredith zakończyła rozmowę: - Tak, dobrze, zadzwonię do ciebie we środę. Ucałowania dla Keitha. Nie zapomnij powiedzieć Jonowi. Baw się dobrze. Kocham cię, Cat. Do usłyszenia, pa.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do Luca, gdy ten odwrócił się do niej, spoglądając wyczekująco.

- Moja córka właśnie się zaręczyła. Wczoraj wieczorem. I teraz chodzi z głową w chmurach. - Zamrugła i odwróciła wzrok, by pozbyć się niespodziewanych łez. Była taka szczęśliwa z powodu Catherine, że emocje na moment wzięły nad nią górę.

- Cóż za wspaniałe nowiny! Ta okoliczność wymaga toastu i jeszcze jednego kieliszka bąbelków, jak zwykła to nazywać babcia Rosie.

Luc napełnił kryształowe kieliszki, po czym podniósł swój i delikatnie stuknął nim o kieliszek Meredith. - Za miłość... i szczęśliwe zakończenie - powiedział cicho, wpatrując się w nią swymi ciemnymi oczami.

Meredith odwzajemniła spojrzenie, czując, jak rumieniec znowu wypływa jej na policzki. - Za miłość i szczęśliwe zakończenie, Luc - powtórzyła, upijając łyk szampana.

A potem podeszła do sofy i usiadła, nagle zażenowana tak bardzo dającą się odczuć obecnością Luca.

Luc podążył za nią, lecz nie usiadł. Stał przed kominkiem, odwrócony do niego plecami. - Ile lat ma twoja córka?

- Dwadzieścia pięć. Mam jeszcze syna, Jonathana, dwudziestojednoletniego. Studiuje prawo w Yale.

Uśmiechnął się i oświadczył: - Ja też tam studiowałem, architekturę. To były studia podyplomowe po ukończeniu Sorbony. Co za zbieg okoliczności! I co, podoba mu się tam?

- Tak.

- Cieszę się. Mnie także się podobało. Najlepsze lata mojego życia - zachichotał.

- Naprawdę?

- Pod pewnymi względami. Były też inne dobre lata, przedtem i potem. Upił łyk szampana, a jego twarz przybrała zamyślony wyraz.

- Luc?

- Tak?

- Czy byłeś kiedyś żonaty?

- O, tak. Czy Agnes nie opowiadała ci o mnie? - zapytał, unosząc pytająco jedną brew.

- Nie - zachmurzyła się. - Dlaczego sądzisz, że miałaby mi opowiadać?

- Bez specjalnego powodu - odparł, wzruszając ramionami. - Po prostu tak sobie pomyślałem, i to wszystko. A wracając do twojego pytania: tak, byłem żonaty. Moja żona zmarła sześć lat temu. Jednego dnia Annick była jeszcze zdrowa, a następnego już umierała na raka. Był wyjątkowo złośliwy, odeszła w pół roku po postawieniu diagnozy. Miała zaledwie trzydzieści siedem lat. - Odchrząknął. - Byliśmy małżeństwem przez osiem lat.

- Och, Luc, tak mi przykro. Co za tragedia. Jaka straszna strata. - Meredith spojrzała na niego, zmartwiona, mając nadzieję, że wspomnienia o żonie nie sprawiły mu zbyt wiele bólu. Ależ była niemądra i bezmyślna, po co w ogóle poruszała ten temat!

- Nie mieliśmy dzieci - dodał Luc, niepytany.

Meredith milczała, patrząc przed siebie, zatopiona w myślach.

Luc odstawił kieliszek na stolik do kawy, stojący pomiędzy sofami, dorzucił parę drew do ognia i wyprostował się. Wziął kieliszek i upił spory łyk szampana.

W panującej w pokoju ciszy słychać było jedynie trzask płonących na kominku polan i ciche tykanie zegara.

W końcu Meredith powiedziała: - Niczyje życie nie jest proste, cokolwiek byśmy o nim myśleli. Zawsze jest w nim jakieś cierpienie, kłopoty, choroba... Strata... taka czy inna.

- Tak... to szczerą prawdą. Moja irlandzka babka była nie tylko piękna, ale i bardzo mądra. Gdy dorastaliśmy, powtarzała nam ciągle, że życie jest ciężkie, że zostało stworzone jako ciężkie i nigdy nie będzie inne. I dlatego my, śmiertelnicy, powiedziałyby zapewne, musimy chwycić każdą odrobinę szczęścia, jaka nam się nadarza. A kiedy znajdziemy właściwą osobę, powinniśmy trzymać się jej i nie opuszczać. Nigdy, przez całe życie. Tak właśnie mawiała i coś mi mówi, że miała rację.

- Jakoś nigdy nie spotkałam właściwej osoby - powiedziała Meredith, zaskoczona własnymi słowami, natychmiast żałując, że to powiedziała.

- A ja tak. - Lecz ona umarła. Luc przez chwilę patrzył przed siebie, tak jakby było tam coś, co dostrzec mógł tylko on. Po chwili powiedział: - Potem nie spotkałem już nikogo. Lecz nie straciłem nadziei... - popatrzył na nią znacząco, ale Meredith zdawała się nie dostrzegać oczywistej wymowy tego spojrzenia.

- Ojciec Catherine zmarł - odparła nagle - a poza tym i tak był żonaty... nigdy nie mogłabym go poślubić. Rozwiodłam się z ojcem Jona... to małżeństwo od początku nie miało racji bytu... zupełnie do siebie nie pasowaliśmy... - Pozwoliła, by ostatecznie zdanie zawisło w powietrzu, niedopowiedziane.

- Czy to było dawno temu? Twój rozwód...

- Szesnaście lat temu.

Zwierzenia, pomyślała. I jeszcze więcej zwierzeń. Co mnie napadło? Dlaczego mówię mu o tych wszystkich osobistych sprawach? Ten człowiek to obcy.

- Spotkasz właściwą osobę, Meredith, wiem, że tak będzie. Chciał dodać, iż być może już ją spotkała, jednak się powstrzymał.

W drzwiach biblioteki pojawiła się Mathilde. Chrząknęła i Luc spojrział na nią. - Ach, to ty, Mathilde. Czy lunch już gotowy?

- *Qui, monsieur.*

- *Merci.* - I zwracając się do Meredith, zauważył: - Nie wiem, jak ty, ale ja konam z głodu.

- Prawdę mówiąc, ja także.

Prowadząc ją przez bibliotekę w kierunku jadalni, Luc wyjaśnił: - Poleciłem Mathilde, by przygotowała coś prostego: zupę jarzynową, zwykły omlet, zieloną sałatę, ser i owoce. Mam nadzieję, że ci to odpowiada.

- Doskonale - odparła Meredith, spoglądając na niego.

Luc uśmiechnął się do niej ciepło, wziął ją pod ramię i poprowadził do jadalni, gdzie czekała już Mathilde, by podać im lunch.

Nagle Meredith przestała przejmować się tym, że powiedziała mu o sobie tak dużo. Wiedziała, że nie będzie jej oceniał - ufała Lucowi de Montboucher.

I czuła się przy nim bezpieczna.

13

Po lunchu Luc zabrał Meredith na spacer po parku, otaczającym Clos-Talcy. Przechadzali się, rozmawiając o różnych sprawach, lecz w końcu wrócił temat jego babki. Luc opowiedział Meredith wiele zabawnych historyjek, związanych z Rose de Montboucher, nieustannie podtrzymując dobry nastrój swej towarzyszki.

W pewnej chwili Meredith powiedziała: - Sposób, w jaki o niej mówisz, sprawia, że staje przede mną jak żywa. Bardzo żałuję, że jej nie znałam.

- Na pewno by ci się spodobała - odparł Luc, spoglądając na Meredith. - Była bardzo szczególną osobą. Miała w sobie ducha, odwagę i silny charakter, naprawdę przewodziła naszej rodzinie. W jedwabnych rękawiczkach, oczywiście. - Roześmiał się i opowiadał dalej: - Mój ojciec uwielbiał się z nią droczyć, a kiedy nadchodziły urodziny babci, miał zwyczaj unosić kieliszek i mówić: „Za tego wspaniałego faceta o imieniu Rosie” - trawstując znany cytat z Woltera.

- Który powiedział tak do Katarzyny Wielkiej, gdy spotkał ją po raz pierwszy w Rosji - zauważyła Meredith. - To jedna z moich ulubionych postaci historycznych, przeczytałam o niej sporo biografii. Ona także była silna i odważna. Żyła według własnych praw.

- Tak, lecz czyż nie postępuje tak większość silnych kobiet?

- Tak, to prawda... choć nie zawsze z własnej woli. Czasami bywają do tego zmuszone, bo po prostu nie mają wyboru.

Luc ujął ją pod ramię i poprowadził ścieżką, wiodącą do znajdującego się przed nimi sadu. - W 1871 roku, gdy

mój praprapradziadek odkupił Talcy od rodziny Delorme, zbudował tu staw rybny. Zasilany przez płynący lasem strumień, stanowił wspaniały przykład ówczesnych umiejętności inżynierskich.

Gdy doszli do brzegu, Meredith zatrzymała się, by spojrzeć w jego mroczne głębie. - Tam naprawdę są ryby - powiedziała, zdziwiona.

- Oczywiście. Gdy byłem małym chłopcem, przychodziłem tu łowić wraz z siostrami. Mieliśmy wędkę i żyłki, a czasami przyłączała się do nas babcia Rosie. Była niezłym wędkarzem.

- Wcale mnie to nie dziwi. - W milczeniu obeszli staw, zawrócili i skierowali się w stronę lasu. Po chwili Meredith powiedziała cicho: - Twoja babka miała na ciebie wielki wpływ, prawda?

- O, tak. Widzisz, właściwie to ona nas wychowała. Moja matka umarła w połogu, gdy byłem dzieckiem, dając życie naszemu braciszкови, Albertowi. Poród był przedwczesny i dziecko po kilku dniach także zmarło. W lecie minie trzydzieści trzy lata, odkąd to się stało.

- Co za tragedia dla ciebie i twoich sióstr... dla całej rodziny.

- Wszyscy bardzo ciężko to przeżyliśmy, zwłaszcza ojciec. Nigdy więcej się nie ożenił. Wydaje mi się, że opłakiwał moją matkę do samej śmierci.

- To znaczy, do kiedy?

- Zmarł dwa lata temu. Nie był jeszcze bardzo stary, miał siedemdziesiąt jeden lat, a cóż to za wiek w dzisiejszych czasach. Zmarł nagle, na atak serca. Był wtedy w tajni i pewnie nawet nie wiedział, co mu się przytrafiło. I Bogu dzięki, ponieważ nie wyobrażam go sobie jako inwalidy - był bardzo czynnym mężczyzną, uwielbiał sport.

- A twoja babka? Kiedy zmarła?

- W 1990. Miała dziewięćdziesiąt lat. Do końca była bardzo sprawna, ani cienia sklerozy czy innych starczych przypadłości. O tak, nadal sprawowała tu władzę. Aż wreszcie któregoś dnia położyła się do łóżka i więcej nie wstała, po prostu odeszła we śnie, bardzo spokojnie. Byłem zadowolony, że nie cierpiała. Ani mój ojciec, jeśli już o tym mowa.

- Uważam, że to najlepszy sposób: odejść, że tak powiem, „w ostrogach” - powiedziała Meredith, rozmyślając na głos. - Albo we śnie, jak twoja babka. Śmierć w starszym wieku to coś zupełnie naturalnego. - Meredith odwróciła się do Luca i się uśmiechnęła. - Ten portret w moim pokoju jest prześliczny, prawda? Zastanawiałam się, w jakim mogła być wieku, gdy został namalowany. Luc zmarszczył brwi i zamyślił się. - Nie jestem całkiem pewny. To musiało być zaraz po ślubie z moim dziadkiem, gdy przyjechała z nim do Talcy. Mogła mieć wtedy dwadzieścia parę lat.

- Tak właśnie myślałam. Ten obraz przypomina mi kogoś, lecz nie wiem kogo.

- Moja siostra Natalie jest do niej podobna, ale ty nie znasz Natalie. A może?

Meredith roześmiała się i potrząsnęła głową. - Nie, nie znam.

- Natalie fizycznie bardzo przypomina babkę, także jest bardzo ładna, lecz nie odziedziczyła po niej charakteru. Ani ona, ani Isabelle. Z całej naszej trójki tylko ja przypominam ją pod tym względem - przyznał.

- Tak naprawdę, to ona cię ukształtowała, czyż nie?

- Zdecydowanie. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że myślę jak ona i nawet staram się tak postępować. Kiedy ktoś naprawdę wywrze na ciebie wpływ w dzieciństwie, zawsze pozostawi na tobie swój ślad. Niedające się usunąć piętno. A kto pozostawił swój ślad na tobie, Meredith?

- Nikt - odparła gwałtownie, przygryzając wargę, kiedy uświadomiła sobie, że jej słowa musiały zabrzmieć wręcz gniewnie. Po chwili mówiła dalej, już spokojniejszym tonem. - Musiałam przebrnąć przez to sama, starając się robić, co w mojej mocy, bez przerwy się ucząc. Nikt na mnie nie wpływał. Nie było w moim życiu nikogo, kto mógłby to robić, absolutnie nikogo.

Byłam zupełnie sama.

Rozmawiając, zatrzymali się obok jednej z fontann i teraz stali tam, zwrócenii do siebie twarzami. Smutek, bijący z jej słów, poruszył Luca. Pragnął wziąć ją w ramiona i mocno przytulić. Lecz nie śmiał. Już miał powiedzieć coś pocieszającego, gdy nagle jego towarzyszka uśmiechnęła się. Smutek sieroctwa zniknął w jednej chwili, Meredith zaś powiedziała: - Był jednak ktoś później, gdy byłam nieco starsza... miałam osiemnaście lat. Amelia Silver. Pokazała mi, jak robić różne rzeczy, nauczyła mnie wiele o sztuce i antykach. Miała wspaniałe wyczucie stylu i artystyczną naturę. Jej mąż, Jack, także wywarł na mnie wielki wpływ, choć w inny sposób.

- Czy Silverowie nadal mieszkają w Connecticut?

- O, nie, oboje już nie żyją. Umarli dawno temu, ponad dwadzieścia lat. To smutne, gdyż obydwójce nie byli starzy.

- Bardzo mi przykro. Byli dla ciebie niczym rodzina, prawda?

Skinęła głową, odwrócona do niego profilem. - Kiedy zmarł Jack, miałam dwadzieścia dwa lata, dwadzieścia trzy, gdy Amelia podążyła w jego ślady. Byliśmy razem zaledwie przez kilka lat.

Widząc powracający na jej twarz wyraz smutku, Lucia ujął ją za rękę. - Chodź, pójdziemy do dużego jeziora, jest tak malownicze, to jeden z najpiękniejszych zakątków parku.

Nim doszli do odległego krańca jeziora, Meredith źle się poczuła. Nachodziły ją fale mdłości, odczuwała też dziwną niemoc w mięśniach. W pewnej chwili, gdy

wydawało jej się, że za chwilę upadnie, złapała mocno Luca za rękę i powiedziała słabym głosem: - Nie wiem, co mi jest, lecz czuję się strasznie. Mam mdłości i jestem jakaś dziwnie zmęczona.

Luc popatrzył na nią, zatroskany. - Mam nadzieję, że nie zaraziłaś się grypą od Agnes...

- Wątpię, a poza tym Agnes przecież nie chorowała.

- Ona nie, lecz jej rodzina. A może to z powodu wina?

Czy mogło ci zaszkodzić?

Potrząsnęła głową. - Nie piłam zbyt wiele. Przypominam sobie teraz, że miałam lekkie mdłości, już kiedy przyleciałam do Paryża we wtorek wieczorem. Spędziłam rano włączając się po ruinach opactwa w Yorkshire, a było okropnie zimno. Wtedy wieczorem pomyślałam, że pewnie się przeziębiam, lecz rano wszystko było w porządku, więc może po prostu jestem przemęczona.

- To możliwe, wracajmy lepiej do domu. Musisz odpocząć przez resztę popołudnia. - Otoczył ją ramieniem i razem wrócili do *château*.

Luc odprowadził Meredith do jej pokoi i teraz krzątał się wokół niej, pomagając zdjąć buty i zmuszając ją, by położyła się na sofie. Dorzucił kilka sporych szczap do kominka, a potem przyniósł gruby kaszmirowy pled i ją okrył.

- Nie zasypiaj - powiedział. - Za chwilę będę tu z powrotem z całym dzbankiem gorącej herbaty z cytryną, osłodzonej miodem. Na pewno bardzo dobrze ci zrobi...

to jeden z ulubionych domowych sposobów babki. - Wyszedł z pokoju, zamykając za sobą cicho drzwi.

Meredith oparła głowę na stosie miękkich poduszek i zamknęła oczy - była tak śpiąca, że z trudem unosiła powieki.

Musiała widocznie zasnąć, gdyż obudziła się, drgnąwszy, gdy Luc odgarniał jej z twarzy kosmyk włosów. Ten intymny gest przestraszył ją w pierwszej chwili, lecz zaraz

uświadomiła sobie, że wcale nie przeszkadza jej, że to zrobił. Jego zachowanie wydało jej się nagle zupełnie naturalne.

- Postawiłem herbatę na stoliku obok sofy - powiedział, zniżając głos. - Wypij trochę, póki jest gorąca. A teraz pójdę sobie i pozwolę ci wypocząć. - Uścisnął jej ramię.

- Dziękuję, Luc, jesteś taki miły. Przykro mi, że musiałam skrócić nasz spacer, ale...

- Nie przejmuj się tym - powiedział szybko. - To nie takie ważne.

- Czy mógłbyś zgasić lampę?

- Oczywiście. A teraz odpoczywaj - powiedział i wyszedł z pokoju.

Meredith przewróciła się na bok i leżała tak zwinięta w kłębek pod kaszmirowym pledem, wpatrując się w płonący na kominku ogień. Szczapy syczały i trzeszczały, posyłając w górę komina snopy złotych iskier. Uniosła wzrok i przez dłuższy czas wpatrywała się w portret Rose de Montboucher.

Światło popołudnia gasło raptownie i pokój wypełniły cienie, lecz płonące na kominku polana rzucały różowawy blask. W tym miękkim świetle zdawało się Meredith, że portret Rose ożywa.

Jej twarz zdała się pełna życia, błękitne niczym ostróżka oczy błyszcząły radością, a rudozłote loki otaczały delikatną twarzyczkę niczym płonąca, miedziana aureola. Jakże była piękna... i taka... promienna.

Powieki Meredith opadły. Podała się ogarniającej ją fali przyjemnego ciepła. Jej myśli krążyły wokół tej twarzy... wspomnienia domagały się, aby dopuścić je do świadomości... nadpływały oderwanymi fragmentami... Zapadła w głęboki sen. I śniła.

Rozległy krajobraz ciągnął się milami. Nigdzie w zasięgu wzroku nie widać było nic prócz pustki. Było coś dziwnie niezwykłego w tym krajobrazie, pozbawionym drzew, gdzie nic nie kwitło na wysuszonej, poprzecinanej szczelinami ziemi.

Szła już od tak dawna, jak tylko mogła sięgnąć pamięcią. Zdawało jej się, że trwa to całe wieki. Była zmęczona, lecz jakiś wewnętrzny przymus popychał ją wciąż dalej i dalej. Wiedziała, że gdzieś tam muszą przecież być. Dzieci. Przyszła tu za nimi. Lecz gdzie miała ich szukać? Przebiegała spojrzeniem niegościnnie krajobraz, lecz okolica była pusta. Nie było miejsca, w którym mogłyby się schować.

Pomóż mi je znaleźć, proszę. O Boże, pomóż mi je odnaleźć, błagała. I zaraz zdała sobie sprawę, że jej błagania nie padną na podatny grunt. Nie było tam Boga. Nie na tym pustkowiu. Nie w tym piekle.

A potem niespodziewanie zauważyła, że coś porusza się blisko ledwie widocznej linii horyzontu. Zaczęła biec. Spękana, sucha ziemia nagle zmieniła się w błoto, które sprawiało, że buty zapadały się głęboko, nie pozwalając jej biec. Nie poddawała się jednak. Wkrótce grunt znów stał się suchy, a ona biegła i biegła, wciąż dalej i dalej.

Dwie małe plamki na horyzoncie przybliżały się coraz bardziej, to pojawiając się, to znów znikając, jakby poruszały się skokami: to w przód, to znowu w tył. Zobaczyła małego chłopca, trzymającego za rękę dziewczynkę. Kiedy podbiegła jeszcze kawałek, dzieci nagle przybliżyły się do niej. Biegła, tym razem już prawie je doganiała. Szli powoli, krok w krok, trzymając się za ręce. Zawołała, by na nią poczekali, lecz nie zrobili tego. Szli dalej, jak gdyby w ogóle jej nie słyszeli. Wygląd nieba zmienił się: przybrało teraz dziwny, szarzielony odcień, zerwał się też silny wiatr, który popychał ją do przodu.

Nagle chłopiec uleciał w powietrze, jakby porwany podmuchem, i zniknął gdzieś na niebie.

Mała dziewczynka była teraz sama. Nagle odwróciła się i zaczęła biec w jej stronę. Meredith pośpieszyła jej na spotkanie, poruszona do głębi patetycznym wyrazem jej bladej, ściągniętej twarzyczki i wielkich, smutnych oczu. Dziewczynka ubrana była w czarne pończochy, mocne buty i ciężki zimowy płaszcz. Głowę okrywał jej czarny berecik, wokół szyi zaś powiewał długi szal w paski. Do poły płaszcza przypięta była wielka kartka z napisem. Dziewczynka wskazała na niego. Meredith spojrzała tam, próbując odczytać imię dziewczynki, lecz z jakichś względów nie była w stanie tego uczynić.

Nagle dziewczynka zaczęła uciekać. Meredith próbowała biec za nią, lecz jej stopy znowu ugrzęzły w lepkim błocie. Krzyczała do dziecka, by wracało, ale dziewczynka nie słuchała jej, po prostu biegła i biegła, aż wreszcie zniknęła za horyzontem.

Rozległ się dziwny trzask, a potem okropny huk, coś w rodzaju strzału artyleryjskiego i wszystko wokół niej wybuchło...

Meredith usiadła na sofie, wstrząśnięta ponurą wizją. Jej twarz i szyja były mokre od potu. Zdezorientowana, potrzebowała dobrej chwili, by się pozbierać. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że znajduje się w Talcy, w saloniku babki Rosie.

Na zewnątrz szalała burza, błyskawice przecinały ciemne niebo, a uderzenia piorunów wprawiały w drżenie szyby w oknach. Wstrząsnął nią dreszcz, wsunęła się więc głębiej pod kaszmirowy pled, którym otulił ją wcześniej Luc. Leżała tak przepelniona lękiem, wpatrując się w płonący nisko na palenisku ogień. Zamknęła oczy,

próbując odpędzić strach i zastanawiała się, dlaczego tak bardzo się boi. Była przecież w *château*, absolutnie bezpieczna przed szalejącą na zewnątrz burzą.

A potem nagle zrozumiała. To ten sen. Sen, który prześladował ją przez całe jej życie, a którego nie śniła od lat. Nagle ten stary, znajomy sen powrócił, by znów ją nawiedzać, napełniać ją lękiem, jak zawsze dotąd.

14

Po powrocie do Paryża Meredith nie przestawała myśleć o weekendzie, spędzonym w Clos-Talcy. W centrum owych rozważań znajdował się nieodmiennie Luc.

Lubiła go, a nawet więcej niż lubiła, jego życzliwość i troskliwość wywarły na niej wrażenie.

Życzliwość zawsze była dla Meredith ważna, być może dlatego, że tak niewiele jej w życiu zaznała, zwłaszcza gdy była dzieckiem. Brak szczęśliwego dzieciństwa spowodował, że otoczyła się jakby żelaznym pancerzem i tylko pani Paulson udało się przebić przez tę ochronną skorupę, a potem, oczywiście, Silverom, gdy przyszła do nich pracować.

I tak jak potrzebowała dobroci i życzliwości w dzieciństwie, potrzebowała jej także jako dorosła kobieta, zwłaszcza teraz, po czterdziestce. Lecz nawet pomijając troskliwe zachowanie Luca, podobał jej się bardzo jako mężczyzna.

Był uderzająco przystojny, ciemnowłosy, i miał delikatne rysy, lecz nie to było w nim najważniejsze. Sama piękna twarz na pewno nie wystarczyłaby, by wzbudzić jej zainteresowanie.

Podziwiała jego inteligencję i talent, a także uczciwość, którą instynktownie uznała za bezsporną. Odznaczał się także poczuciem humoru, a poza tym odkryła, że łączą ich wspólne upodobania - oboje lubili dobre książki, muzykę klasyczną, kieliszek zimnego szampana przed kominkiem w wietrzną noc, nie wspominając już o domach nad wodą, witrażowych oknach i delikatnym malarstwie Marie Laurencin. Biorąc to wszystko pod uwagę, Luc był z pewnością bardzo interesującym mężczyzną i Meredith cieszyła się, że go poznała i że przyjęła zaproszenie na weekend w *château* nad Loarą.

Wrócili do Paryża w poniedziałek rano i spędzili większość dnia razem w Manoir de la Closiere w Montfort-L'Amaury, omawiając wraz z Agnes zmiany, które pragnęli tam wprowadzić. Tego wieczoru Luc zabrał ją na kolację do restauracji Relais hotelu Płaza, poprzedniego wieczoru zaś jedli w Grand Vefour.

W ciągu tych ostatnich dni wiele się śmiali i Meredith zaczęła powoli zdawać sobie sprawę, jak bardzo znajduje się pod jego urokiem i jak bardzo zaczęło jej na nim zależeć.

Znała Luca zaledwie od tygodnia, lecz zdążył ją już do tego stopnia zainteresować, że wiedziała, iż będzie za nim tęsknić po powrocie do Nowego Jorku. Prawdę mówiąc, po cichu planowała już następny wypad do Paryża. Jednak na Manhattanie czekały na nią interesy: trzeba było sfinalizować transakcję sprzedaży Hilltops Morrisonom, nie mogła się też doczekać, żeby zobaczyć się z Cat, przytulić ją, pogratulować i uczcić należycie jej zaręczyny z Keithem.

Lecz wszystkie te sprawy spokojnie dadzą się załatwić w maksimum dziesięć dni, kalkulowała, a potem mogłaby polecieć znowu do Paryża. Tak czy inaczej, potrzebowano jej tam z uwagi na przeróbki i renowację starego

dworu. Wszyscy troje zgodzili się w poniedziałek, że hotel ma być nowoczesny i modnie wyposażony, nie mógł jednak nic stracić ze swego podstawowego charakteru, który decydował o jego uroku.

A to wymagało uruchomienia jej dekoratorskich talentów, które zapewniłyby gospodzie ów charakterystyczny styl, właściwy zajazdom Havens Incorporated.

W zaciszu hotelowego apartamentu zastanawiała się teraz, co będzie, gdy renowacja hotelu dobiegnie końca. Natychmiast jednak znalazła odpowiedź: przebudowa domu zajmie co najmniej rok, a w tym czasie ona będzie spędzała dużo czasu w Paryżu, tym Mieście Świateł. I kochanków.

Wszystko jakoś się ułoży, przekonywała samą siebie następnego ranka. Już bardzo dawno temu Meredith doszła do przekonania, iż życie kieruje się własnymi ścieżkami.

Dzień za dniem, krok po kroku, zdecydowała, przygotowując się do snu. Nic więcej nie mogę zrobić. Zobaczmy, co z tego wyniknie. Wszystko musi iść swoim trybem.

Wiedziała jednak aż za dobrze, iż związek, który zapowiada się wspaniale, może zawieść, wypalić się w potoku wzajemnych oskarżeń i negatywnych emocji. Tak właśnie stało się z nią i Reedem Jamisonem. Twarz Meredith zmieniła się na samą myśl o nim. Cóż za nieprzyjemna utarczka zakończyła ich znajomość! Lecz z drugiej strony, Reed i Luc różnili się od siebie tak bardzo, jak to tylko możliwe pomiędzy dwojgiem ludzi. Byli niczym dwa przeciwstawne bieguny i dokonywanie pomiędzy nimi jakichkolwiek porównań było nie tylko niemądre, lecz nawet niesprawiedliwe.

Luc był tak prostolinijny, tak uczciwy - wierzyła, iż wiążąc się z nim, zawsze wiedziałyby, na czym stoi. Nie było tu miejsca na żadne gierki. Był także rozważnym,

odpowiedzialnym, dojrzałym mężczyzną, który ją szanował. I którego ona z pewnością także szanowała.

We wtorek większość czasu spędziła z Agnes. Była nieco zdziwiona, że jej francuska partnerka nie wypytuje jej zbyt o weekend, zadowolając się zaledwie kilkoma powierzchownymi pytaniami, lecz z drugiej strony były tak bardzo zajęte snuciem planów i buszowaniem po Paryżu, że nie zostało zbyt wiele czasu na zwierzenia.

Odwiedziły niezliczone sklepy z antykami, a także hurtownie materiałów, robiąc polaroidem zdjęcia mebli i zbierając próbki tkanin i tapet. Ponieważ miały podobny gust i zbliżony pogląd na to, jak powinna wyglądać gospoda po renowacji, wybór odpowiednich elementów wyposażenia nie przedstawiał większych problemów.

Dopiero w środę po południu, kiedy siedziały we dwie w paryskim biurze Agnes, Meredith wspomniała o Lucu. Wybierały właśnie próbki materiałów, układając je obok siebie, by wybrać pasujące do siebie zestawy kolorów, gdy nagle Meredith powiedziała: - Wczoraj wieczorem Luc znowu zaprosił mnie do *château*. Na ten weekend.

Agnes spojrzała na nią. - Wcale nie jestem zdziwiona. Podobasz mu się.

- I on mi się podoba.

Agnes roześmiała się. - Tak jak większości kobiet. Trudno mu się oprzeć. Zawsze dziwiło mnie, że się ponownie nie ożenił.

- Być może nadal oplakuje swoją żonę.

- Och, a więc powiedział ci o niej?

- Tak, w przeciwieństwie do ciebie, a przecież obiecałaś. Jakoś tak sama przypadkiem o tym wspomniałam i teraz martwię się, że sprawiłam mu ból.

- Przepraszam, że do ciebie nie zadzwoniłam, lecz Chloe tak źle się czuła, że miałam pełne ręce roboty. Dopiero w niedzielę po południu znalazłam chwilę czasu, by porozmawiać z Alainem, a wtedy nie wypadało już

dzwonić do Talcy, żeby plotkować o twoim gospodarzu.

- Oczywiście, rozumiem i cieszę się, że tego nie zrobiłaś, czułabym się zażenowana.

- Alain zna Luca co prawda od wielu lat, lecz niezbyt dobrze. Dopiero w zeszłym roku zbliżyliśmy się nieco do siebie, głównie dlatego, że projektował dom dla siostry Alaina. Ale i tak nigdy nie rozmawiał z nami o Annick... jego przeszłość najwidoczniej miała pozostać dla nas... powiedzmy... niejasna, a nie chcieliśmy okazać się wścibscy... - Nie kończąc zdania, spojrzała na Meredith i wzruszyła ramionami.

- Rozumiem. Można kogoś znać, nawet przyjaźnić się z nim, lecz nadal nie wiedzieć zbyt wiele o jego prywatnym życiu. - Wyciągnęła się wygodnie na krześle, rozprostowując długie nogi. - Wiesz, Agnes, jest tyle rzeczy, które mi się w nim podobają... mam na myśli jego charakter, osobowość. Jest taki prostolinijny, uczciwy. Poza tym umie słuchać, a to rzadki przymiot w dzisiejszych czasach.

- Uważam, że jest typem mężczyzny, którego warto brać poważnie. Nie ma w nim nic z playboya, wiem to na pewno. Z pewnością nie jest też kobieciarzem. - Agnes spojrzała na Meredith, najwidoczniej badając ją spojrzeniem. - Czy sądzisz, że mogłabyś zaangażować się uczuciowo? Tak na poważnie?

Po krótkim wahaniu Meredith odparła: - Tak, Agnes, myślę, że mogłabym. Jest typem mężczyzny, który bardzo mi odpowiada, choć myślałam już, że nigdy więcej kogoś takiego nie spotkam. Mężczyźni w rodzaju Luca prawie nigdy nie bywają wolni, kiedy ich spotykamy.

- Masz absolutną rację, *chérie*, ale wydaje mi się, że Luc pozostał wolny z własnego wyboru. Aż do teraz. Powiedział mi, że cię polubił i że chciałby poznać cię bliżej.

Meredith wpatrywała się w Agnes. - Och... A kiedy to było?

- W zeszyłym tygodniu, tuż po tym, jak cię poznał.
- I nic mi nie powiedziałaś! Wielkie dzięki, przyjaciółko!

Agnes wybuchnęła śmiechem. Potrząsając głową, z oczami pełnymi rozbawienia, powiedziała w końcu:

- Nie prosił mnie co prawda o zachowanie dyskrecji, lecz pomyślałam, że lepiej będzie zachować milczenie. Nie chciałam cię od niego odstraszyć. Pomyślałam, że pewnie znów byś mi dokuczała, wyrzucając mi romantyczne rojenia. Pomyśl tylko o tych wszystkich mężczyznach, których przedstawiłam ci w ciągu ostatnich ośmiu lat. Byli atrakcyjni i do wzięcia, a przecież nie zainteresowałaś się żadnym z nich. Ani przez moment.

- To prawda.
- Lecz Lucem jesteś zainteresowana?

Meredith skinęła głową.

- Hm, chyba nie mogę cię za to winić, jest taki seksowny, taki... zmysłowy, nie sądzisz?

15

Pracowali razem w biurze Luca od chwili przybycia do Talcy aż do siódmej wieczór w czwartek. A następnego dnia o dziewiątej rano zaczęli znowu.

Był to kolejny wypełniony pracą dzień, zjedna przerwą na lunch. Wreszcie, w piątek późnym popołudniem, Luc odłożył ołówek i spojrzał na Meredith. Siedziała przy małym biurku, naklejając na karton skrawki materiałów, wykładzin podłogowych i próbki farby, by sprawdzić zestawienia kolorów.

- Nic powinienem był ci tego robić - powiedział, odchyłając się do tyłu na krześle, ze wzrokiem utkwionym w Meredith.

- Co masz na myśli? - spytała, podnosząc wzrok.

- To, że zamknąłem cię tu wczoraj rano niczym w klatce, i to głównie dlatego, że miałem ochotę pracować i pragnąłem, byś była blisko mnie.

Meredith milczała, wpatrując się w niego. A on mówił dalej: - Śpieszyłem się, by jak najszybciej skończyć plany stawu i pokazać ci gotowe rysunki. Lecz czuję się winny - powinienem był wysłać cię na spacer lub na przejażdżkę, a przynajmniej pozwolić ci odpocząć.

- Luc, praca w twoim towarzystwie sprawiła mi prawdziwą przyjemność - przerwała mu. - A poza tym w Paryżu i tak robiłabym to samo, siedziałabym nad próbkami i przygotowywała te plansze. Naprawdę, wspaniale się czułam, przebywając tu z tobą.

- Doprawdy?

- Ależ tak.

- Meredith?

- Tak, Luc?

Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zmienił zamiar, wstał i podszedł do niej. Położył przed nią na biurku arkusz, który trzymał w ręce. - Tak będzie wyglądał staw po ukończeniu wszystkich prac.

- Och, Luc, jest cudowny! Przypomina tutejszy staw rybny!

- Umieściłem go obok małego lasku z tyłu za głównym budynkiem posiadłości, podobnie jak staw w Talcy, który znajduje się obok sadu. Czy nie uważasz, że jest malowniczy? - Pochylił się nad nią, wskazując palcem zarys stawu, zagajnik i duży dom w tle.

Poczula na szyi jego ciepły oddech. Siedziała w bezruchu, ledwie śmiejąc odetchnąć. Policzki jej płonęły

i czuła, jak zalewa ją fala niespodziewanego ciepła, rozpalając w niej pożądanie.

- Pragnąłem, byś była zadowolona, Meredith - powiedział.

Meredith odwróciła się lekko i spojrzała na niego przez ramię.

- Twój projekt bardzo mi się podoba, Luc, jest po prostu doskonały!

Uśmiechnęła się.

Jej uśmiech oszołomił go.

Milczał. Nie był w stanie mówić. Pragnę cię. Tylko o tym mógł myśleć. Myślał o tym od wielu dni. Już miał jej o tym powiedzieć, lecz zamiast tego pochylił się bardziej i zanim zdołał się powstrzymać, pocałował Meredith w usta, z początku delikatnie, a potem, kiedy jej usta odpowiedziały na pocałunek, zaczął całować ją bardziej żarliwie.

Przerwał na chwilę, lecz tylko po to, by podnieść ją z krzesła. Natychmiast znalazła się w jego ramionach. Przytulił ją mocno, a ona objęła go za szyję. Przywarli do siebie ze wzrastającą namiętnością.

Meredith myślała: Och, Luc, kochanie, tak bardzo tego pragnęłam, tak bardzo chciałam znaleźć się w twoich ramionach. Lecz myśli te pozostały niewypowiedziane, gdyż nienasycone pocałunki Luca powstrzymały cisnące się na usta słowa.

A potem Luc nagle przestał ją całować i powiedział głosem nabrzmiałym namiętnością: - Pragnę cię, Meredith, pożadam cię od dnia, gdy cię poznałem.

- Och, Luc...

I znowu całował ją tak, jakby nigdy nie zamierzał pozwolić jej odejść. Przycisnął ją mocniej do siebie, dopasowując się do kształtów jej ciała. Jak bardzo do siebie pasujemy! - pomyślał. Była niemal tego samego wzrostu, co on.

Meredith wiedziała, czuła, że tak właśnie powinno to wyglądać pomiędzy kobietą a mężczyzną. Luc całował jej policzki, oczy, brwi, jej szyję i uszy. Potem jego wargi, powróciły do ust Meredith i po dłuższej chwili wyszeptał z twarzą wtuloną w jej szyję: - Myślałem o tobie tak dużo, że mam uczucie, jakbyśmy już się kochali. Rozumiesz to, prawda? Wiesz, jak się czuję?

- Tak.

- Dla mnie to poważna sprawa, Meredith. Jeżeli nie czujesz tego, co ja, powiedz mi o tym teraz. Ponieważ za chwilę nie będzie już odwrotu. Przynajmniej dla mnie.

- Ja także cię pragnę, Luc, czuję to samo, co ty.

Odsunął ją od siebie, przytrzymując mocno za ramiona i zatonął spojrzeniem w jej oczach. Tych zamglonych, zielonych oczach, odbijających niczym zwierciadło wszystkie jej myśli, uczucia, całą jej duszę. Widywał błyszczącą w nich inteligencję, zadumę i radość, lecz także głęboki smutek, teraz jednak dostrzegał tylko pożądanie i tęsknotę. To jego pożądała i za nim tęskniła.

Wziął ją za rękę i wyprowadził z pokoju. Nie puszczać jej dłoni, pośpieszył do tylnej klatki schodowej, a potem w dół korytarzem.

Gdy wreszcie znaleźli się w jego sypialni, zamknął drzwi, nie tracąc ani chwili wziął Meredith ponownie w ramiona i całując nieustannie prowadził powoli w stronę łóżka. W końcu puścił ją, odrzucił przykrycie, zdjął marynarkę i zaczął gorączkowo uwalniać się od swetra i dżinsów. Meredith robiła to samo.

Luc wyciągnął rękę, przytulił ją do siebie, powtarzając jej imię. Upadli na łóżko i leżeli, mocno przytuleni i nadal na wpół ubrani. Luc wsunął dłonie w jej gęste, złote włosy. Ciesząc się ich bujnością i ciężarem, przesuwał po

nich palcami. Pochylił twarz i jego usta, jego język syciły się jej wargami, dotykając ich lekko, drażniąco.

Meredith żarliwie odpowiadała na jego pieszczoty. Wiedziała, że postępuje słusznie, że tak właśnie miało być. Nie odczuwała najmniejszych wątpliwości. Pożądanie w jego głosie, tęsknota, widoczna w spojrzeniu tych ciemnych oczu, powiedziały jej wszystko, czego pragnęła się dowiedzieć.

Było jej lekko na sercu. Pragnęła go, pragnęła czuć jego dłonie przesuujące się po jej ciele, tak jak to właśnie się działo, smakować jego pocałunki, dzielić jego namiętność. Chciała z nim być, połączyć się z nim.

Luc doskonale zdawał sobie sprawę z jej pożądania, z żaru, jaki budziły w niej jego pieszczoty, i to jeszcze mocniej go rozpałało. Znajdował się we władzy najrozkoszniejszych zmysłowych doznań. Zapragnął poddać się im całkowicie.

Jakoś, nie wiadomo jak ani kiedy, pozbyli się reszty ubrań, wracając pośpiesznie w swoje ramiona. Spoglądał w dół, na jej twarz, ciesząc się widocznym na niej w znikającym świetle popołudnia odbiciem doznawanej przyjemności. Uniósł dłoń i delikatnie, z czułością przesunął nią po jej policzku, obrysowując palcami linię warg.

Leżeli wtuleni w siebie, ramiona owinięte wokół ramion, nogi wokół nóg, dłonie pieszczące, głaskające i odkrywające, oboje głodni siebie nawzajem. Czekali na tę chwilę aż nazbyt długo.

Luc oddał się czystej radości jej dotyku, jej pocałunków, spadających na jego usta, twarz, powieki. Wsunął się na nią, dopasowując się do kształtu jej ciała.

Jedwabiste ramiona, jedwabiste nogi owinięły się wokół niego, przywiązując go do niej niczym najbardziej

pożądane i najmiększe z lin. Wsunął się w nią mocniej, głębiej, przysłuchując się cichym jękom rozkoszy. Pogryzał się w niej coraz głębiej i głębiej, świadomy dawanej i doznawanej przyjemności, świadomy, że znalazł właściwą kobietę. Nareszcie. Kobietę, o której wiedział, że pewnego dnia zjawi się... aby rozjaśnić mrok, wypełnić dręczącą go pustkę, i kiedy tak zanurzał się w niej głębiej i głębiej, poczuł nagle, że nie odczuwa już bólu, że wreszcie uwolnił się od niego. A raczej - to ona go uwolniła. Szybował gdzieś bardzo wysoko, unosząc się wciąż wyżej i wyżej.

Meredith napierała na niego, poruszając się w zgodnym rytmie. Tak połączeni, stanowili jedność. Nie może być lepiej, pomyślał, i rzeczywiście, było tak, jak zawsze sobie wyobrażał, jak wiedział, że pewnego dnia będzie.

I ona wiedziała to także. Luc dotykał samego jądra jej duszy, sięgając serca, zaspokajając ją tak, jak nikt nigdy dotąd jej nie zaspokoił, od kiedy była młodą dziewczyną... tak dawno temu... w czasie, który przeminął.

Wsunął dłonie pod jej pośladki, przysuwając ją mocniej do siebie. - Chcę, abyś był jeszcze bliżej - krzyknęła bezgłośnie - pragnę cię całego, Luc, chcę mieć cię całego. - I oddała mu się całkowicie, bez reszty.

Luc czuł gwałtowne uderzenia swego serca, kiedy przyciągał ją bliżej siebie, teraz już niemal gwałtownie, porwany rytmem ich poruszających się zgodnie ciał, przepelniającą ich radością.

O, Boże, pomyślał, nie istnieje nic poza tym. Poza tą kobietą, poza mną, nią i naszym połączeniem. Ona jest wszystkim, czego kiedykolwiek zapragnę. Na całą resztę mojego życia, aż do dnia mojej śmierci. Przy niej znowu

stanę się całością. A potem przestał rozmyślać, gdy poruszali się razem w nagłym szaleństwie, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż osiągnęli szczyt czystej zmysłowej rozkoszy. Zaprzagnął, by trwało to wiecznie, by ta ekstaza nigdy się nie skończyła.

Meredith także zrozumiała, że wreszcie, po wszystkich tych latach, znalazła swą drugą połowę. I teraz on unosił ją z sobą tam, gdzie zawsze pragnęła się znaleźć.

Luc drżał, wstrząsany spazmami, wykrzykując jej imię, dopóki w końcu nie zatracił się w niej całkowicie. A ona odpowiedziała mu, wołając: - Luc, ach, Luc!

Później, gdy ich namiętność została już, przynajmniej chwilowo, zaspokojona, Luc nadal trzymał ją w ramionach, głaszcząc jej włosy. Przysunęła się bliżej i położyła nogę na jego udzie, on zaś przycisnął ją mocniej do siebie.

Jej twarz spoczywała na jego piersi. Pocałowała ją. Luc wyczuł, że się uśmiecha.

- O co chodzi? - spytał.
- To znaczy...?
- Dlaczego się uśmiechasz?
- Uśmiecham się, bo jestem szczęśliwa.
- To dopiero początek - odparł i pocałował ją w czubek głowy. - Myślałem, że już nigdy cię nie odnajdę.
- Szukałeś mnie? - Jej głos rozbrzmiewał szczęściem.
- O tak, *ma chérie*, od czasu... - Od bardzo dawna.
- A ja szukałam ciebie, choć chyba nie zdawałam sobie z tego sprawy. Zaczęłam już się obawiać, że nigdy nie spotkam właściwego mężczyzny.

- A czy ja jestem...?
- Czy ty jesteś kim? - drażniła się z nim, wiedząc doskonale, czego chciał się dowiedzieć.
- Właściwym mężczyzną, Meredith.
- O tak, Luc, jeszcze jak, i to pod wieloma względami.
- Pasujemy do siebie, Meredith, bardzo do siebie pasujemy. Każda chwila spędzona z tobą sprawia mi radość, a przed chwilą, no cóż, dałaś mi tyle rozkoszy, że nadal świat wiruje mi przed oczami. A co z tobą? Czy było ci dobrze?
- Oczywiście, niemożliwe, żebyś tego nie zauważył.
- Tak, chyba zauważyłem, ale przyjemnie usłyszeć to od ciebie, Meri.

Poczuł, jak sztywnieje w jego ramionach. - Co się stało? Nie lubisz, kiedy tak się do ciebie zwracam?

- Ależ nie - odparła szybko, zauważywszy nutkę niepokoju w jego głosie. - Po prostu mało kto tak mnie nazywa.

Przyciągnął ją wyżej, po czym dotykając lekko jej twarzy i wpatrując się w jasne oczy Meredith, powiedział najczulej, jak tylko potrafił: - Nie chcę więcej widzieć tego okropnego smutku w tych pięknych oczach. Musiało go być w twoim życiu zbyt wiele, zbyt wiele bólu i ran.

Meredith milczała.

- Będę przy tobie, Meri, gdy tylko zechcesz o tym porozmawiać. Czasami zwierzenia pomagają, pozwalają zrzucić ciężar z serca.

- Może pewnego dnia...

Skinął głową, pochylił się i pocałował ją w usta.

- Stałaś mi się tak droga, i to w tak krótkim czasie. Zakochałem się w tobie, Meri.

Meredith spojrzała na niego, czując, jak łzy napływają

jej do oczu. Przelknęła z wysiłkiem, próbując je powstrzymać, lecz bez rezultatu. Poczula, jak powoli spływają jej po policzkach.

- Och, *ma chérie*, nie płacz, nie ma po co płakać. - Podniósł dłoń i starł palcami wilgoć z jej policzków. - Czy myślisz, że ty także mogłabyś mnie pokochać?

- To już się stało - odparła i rozplakała się ponownie.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknął Luc i ucałował jej usta. A potem policzki i oczy, wyczuwając słony smak jej łez. - A teraz więcej żadnych smutków. Mam zamiar postarać się o to - powiedział w jej mokrą od płaczu twarz. - Od tej chwili czeka nas już tylko szczęście, Meri.

Mylił się jednak.

Część druga

Czas teraźniejszy,
czas miniony

16

Meredith stała w odległym kącie salonu, pochylając się w stronę oszklonej serwantki w stylu Sheratona. Wnętrze starego mebla było oświetlone, a półki wypełnione bezcennymi figurkami z miśnieńskiej porcelany.

Kilka minut wcześniej, kiedy podeszła, by przyjrzeć się tej jedynej w swoim rodzaju kolekcji, nagle poczuła się źle. Ponieważ nie chciała przeciskać się przez zatłoczony salon, by znaleźć jakiś mebel, na którym mogłaby usiąść, została tam, gdzie była, trzymając kurczowo kieliszek szampana.

Wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że złe samopoczucie nie przeobrazi się w jeden z tych ataków, jak zwykła je nazywać. W styczniu, gdy była we Francji, tajemnicza przypadłość zaatakowała ją dwa razy, w zeszłym miesiącu były już trzy takie ataki, a teraz zastanawiała się, co czeka ją w kwietniu.

Ataki mijały równie szybko, jak się pojawiały i choć nie czuła się po nich gorzej, to jednak wyprowadzały ją z równowagi. Poza tym nigdy nie była pewna, kiedy pojawi się następny.

Któregoś dnia, w biurze, opowiedziała o nich Amy - o tym, jak pierwszy z nich dotknął ją w Paryżu, a po nim przyszły kolejne.

Amy powiedziała od razu: - Te ataki powtarzają się zbyt często. Myślę, że potrzebujesz porady lekarza. Powól, że umówię cię z doktor Pollard.

Ale Meredith potrząsnęła głową, nie zgadzając się, by Amy zadzwoniła do lekarki. Teraz zaś wyrzucała sobie brak rozsądku. Powinna była posłuchać swej asystentki. Czując, jak miękną jej kolana, a dziwna słabość opanowuje całe ciało, zaczęła zastanawiać się, jak zdoła dotrwać do końca wieczoru.

Jakoś będzie musiała, bez względu na samopoczucie. Dzisiejszy wieczór był szczególnym świętem dla jej córki, i dla niej także. Odbywało się właśnie przyjęcie urodzinowe Cat, na które obie tak się cieszyły.

Meredith uważała co prawda, że zgodnie ze zwyczajem to ona powinna wydać dla córki przyjęcie, lecz siostra Keitha, Margery i jej mąż, Erie, tak bardzo nalegali, by gościć ich w swoim mieszkaniu przy Park Avenue, że Meredith nie pozostało nic innego, jak tylko się zgodzić.

Postanowiła jednak wydać uroczysty obiad dla Cat i Keitha w ciągu najbliższych tygodni. Miała nadzieję, że Luc będzie mógł w nim uczestniczyć. Spędził cały poprzedni tydzień w Nowym Jorku i miał zostać na przyjęcie urodzinowe, jednak w ostatniej chwili został wezwany do Francji. Okazało się bowiem, że powstały jakieś trudności na placu budowy centrum handlowego w Lyonie, które projektował, i jego obecność na miejscu była się niezbędna.

Oboje byli bardzo rozczarowani tym, że musiał wyjechać, jednak za dziesięć dni miał znów przylecieć do Nowego Jorku, by spędzić wraz z nią długi weekend w Silver Lake. Nie mogła się doczekać jego powrotu. Byli bardzo zakochani, a ostatnie dwa miesiące tylko pogłębiły to uczucie. Gdy znajdowali się w tym samym mieście, prawie

się nie rozstawali, a rozdzieleni przez Atlantycką, rozmawiali ze sobą codziennie przez telefon. On ma wszystkie te cechy, które powinien mieć mężczyzna, myślała teraz z tęsknotą. Tak bardzo żałowała, że nie mógł być tu dzisiaj z nią!

Meredith bez ustanku dziwiła się swojemu szczęściu, dzięki któremu w ogóle spotkała Luca, a także temu, jak bardzo do siebie pasowali. Jej dzieci poznały go już i polubiły, a on także zdawał się bardzo nimi zajęty. Z Jonem łączyły go wspomnienia z tej samej uczelni, Yale, gdzie studiowali obaj, oraz pasja sportowa, a zwłaszcza zainteresowanie futbolem. Cat też czuła się przy nim swobodnie, jako że oboje mieli artystyczne dusze. Luc podziwiał jej talent ilustratorski i uważał ją za dojrzałą artystkę. Meredith poczuła przypływ dumy, gdy z nutką podziwu w głosie gratulował jej tak udanych dzieci.

Zerkała teraz na kłębiący się tłum, wypatrując Jona lub Cat. Było tu około sześćdziesięciu osób, w większości zupełnie obcych Meredith, która znała tylko najbliższych członków rodziny Pearsonów: Anne i Paula, rodziców Keitha, jego siostry: Margery, Susan, Rosemarie, Jill i Wendy, oraz dwóch braci: Willa i Dominicka. No i, oczywiście, męża Margery, Erica Clarke'a, gospodarza przyjęcia.

Rodzina Pearsonów stanowiła liczny i hałaśliwy amerykańsko-irlandzki klan. Równie wielki, jak plemię Kennedych, poinformowała ją ostatnio Cat. Pearsonowie nie wywodzili się jednak z Bostonu, lecz byli zaprzysiężonymi Jankesami z samego serca Connecticut. Klan najwidoczniej postanowił wystąpić dziś w pełnym składzie, pomyślała Meredith, przyglądając się liczny ciotkom, wujkom, kuzynom i ich równie liczny potomstwu.

Ich zaś było zaledwie troje. Jaka to mała rodzina, myślała dalej, zupełnie niepasująca do gromady połączonych ze sobą więzami pokrewieństwa Pearsonów. Nagle poczuła, że skala wielkości i żywotność tej rodziny przytłacza ją, potem zaś doświadczyła tak nagłego i przemożnego poczucia straty, że jego siła wręcz nią wstrząsnęła, tym bardziej że, jak dotąd, nie potrafiła ani go sobie wyjaśnić, ani też znaleźć jego źródeł.

Blanche i Pete O'Brien przyjechali z Silver Lake, by uczestniczyć w przyjęciu, a byli przecież niczym rodzina. Lecz nawet w takim przypadku... Meredith zacisnęła powieki, próbując pozbyć się tego okropnego uczucia.

Po chwili spojrzała ponownie na pokój, zastanawiając się, gdzie też podzieli się O'Brienowie. Straciła ich z oczu już dobrą godzinę temu. Prawdopodobnie zawieruszyli się gdzieś w zatłoczonej jadalni, gdzie na długim stole, pełniącym funkcję bufetu, zgromadzono wiele najwymyślniejszych przekąsek.

Meredith poczuła się dziwnie wyobcowana, kiedy tak stała, podpierając samotnie serwantkę. Muszę gdzieś usiąść, pomyślała, decydując się na fotel w pobliżu kominika. Lecz zanim zdążyła się ruszyć, spostrzegła rozglądającą się wokół Cat, najwidoczniej poszukującą matki.

Meredith podniosła dłoń i pomachała do niej.

Cat natychmiast ją dostrzegła, machnęła w odpowiedzi i pośpieszyła do niej przez zatłoczony salon.

- A, tu jesteś, mamó, wszędzie cię szukałam - powiedziała, podchodząc do Meredith. - Czyż to nie cudowne przyjęcie? Jestem dziś do niemożliwości podekscytowana... - Spojrzała na szafirowy pierścionek, zdobiący jej lewą dłoń, a potem błysnęła nim przed oczami Meredith. - Jest absolutnie wspaniały, prawda, mamusiu?

- Jest piękny, kochanie - odparła Meredith, chwytając się ramienia córki, by nie upaść.

Catherine spojrzała na nią przelotnie i zapytała:

- Dobrze się czujesz, mammo?

- Tak.

- Ale wyglądasz tak, jakby kręciło ci się w głowie, a poza tym jesteś bardzo blada. I okropnie spięta. Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Posłuchaj, jeżeli nie czujesz się źle, to może chodzi o coś innego? Nie gniewasz się, prawda? O to, że Eric i Margery nalegali, by wydać przyjęcie u siebie?

- Nie bądź niemądra, kochanie, wiesz przecież, że nie mam takiej natury. Czuję się nieco zmęczona, to wszystko. Pewnie za dużo ostatnio pracuję.

- Chodź, usiądziemy tam, na sofie. Okropnie bołą mnie stopy. Te buty są fantastyczne, ale noszenie ich to istna tortura.

Meredith pozwoliła, by córka podprowadziła ją do znajdującej się w pobliżu kominka sofy. Chwilę wcześniej poczuła się tak, jakby opuściły ją wszystkie siły. Ostatnią rzeczą, której by sobie życzyła, byłaby utrata przytomności podczas przyjęcia zaręczynowego córki. Co za upokorzenie, i to przy wszystkich tych ludziach!

- Być może pomogłoby mi, gdybym napiła się trochę wody - powiedziała, zwracając się do Catherine. - Czy mogłabyś...?

- Oczywiście, mamusiu. Zaraz będę z powrotem. - Catherine rzuciła matce pełen otuchy uśmiech, po czym przemknęła w stronę jadalni.

Nikt by się nie domyślił, że bołą ją stopy, pomyślała Meredith, obserwując, jak jej córka płynie przez salon, niemal unosząc się w powietrzu.

Jak pięknie wygląda dziś Catherine, ubrana na tę okazję w elegancką koktajlową garsonkę z ciemnoniebieskiej

tafty, ozdobioną pod szyją sznurkiem pereł Amelii. Jej brązowe włosy zostały gładko przycięte, śliczna, otwarta twarzyczka wyglądała młodo i świeżo, szeroko rozstawione oczy wydawały się bardzo niebieskie. Cat była równie wysoka jak matka i miała długie, kształtne nogi. Nie rozumiem, dlaczego upiera się, by nosić dziesięciocentymetrowe obcasy, pomyślała Meredith, a potem usiadła wygodniej, próbując się odprężyć.

Nagle spostrzegła syna, przeciskającego się ku niej przez tłum. Przyglądała się, jak nadchodzi, wysoki, smukły, jasnowłosy i zielonooki jak ona. Cat wyglądem przypominała ojca, podczas gdy Jon był podobny do niej.

Gdy podszedł bliżej, zauważyła zmartwiony wyraz jego pociągłej twarzy. - Co się stało, mamusiu? - zapytał, stając obok niej. - Widziałem, jak Cat niosła ci szklanke wody. Ona uważa, że coś ci jest. Źle się czujesz?

- Nie, Jon, właściwie nie - odparła stanowczo. - Prawdę mówiąc, kochanie, przez chwilę czułam się trochę słabo. Chyba jestem przemęczona.

- Zbyt dużo pracujesz - powiedział, pochylając nad nią swoje kościste ciało. Przysunął twarz bliżej twarzy Meredith i przyciszonym głosem zaproponował: - Jeżeli chcesz wyjść, mogę pójść z tobą. Opuszczę to miejsce bez zbytek przykrości.

- Nic mi nie jest - odparła szybko. - I nie sądzę, żebyśmy mogli teraz wyjść. Nie byłoby to zbyt uprzejme, a poza tym nie mogę zostawić Cat samej z tymi wszystkimi Pearsonami.

- Ma przecież Keitha, on się o nią zatroszczy, a poza tym sama niedługo stanie się jedną z nich.

Meredith zmarszczyła brwi, baczenie przyglądając się synowi: - Dobrze się bawisz, Jon?

- Pewnie, wszystko w porządku, ale... - Wzruszył ramionami. - Przyszedłem tu tylko dla ciebie i Cat, mamó. Nie mam zbyt wiele wspólnego z tymi ludźmi.

- Ach, tak. - Odsunęła się i uważnie wpatrzyła w twarz syna. - Jon, czy ty próbujesz mi coś powiedzieć?

Jonathan potrząsnął głową i uśmiechnął się. - Ależ nie. I nie zrozum mnie źle, lubię Keitha. To taki szykowny facet, no i szaleje za Cat. Lecz nie jestem specjalnie blisko z nim i jego paczką, moi przyjaciele różnią się od nich, to wszystko. - Popatrzył matce prosto w oczy, wykrzywił twarz i dokończył: - Pearsonowie są miłą rodziną, lecz, na mój gust, nieco zbyt zżytą i towarzyską.

- Rozumiem - mruknęła Meredith. - I cieszę się, że przyszedłeś... przez wzgląd na mnie i Cat.

- Zawsze do usług, mamó. Szkoda, że Luca tu nie ma, na pewno wprowadziłby ożywienie do tego towarzystwa.

Meredith roześmiała się. - A oto i Cat.

- Z Keithem depczącym jej po piętach - dodał Jon, prostując się, by spojrzeć przez ramię na zmierzającą w ich stronę siostrę.

- Oto woda, mamó. - Cat wręczyła matce szklanekę i usiadła obok niej na sofie.

- Dziękuję, kochanie.

- Przykro mi, że źle się czujesz, Meredith - powiedział Keith, pochylając się nad nią jak Jon przed chwilą. - Czy mógłbym jeszcze coś dla ciebie zrobić?

Meredith spojrzała na jego piegowatą twarz, pomyślała o uczciwości, która malowała się w jego jasnoszarych oczach, i potrząsnęła głową.

- Dziękuję ci, Keith, kochanie, lecz czuję się już o wiele lepiej. - Uśmiechnęła się do niego ciepło, z sympatią, gdyż, podobnie jak Jon, wiedziała, iż okaże się dobrym

mężem dla jej córki. Cat będzie z nim bezpieczna: Keith Pearson był oddany, lojalny i kochający.

Meredith chrząknęła lekko i powiedziała: - Przez was poczułam się jak kaleka.

Keith uśmiechnął się do niej: - Wiesz, że nie mieliśmy takiego zamiaru, po prostu troszczymy się o ciebie, i to wszystko.

- Jesteś bardzo miły, Keith - odparła.

- Ale możemy się ciebie spodziewać na kolacji później, prawda? - pytał dalej, wpatrując się w nią poważnymi, szarymi oczyma. - Nie chciałbym naciskać, ale bylibyśmy bardzo rozczarowani, gdybyś nie przyszła. Kolacja bez ciebie to nie to samo.

- Za nic nie chciałabym tego stracić. - Poklepała uspokajająco jego ramię. - Jon będzie mi towarzyszył i na pewno się o mnie zatroszczy.

- Keith ma rację, mamó, bez ciebie ten wieczór na pewno nie byłby dla mnie udany - dodała Catherine.

- Będę tam - powiedziała stanowczo Meredith, uśmiechając się do córki z miłością.

Catherine odwzajemniła uśmiech i uniosła lewą dłoń, by lepiej umocować w uchu zbyt luźny kolczyk z perłą. Szafir w zaręczynowym pierścionku błysnął w jasnym świetle lamp.

Ten szafir ma kolor jej oczu, pomyślała Meredith. Oczu Jacka.

- Niezły z ciebie zawodnik, mamó - stwierdził Jon w kilka godzin później, kiedy pomagał jej zdjąć płaszcz i wieszal go w szafie w hallu.

- Wiesz, Jon, pod wieloma względami była to bardzo przyjemna impreza i Pearsonowie okazali się tacy

szczodrzy, organizując ją w prywatnych apartamentach La Grenouille. Lecz czasem cała ta rodzina wydaje mi się taka...

- Przytłaczająca - wtrącił Jonathan, potrząsając głową. - Dobry Boże, ci wszyscy Pearsonowie! Moja siostra musi być bardzo odważna, skoro zdecydowała się przystąpić do tego klanu.

- Wiem, o co ci chodzi, Jon, lecz pojedynczo każdy z nich jest bardzo miły, zwłaszcza rodzice Keitha.

- To prawda, lecz jego siostry to strasznie hałaśliwa gromadka.

- Kochanie, kłopot w tym, że jesteś przyzwyczajony do bardziej spokojnego życia. W końcu przez wszystkie te lata było nas tylko troje.

- I Bogu dzięki - odparł, wieszając swój płaszcz. - Moim zdaniem zasługujesz na medal, że wytrzymałaś przez całą kolację, i jeszcze te wszystkie toasty. Na samą myśl umysł mi się mąci...

Meredith roześmiała się. - Rzeczywiście, trochę za dużo tego było. Ale poczułam się lepiej, gdy tylko wyszliśmy i mogłam zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. A poza tym lubię kuchnię La Grenouille.

- Nie jadłaś zbyt wiele.

Uśmiechnęła się do syna. - Chętnie wypiłabym filiżankę herbaty, a ty, Jon?

- Wspaniały pomysł.

Jon poszedł za matką do kuchni, nappełnił czajnik wodą, postawił go na kuchence i włączył gaz. Wyrzwał przez kuchenne okno i przyglądał się chwilę migoczącym na tle ciemnego, nocnego nieba światłom mostu Pięćdziesiątej Dziewiątej ulicy. Za nim, w oddali, połyskiwał w ciemności następny most. Cóż za piękne, pełne świateł miasto. Kochał je od zawsze, teraz zaś stał, wpatrując się w płynącą daleko w dole East River. To zabawne, że jego matka zawsze lubiła, a właściwie odczuwała potrzebę, by

mieszkać w pobliżu wody. Ten apartament był drugim, który zakupiła przy Sutton Place i jego ulubionym. Znajdował się w części nadbudowanej, a roztaczający się stamtąd widok na Manhattan nie miał więc sobie równych.

- Kiedy wracasz do New Heaven? - spytała Meredith, układając na tacy spodki i filiżanki.

- Jutro, wcześniej rano. Dojadę tam w dwie godziny, droga jest całkiem niezła. A tak, przy okazji, czy Cat wspominała, kiedy chcą wziąć ślub?

Meredith skinęła głową. - Na pewno jeszcze w tym roku. Powiedziała, że nie chcą czekać zbyt długo. Zaproponowałam wrzesień. W Silver Lake jest wtedy tak pięknie.

- Początek października byłby chyba lepszy, mamo. Liście zaczynają już wówczas opadać i taki jesienny ślub mógłby być bardzo malowniczy.

- Masz rację, ja sama zasugerowałam im to już kilka dni temu. Cat ma się zastanowić i dać mi znać w przyszłym tygodniu, będziemy więc mogli wydrukować zaproszenia, rozesłać je i spokojnie wszystko zaplanować.

- Ciocia Blanche już od tygodni pracuje nad przyjęciem - roześmiał się Jon. - Powiedziała mi, że planuje wszystko tak starannie, bo chce, żeby wesele Cat przewyższyło doskonałością twoje przyjęcie weselne, którym najwidoczniej też ona się zajmowała.

- O, tak, to ona wszystko zaplanowała i wszystkiego osobiście dopilnowała. Blanche ma wielki talent do takich spraw. Zrób tę herbatę, Jon, bo czajnik za chwilę zagwiżdże się na amen.

- Dobrze. A może usiadłabyś sobie wygodnie w bibliotece, a ja przygotowałbym herbatę?

- Dziękuję, kochanie - powiedziała i wyszła z kuchni. Minęła hall wejściowy i weszła do biblioteki, której okna

wychodziły na rzekę. Stała przy jednym z nich, przyglądając się wielkiej, załadowanej po brzegi barce, która bez wątpienia zmierzała do portu.

Meredith nigdy nie czuła się znużona patrzeniem na East River. Panował tu wielki ruch i zawsze coś znajdowało się na wodzie, płynąc w dół albo w górę rzeki.

Kiedy odeszła od okna i usadowiła się wygodnie obok kominka, jej myśli wróciły do Catherine. Postanowiła wyprawić jej najpiękniejsze wesele, jakie kiedykolwiek miała jakakolwiek dziewczyna, upewnić się, że...

Jon przerwał jej rozmyślania. - Gdzie ci postawić tacę, mamó? Chyba tu, obok fotela - powiedział.

- Tak, tu będzie dobrze, postaw ją na stoliku.

Meredith odsunęła wielki stos książek o sztuce, by zrobić miejsce na tacę.

Nalała herbaty i przez chwilę pili ją w milczeniu, aż wreszcie Jon zapytał niespodziewanie: - Czy masz zamiar związać się z Lucem na stałe, mamó?

Meredith przez chwilę wpatrywała się w niego, zaskoczona.

- To znaczy, chciałem zapytać, czy masz zamiar wyjść za niego za mąż? - wyjaśnił.

- Jeszcze mnie nie poprosił - odparła wreszcie.

- Lecz gdyby to zrobił, zgodziłabyś się? - naciskał dalej Jon.

- Uczciwie mówiąc, nie wiem.

- Dlaczego?

- Dlaczego nie wiem? O to ci chodzi?

- Tak.

Meredith lekko wzruszyła ramionami. - Po prostu nie wiem, i to wszystko. Taka decyzja zaważyłaby na całym moim życiu, wiele spraw musiałoby ulec zmianie.

- Więc co z tego? Uważam, że powinnaś go poślubić.
- Naprawdę tak uważasz? - Jasna brew uniosła się w wyrazie udawanego zdumienia.

- Pewnie. Kochasz go, a on kocha ciebie. Założę się, że poprosi cię o rękę, gdy tylko dasz mu choćby cień szansy.

Meredith milczała.

- Przywykłaś do tego, że zawsze jesteśmy razem, mammo. Jak trzej muszkietierowie, pamiętasz? Tak zwykle nas nazywałaś. Tymczasem Cat wkrótce wyjdzie za mąż, założy własną rodzinę, ja także pewnie to zrobię, gdy spotkam właściwą dziewczynę. Nie chciałbym, aby pewnego dnia okazało się, że zostałam zupełnie sama.

Meredith przez chwilę wpatrywała się w syna, poruszona jego słowami, a potem zmarszczyła brwi i zapytała:
- Martwisz się o to, że się starzeję, prawda, Jon?

Potrząsnął głową, śmiejąc się: - Ty nigdy się nie zestarzejesz, mammo. Zawsze będziesz piękna. Jesteś najpiękniejszą czterdziestoczterolatką, jaką kiedykolwiek widziałem.

- A przecież żyjesz już tak długo... - odcięła się, śmiejąc się razem z nim. - I znałaś tak wiele kobiet.

Twarz Jona spoważniała, gdy mówił dalej: - Po prostu nie chciałam, abyś została sama na resztę życia. - Odchrząknął, po czym przyglądając się jej badawczo, powiedział: - Gdy byłem mały, często słyszałem, jak płaczesz. Szlochałaś w swojej sypialni, jakby za chwilę miało ci pęknąć serce. Stawałem wówczas za drzwiami, nasłuchując i cierpiąc razem z tobą. Nigdy jednak nie ośmieliłem się wejść, choć bardzo chciałem cię pocieszyć.

- Trzeba było to zrobić - powiedziała miękko, znów poruszona jego słowami.

- Bałem się, potrafiłaś być wówczas taka gwałtowna. Kiedy już byłem nieco starszy, zapytałem cię, dlaczego płaczesz po nocach. Czy pamiętasz, co mi wtedy odpowiedziałaś?

Meredith potrząsnęła głową.

- Powiedziałaś, że płaczesz, ponieważ straciłaś kogoś bliskiego, gdy byłaś dzieckiem. Lecz kiedy zapytałem, kto to był, nie odpowiedziałaś, po prostu odwróciłaś głowę.

Meredith wpatrywała się w syna, nie mogąc przemówić ani słowa.

- Kogo wówczas straciłaś, mamó? Zawsze się nad tym zastanawiałem.

- Nie wiem - odparła po dłuższej chwili. - Gdybym wiedziała, na pewno bym ci powiedziała. Naprawdę, Jon, uwierz mi.

Syn wstał i podszedł, by usiąść obok niej. Wziął ją za rękę i z czułością spojrzał jej w oczy. - To słuchanie, jak płaczesz, łamało mi serce. Pragnąłem ci pomóc, lecz nie wiedziałem jak. Zawsze bardzo mnie martwiło, że zapłakujesz się po nocach.

- Och, Jon.

- Dlatego Luc jest dla mnie taki ważny, mamó... chciałbym, abyś się z nim związała. Jest takim wspaniałym facetem, i kocha cię. Być może zdołałby wynagrodzić ci... zastąpić tego, kogo straciłaś.

Meredith obudziła się w środku nocy.

Nie próbując z powrotem zasnąć, wyśliznęła się z łóżka, włożyła szlafrok i pośpieszyła do biblioteki. Na stoliku pod lustrem stała taca z napojami i alkoholem, nałapa więc sobie do wysokiej szklanki nieco brandy, dodała wody sodowej i zabrała drinka ze sobą na fotel.

Przekonała się ostatnio, że kiedy już zbudzi się w nocy, lepiej jest wstać i przyjrzeć się dręczącym ją problemom na siedząco, niż przewracać się bez końca w łóżku.

Odstawiła więc teraz szklaneczkę na stojący obok fotela stolik i usiadła wygodnie, by pomyśleć nad tym, czego dowiedziała się dzisiaj od syna.

Jon zaskoczył ją, lecz także wzruszył swoją szczerą troską. Choć z jednej strony nie chciała, by się o nią martwił, to z drugiej była mu za to wdzięczna. Syn troszczył się o nią, i to było bardzo ważne.

Starła się właściwie wychować dzieci, zawsze robić to, co dla nich najlepsze i chyba jej się udało. Zarówno Cat jak Jon wyrosli na porządnych ludzi, hołdujących prawdziwym wartościom. Oboje znaleźli swoje miejsce w społeczeństwie, byli dobrze przystosowanymi, normalnymi młodymi ludźmi, którzy nigdy nie dali się namówić rówieśnikom na żadne eksperymenty z narkotykami, nie pili też zbyt wiele. Jeśli chodzi o dzieci, dopisało jej szczęście.

Była wstrząśnięta tym, że Jonathan pamiętał, jak płakała po nocach, przekonana, że jej dzieci już dawno mocno śpią. To dziwne, nie pamiętała w ogóle, by kiedykolwiek mówiła mu, że płacze z tęsknoty za kimś, kogo utraciła. Czuła jednak, że Jon nie kłamie. Po co miałby to robić? Minęło już tyle lat, musiała widocznie zapomnieć o tej rozmowie. Lecz kogo mogła mieć wówczas na myśli? Nie miała pojęcia. Cóż to za kłopotliwa zagadka...

Westchnęła, dokończyła drinka i poszła z powrotem do sypialni. Być może teraz uda jej się zasnąć. Musiała przynajmniej spróbować - jutro czeka ją kolejny pracowity dzień. Zdjęła szlafrok i wsunęła się do łóżka. Sen

przyszedł niemal natychmiast, początkowo lekki, później coraz mocniejszy. I znowu śniła ten sam koszmar.

Było tam wiele dzieci. Chłopcy i dziewczynki. Niektórzy bardzo mali, trzy-, czteroletni. Inni starsi, siedmio-, może ośmioletni. Maszerowali wszyscy przez pustą, rozległą okolicę. Niektórzy trzymali się za ręce: chłopcy i dziewczynki lub dziewczynki z dziewczynkami. Inne dzieci szły same. Zbyt wiele dzieci, pomyślała przerażona. Nigdy nie uda mi się odnaleźć tej małej dziewczynki. Czy chłopca. Straciłam ich. Gdzie oni są? Muszą tu gdzieś być, pomiędzy innymi dziećmi. Muszę ich odnaleźć.

Biegała jak szalona pomiędzy szeregami dzieci, maszerującymi zgodnie w stronę odległego horyzontu. Zglądała im w twarze. Nie znała ich. Szli równo, niczym automaty, poprzez wyschniętą, spękaną, błotnistą równinę, patrząc prosto przed siebie i nie zwracając na nią uwagi. Ich twarze były gładkie, pozbawione wyrazu, a oczy puste i bez życia.

Dokąd idziecie? - krzyczała. Dokąd zmierzacie? Nikt jej nie odpowiedział. Czy widziałyście ich? - krzyczała. Dziewczynkę z długim szalikiem? Chłopca w czapeczce? Proszę, powiedzcie mi, jeśli ich widziałyście.

Dzieci odwróciły się wszystkie naraz, skrzyły w prawo i zaczęły iść w kierunku morza. Przedtem w ogóle nie zauważyła, by było tam jakieś morze. Ciemna woda miała kolor i konsystencję oliwy. Wzdrygnęła się i zaczęła nawoływać dzieci, by wracały. Nie słuchały jej. Bała się, wprost trzęsła się ze strachu. Dzieci maszerowały dalej. Nie! - krzyknęła. Zatrzymajcie się! Nadal nie zwracały na

nią uwagi. Maszerowały i maszerowały, prosto do morza. Wreszcie zniknęły z widoku, pograżając się w ciemnej wodzie. O Boże, nie! - krzyknęła, lecz nikt jej nie słuchał.

Krajobraz był teraz zupełnie pusty. Została już tylko ona. A potem ich zobaczyła. Podskakiwali, trzymając się za ręce i biegnąc ku niej. Dziewczynka z szyją owiniętą długim szalikiem i chłopiec w szkolnej czapce. Pomachała do nich. I oni pomachali do niej. Zaczęła biec. Była coraz bliżej. Napisy przyczepione do płaszczy dzieci były olbrzymie, wydawało się, że są większe niż przedtem. Powiewały na wietrze, uderzając w szyje dzieci i zakrywając im twarze. Nagle chłopiec i dziewczynka odwrócili się, skręcili w prawo i skierowali się w stronę morza. Nie! - krzyknęła. Nie! Zatrzymajcie się! Nie idźcie tam! Lecz dzieci nie słuchały jej. Biegła i biegła. Część pustej równiny otwarła się, przełamała na pół. Przeskakiwała nad szczelinami i biegła dalej. Traciła oddech. Wreszcie udało jej się dogonić dzieci. Wyciągnęła rękę i złapała chłopca za ramię. Opierał się, lecz w końcu odwrócił twarz w jej stronę. Meredith krzyknęła. Chłopiec nie miał twarzy. Chwyciła ramię dziewczynki. Dziewczynka odwróciła się. Meredith krzyknęła znowu.

- Co ci jest, mamó? Co ci się stało? - zawołał Jon, wpadając do pokoju i zapalając po drodze światło. Podbiegł do łóżka.

Meredith siedziała wyprostowana, z przerażeniem w oczach i mokrą od potu twarzą. Potrząsnęła głową.

Jon usiadł przy niej na łóżku. Przyjrzał się matce uważnie, po czym ujął jej dłoń, najwidoczniej pragnąc ją uspokoić. - Co się stało, mamó?

Meredith odetchnęła głęboko. - Miałam dziwny sen, a właściwie koszmar.

- Musiał cię naprawdę wystraszyć, słyszałem, jak krzyczysz.

- Tak, najwidoczniej. Przepraszam, że cię obudziłam.

- Nie ma sprawy. - Spochmurniał. - A co ci się śniło?

- Sama nie wiem, wszystko było takie poplątane. - Zmusiła się do uśmiechu, mając nadzieję, że to go uspokoi. - Zapomnijmy o tym, nic mi nie jest. Wracaj do łóżka, kochanie.

Jon pochylił się nad matką i pocałował ją lekko w policzek. - Gdybyś mnie potrzebowała, jestem po drugiej stronie korytarza.

- Już wszystko dobrze - zapewniła go.

Gdy Jon odszedł już do swego pokoju, Meredith długo leżała zupełnie rozbudzona, przypominając sobie wszystkie szczegóły snu i rozmyślając nad nimi.

Ten właśnie sen przyśnił jej się po raz pierwszy wiele lat temu, gdy jeszcze mieszkała w Sydney. Powtarzał się potem przez lata, by nagle zniknąć, gdy przekroczyła trzydziestkę. A teraz przyśnił jej się znowu - i to dwukrotnie w ciągu dwóch miesięcy.

Szczegóły były zawsze te same: pusty krajobraz, ponury i zapomniany przez Boga. Dzieci maszerujące ku swemu przeznaczeniu. Jej desperackie próby odnalezienia chłopca i dziewczynki.

Zawsze budziła się zlaną zimnym potem. I przerażona. Dlaczego? Co miał oznaczać ten koszmar?

17

- Ile miała już pani tych ataków? - spytała doktor Jennifer Pollard, przyglądając się badawczo Meredith zza swego biurka.

- Dwa w styczniu, dwa w lutym, trzy w marcu... i dwa w tym miesiącu... w zeszły czwartek podczas zaręczynowego przyjęcia Catherine, i potem w niedzielę. Ten ostatni był najgorszy ze wszystkich. Trwał niemal przez cały dzień i czułam się po nim bardziej osłabiona niż zwykle. Do tego stopnia, że wczoraj nie poszłam do biura, a kiedy dziś przyszedłam do pracy, nadal czułam się bardzo zmęczona. Pomyślałam więc, że lepiej będzie, jeśli się z panią zobaczę.

- Cieszę się, że pani przyszła - odparła lekarka. - Wcześniej, przez telefon, mówiła mi pani, że objawy są zawsze te same - mdłości i uczucie całkowitego wyczerpania. Czy zaobserwowała pani jeszcze jakieś inne symptomy, Meredith?

- Absolutnie nie.

- Żadnych wymiotów, gorączki, bólów żołądkowych, biegunki, skoków temperatury, bólów głowy, migren?

Meredith potrząsnęła głową. - Nie, nic w tym rodzaju. Po prostu jest mi trochę niedobrze, lecz przede wszystkim czuję się bardzo zmęczona, właściwie zupełnie wyczerpana.

- Rozumiem. - Jennifer podparła dłonią policzek i zamyśliła się.

Meredith z przejęciem pochyliła się w stronę lekarki: - Jak pani sądzi, Jennifer, co jest ze mną nie w porządku?

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna. Żeby postawić prawidłową diagnozę, trzeba będzie panią najpierw starannie przebadać. - Lekarka otworzyła leżący przed nią na biurku skoroszyt. - Przed pani przyściem sprawdziłam wyniki ostatnich badań, z grudnia zeszłego roku. Wtedy była pani w doskonałej formie.

. - Tak, wiem, dlatego sama jestem tak zaskoczona tym, co się ze mną dzieje.

- Proszę się nie martwić, dowiemy się, co pani dolega.
- Lekarka zamknęła skoroszyt i szybko dodała: - Zabierzmy się zatem za testy.

Wstała i okrążyła biurko.

Meredith także wstała.

Jennifer objęła ją ramieniem i powiedziała pocieszająco: - Wygląda pani na wystraszoną. Proszę się nie obawiać, dowiemy się, na czym polega problem.

- A jak pani myśli, co to może być?

Jennifer przez chwilę wahała się, lecz w końcu powiedziała: - Wiele rzeczy, lecz nie chciałabym zgadywać. Nie chciałabym także bagatelizować sprawy, mam zbyt wielkie zaufanie do pani inteligencji, a poza tym wie pani, że nie pracuję w ten sposób. Wierzę w szczerłość pomiędzy pacjentem a lekarzem. Ten rodzaj wyczerpania, który pani opisuje, może być spowodowany wieloma przyczynami, na przykład anemią, zaburzeniami hormonalnymi czy jakąś chroniczną infekcją. Lub wyczerpaniem.

- Ależ to nie może być wyczerpanie! - krzyknęła Meredith. - Na ogół jestem silna i pełna energii.

- Chodźmy do Angeli - powiedziała Jennifer, prowadząc Meredith ku końcowi korytarza. - Po tylu latach na pewno wie już pani, co i jak. Angela pobierze próbki krwi, zrobi EKG i prześwietlenie klatki piersiowej. Będziemy także potrzebowali próbki moczu. A kiedy testy

zostaną ukończone, dokładnie panią przebadam.

I otwierając drzwi małego pokoju zabiegowego, dodała: - Przyślę tu Angele ze szlafrokiem, więc może pani się rozebrać.

- Dziękuję - powiedziała cicho Meredith.

Dokładnie w godzinę później Meredith siedziała ubrana w gabinecie swojej lekarki, znowu wpatrując się wyczekująco w Jennifer Pollard. Wyglądała na zmartwioną. - I co, znalazła pani coś?

- Nic - Jennifer uśmiechnęła się do niej z ufnością. - O ile mogę to w tej chwili stwierdzić, fizycznie wszystko jest z panią w porządku. Żadnych guzów, ani śladu obrzęków i nie reaguje pani, kiedy naciskam jej brzuch. Odruchy i ciśnienie krwi w normie. Oczywiście, nie wiemy, jakie będą rezultaty badań moczu i krwi, ale te wyniki będziemy mieli dopiero za kilka dni. Lecz szczerze mówiąc, jestem niemal pewna, że one też będą w porządku. Wydaje mi się, że fizycznie jest pani równie zdrowa jak trzy miesiące temu.

- Więc jak wyjaśni pani te ataki?

- Nie mam pewności - Jennifer oparła się wygodniej o poręcz krzesła, spoglądając badawczo na Meredith. - Może to nerwy? Lub stres? Znam panią już dobre dziesięć lat i przez cały ten czas bardzo ciężko pani pracuje, istna z pani pracoholiczka, że użyję tego nieładnego słowa. A stres potrafi dokonać prawdziwego spustoszenia w układzie nerwowym.

- Zdaję sobie z tego sprawę, lecz ja wcale nie czuję się zestresowana, ani trochę. Naprawdę, Jennifer, ostatnio mocno sobie pofolgowałam, zwłaszcza kiedy byłam we

Francji. Przebudowuję tam gospodę, lecz mam bardzo sprawną współpracowniczkę, Francuzkę, która zdejmuje mi z barków większość obowiązków. I spędzam długie weekendy z moim przyjacielem. Ma piękny dom w dolinie Loary. - Meredith pochyliła się i dodała: - Pod względem osobistym nigdy nie czułam się szczęśliwsza. Interesy idą dobrze, a dzieci są wspaniałe.

- Miło mi to słyszeć - odparła Jennifer. Jej oczy przybrały zamyślony wyraz, po czym zapytała: - Czy nie ma nic w ogóle, co by panią martwiło?

- Nie. Jak już mówiłam, moje życie nigdy nie układało się lepiej.

Jennifer skinęła głową. - Poczekajmy zatem na wyniki badań krwi. Zadzwoń do pani, gdy tylko nadejdą. Prawdopodobnie w czwartek, najdalej w piątek.

Było późne czwartkowe popołudnie i Meredith podpisywała właśnie cały plik listów, gdy nagle zadzwonił telefon, podłączony do jej prywatnej linii.

- Halo? - powiedziała, podnosząc słuchawkę.

- *C'est moi, chérie.*

- Luc! - krzyknęła z radością. - Jak się masz, kochanie?

- Obawiam się, że nie najlepiej.

- Co się stało? - zapytała z widoczną troską w głosie.

Luc westchnął i wyjaśnił: - Strasznie mi przykro, Meredith, ale nie będę mógł przylecieć do Nowego Jorku w ten weekend. Obawiam się, że utknąłem tu, w Lyonie, na dłużej. Nie mogę się beze mnie obejść.

- Och, Luc, jaka szkoda, tak bardzo cieszyłam się na twój przyjazd! - powiedziała Meredith. - Kochanie, jestem

bardzo rozczarowana, ale rozumiem. Praca przede wszystkim. - I ona także westchnęła, zrezygnowana.

- Muszę być na miejscu - mówił dalej Luc. - Pojawiły się jakieś nieoczekiwane problemy z podłożem. Nie mogę zlecić tej pracy nikomu innemu. Dokopaliśmy się do litej skały i pewnie trzeba będzie przeprojektować fundamenty. Jutro mam spotkanie z inżynierem budowlanym i specjalistą od konstrukcji. Do soboty może uda się skończyć nowy projekt i wtedy w przyszłym tygodniu można by znowu wprowadzić ekipę - wyjaśnił, a potem, po chwili wahania, zaśmiał się cicho i zapytał: - Nie przypuszczam, żebyś ty mogła przylecieć do Lyonu, prawda?

- Bardzo bym chciała, Luc, ale naprawdę nie dam rady. Mówiłam ci już, że jutro przekazuję gospodę nowym właścicielom. I muszę być we wtorek w Nowym Jorku, by spotkać się z bankowcami. Henry Raphaelson wyjeżdża następnego dnia na Daleki Wschód, więc nie mogę zmienić terminu. Zanosi mi się na bardzo pracowity tydzień, Luc. I wkrótce wybieram się do Paryża, o ile pamiętasz.

- Oczywiście, że pamiętam, *ma chérie*, po prostu miałem nadzieję, że uda nam się zobaczyć wcześniej.

Meredith spojrzała na stojący na biurku kalendarz.

- Planuję przylecieć w końcu kwietnia i zostać przez cały maj.

- To wspaniale! Bardzo się cieszę, ale i tak będę za tobą tęsknił, Meri.

- A ja za tobą.

Rozmawiali w ten sposób jeszcze przez chwilę i Meredith z trudem oparła się pokusie, by mu się zwierzyć, opowiedzieć o wizycie u lekarki, zmieniła jednak zdanie. Nie chciała, by się martwił. Miał dość kłopotów z centrum handlowym w Lyonie.

- Fizycznie wszystko jest z panią w absolutnym porządku, Meredith - powiedziała Jennifer Pollard, siadając wygodnie na krześle i uśmiechając się do Meredith.

- Z przyjemnością stwierdzam, że wyniki badań moczu i krwi nie wykazały niczego niepokojącego.

Meredith odwzajemniła uśmiech, oddychając z ulgą, po czym zmarszczyła brwi i zapytała: - Lecząc dzisiaj rano, kiedy zadzwoniła pani do biura, powiedziała pani Amy, że chciałaby się ze mną zobaczyć, porozmawiać.

Lekarka skinęła głową. - To prawda. - Odchrząknęła, po czym mówiła dalej. - Coś jednak musi być nie tak, skoro miewa pani te ataki. A poza tym, z mego doświadczenia wynika, że ludzie, którzy czują się równie wyczerpani, jak mi to pani opisała, zwykle czują się tak przez cały czas. Innymi słowy, taki stan bywa na ogół chroniczny. Nie przychodzi i odchodzi, jak to ma miejsce u pani.

- To znaczy?

- To znaczy, że te ataki mogą stawać się coraz częstsze, aż w końcu będzie się pani czuła osłabiona przez cały czas.

Meredith w milczeniu wpatrywała się w lekarzkę.

- Proszę pozwolić mi coś sobie wyjaśnić, Meredith - powiedziała Jennifer. - Bardzo często ten rodzaj wyczerpania spowodowany jest przyczynami natury psychicznej.

- I sądzi pani, że tak właśnie ma się sprawa ze mną?

- Być może. Niewykluczone, że cierpi pani na zmęczenie psychogenne.

- A cóż to znaczy?

- Znaczy to, że źródłem pani złego samopoczucia jest problem natury emocjonalnej. Lub że jest pani w depresji, nawet o tym nie wiedząc.

- Na pewno nie jestem w depresji - odparła z oburzeniem Meredith. - Gdy byłam tu we wtorek, powiedziałam pani, że moje życie upływa bez większych wstrząsów. Jestem zakochana we wspomniałym mężczyźnie, i to z wzajemnością.

- Wierzę pani i bardzo się cieszę. Jednak nie powinnyśmy pochopnie odrzucać hipotezy o psychicznych przyczynach pani dolegliwości. Nie musi wcale być tak, że niepokoi panią coś, co dzieje się teraz. Korzenie zaburzeń mogą tkwić głęboko w przeszłości.

- I jak się coś takiego leczy? - spytała nerwowo Meredith, przyglądając się lekarce z napięciem.

- Należy określić naturę rzeczywistego problemu, dotrzeć do jego korzeni, a potem zająć się leczeniem.

- Leczeniem psychiatrycznym. Czy do tego pani zmierzła, Jennifer?

- Tak. Jeżeli rzeczywiście jest pani wyczerpana psychicznie, radziłabym jak najszybciej skontaktować się ze specjalistą. Choroba, a to jest choroba, nie minie sama z siebie. Co więcej, może przejść w stan chroniczny.

- Kogo... kogo mogłaby mi pani polecić? - spytała Meredith spokojnie.

- Doktor Hilary Benson. Jest bardzo sympatyczna, na pewno ją pani polubi. I jest doskonałym psychiatrą. Ma gabinet w pobliżu, na rogu Park i Sześćdziesiątej Dziewiątej.

Meredith oparła się o poręcz krzesła. Wyglądała na bardzo zmartwioną.

- Nie znam nikogo zdrowszego od pani, Meredith - powiedziała Jennifer szybko, widząc wyraz twarzy swej pacjentki. - Mogę za to ręczyć. Proszę posłuchać, to wcale

nie musi być wyczerpanie psychiczne. Jak już mówiłam, może to tylko stres...

- Nie sądzę.

- Więc zobaczy się pani z doktor Benson?

Meredith skinęła głową.

18

Meredith była ostatnią osobą, którą można by posądzić o brak zdecydowania. Kiedy już raz postanowiła spotkać się z psychiatrą, poleciła Amy, by umówiła ją na wizytę w następnym tygodniu.

A potem postanowiła czasowo zapomnieć o całej sprawie. Zawsze umiała odsuwać problemy do czasu, aż przyjdzie pora, aby się nimi zająć. Tak więc udało jej się przeżyć następne kilka dni bez poświęcania zbyt wielkiej uwagi swemu zdrowiu czy kondycji psychicznej. Na szczęście ataki nie powtórzyły się.

We wtorek po południu, gdy weszła do prywatnego gabinetu doktor Benson, odniosła wrażenie, iż ma do czynienia z kobietą przystojną i stanowczą. Pani doktor miała dość ładną twarz o raczej wysokich kościach policzkowych i niebieskie oczy o tak jasnym odcieniu, że wydawały się niemal przejrzyste. Lecz usta lekarki miały surowy wyraz, a ciemnobrązowe włosy były ściągnięte w prosty kok, stosowny raczej dla nauczycielki.

Otaczała ją atmosfera rzeczowości i Meredith przez kilka chwil zastanawiała się, czy doktor Hilary Benson nie okaże się przypadkiem osobą oschłą i pozbawioną współczucia. Lecz potem przypomniała sobie słowa swojej

lekarki: Jennifer powiedziała przecież, że doktor Benson jest nie tylko znakomitym psychiatrą, lecz także sympatyczną kobietą.

Muszę dać jej szansę, dać temu szansę, postanowiła. Pragnęła zrozumieć, co się z nią dzieje, dlaczego prześladują ją te ataki, a zgodnie z tym, co mówiła Jennifer, tylko psychiatra mógł pomóc jej dotrzeć do korzeni problemu.

Doktor Benson przywitała Meredith serdecznie i poprosiła ją, aby usiadła.

- Dziękuję - odparła Meredith i podążyła za lekarką w stronę biurka, gdzie zasiadły obie po jego przeciwnych stronach.

Meredith przyjrzała się doktor Benson i stwierdziła, że lekarka jest prawdopodobnie w tym samym wieku, co ona i Jennifer, to znaczy tuż po czterdziestce.

- Rozmawiałam o pani z doktor Pollard - powiedziała lekarka. - Jennifer przekazała mi wyczerpujące informacje na temat pani zdrowia. Najwidoczniej jest pani wyjątkowo zdrową osobą.

- Tak, dzięki Bogu - odparła Meredith, uśmiechając się słabo.

Doktor Benson przytaknęła i usiadła wygodniej na krześle, przyglądając się Meredith. Piękna kobieta. I sprawia wrażenie silnej. Lecz jest w niej jakiś ból, jakaś niezagojona rana. Widzę to w jej spojrzeniu. I, nie owijając niczego w bawełnę, powiedziała: - Jennifer przypuszcza, że cierpi pani z powodu psychicznego wyczerpania.

- Tak właśnie mi powiedziała.

- Porozmawiajmy o tym i o tych atakach, które pani miewa. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy?

- Na początku stycznia. Byłam w Paryżu, w interesach. Prawie przez cały dzień podróżowałam, a wieczorem, gdy wreszcie ulokowałam się w hotelu, poczułam się

naprawdę paskudnie. Byłam osłabiona i dokuczały mi nudności.

- Skąd przyjechała pani do Paryża?

- Z Anglii. Nie była to zbyt długa podróż, a ja nigdy się zbyt nie męczyłam w podróży. Mam mnóstwo energii i sił witalnych, pani doktor.

- Więc, jak rozumiem, złe samopoczucie nie było u pani czymś normalnym. - Przez chwilę panowało milczenie, po czym Hilary zaczęła pytać dalej: - Czy tego dnia zdarzyło się coś, co panią zdenerwowało? - Oparła łokcie na stole, złączyła razem dłonie i popatrzyła na Meredith ponad nimi.

- Nie, nic takiego nie miało miejsca. Prawdę mówiąc, przypuszczałam po prostu, że złapałam grypę. Tego dnia rano przebywałam przez dłuższy czas na dworze, a było zimno i padał śnieg. Spacerowałam po ruinach opactwa. Myślałam, że... - Meredith umilkła nagle, przerywając w pół słowa.

- O czym pani myślała, pani Stratton? - spytała doktor Benson, uśmiechem dodając Meredith otuchy.

- Chciałam powiedzieć, iż sądziłam, że przeziębiam się, gdyż przebywałam tam zbyt długo. Lecz kiedy już o tym mowa, to rzeczywiście, coś dziwnego przydarzyło mi się tego ranka, coś raczej niesamowitego.

- Co to było?

- Doświadczyłam tego szczególnego uczucia, że już tam kiedyś byłam, wie pani, *déjà vu*.

- Lecz pani nigdy tam nie była, to chciała pani powiedzieć?

- Tak, istotnie.

- Czy mogłaby mi pani opisać dokładniej, jak się pani wówczas czuła?

Meredith skinęła głową.

- Opowie mi pani o tym, pani Stratton?

- Tak, lecz proszę pozwolić, że najpierw coś pani wyjaśnię. Po raz pierwszy zobaczyłam opactwo poprzedniego dnia. Przyglądałam mu się z okien gospody, podziwiając jak pięknie jego sylwetka rysuje się na tle zaśnieżonych pól. I wówczas zdałam sobie sprawę, że ruiny w jakiś dziwny sposób przyciągają mnie do siebie. Następnego ranka miałam nieco wolnego czasu, ponieważ musiałam poczekać, aż moja angielska współpracownica wstanie i zejdzie na śniadanie. Krótko mówiąc, poszłam, by bliżej przyjrzeć się opactwu. Kiedy zbliżyłam się do ruin, poczułam, że one dosłownie przyciągają mnie do siebie z siłą, której nie potrafię się oprzeć. A w chwilę później, kiedy znalazłam się pośród starych murów, doznałam tego dziwnego uczucia, że już tu kiedyś byłam. Było to bardzo silne, wręcz przemożne.

- I jest pani absolutnie pewna, że nigdy przedtem tam nie była?

- Och, tak. Nigdy przedtem nie byłam w Fountains ani w ogóle w Yorkshire. Znalazłam się tam po raz pierwszy w życiu.

- Rozumiem. Czy doświadczyła pani czegoś jeszcze? Jakichś innych uczuć?

- Tak, prawdę mówiąc, tak. Doświadczyłam silnego poczucia straty. I smutku... - Meredith umilkła. A potem dodała, zamyślona: - Doświadczyłam uczucia prawdziwej rozpacz.

- Czy domyśla się pani, czym mogły być spowodowane te uczucia?

- Właściwie nie, choć przypominam sobie, że w pewnej chwili uświadomiłam sobie z niezwykłą jasnością, że utraciłam tam kogoś bardzo mi bliskiego. A raczej, że ktoś bliski został mi tam odebrany. Wydawało mi się, że znam te ruiny i że rozegrała się tam jakaś tragedia. A jednak nie odbierałam tego miejsca jako fatum, wręcz

przeciwnie. Czułam się swobodnie, jakbym tam właśnie przynależała.

- Czy dobrze zna pani Anglię, pani Stratton?

- Właściwie nie, choć jeżdżę tam już od dwudziestu lat. Jednak, jak już powiedziałam, nigdy dotąd nie byłam w Yorkshire. - Meredith pochyliła się na krześle, obrzucając lekarkę badawczym spojrzeniem.

- I jak może pani wytłumaczyć to, co przydarzyło mi się tamtego ranka?

- Nie sądzę, żebym potrafiła. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Czy tamto doświadczenie mogło wywołać pierwszy atak?

- Nie wiem. - Hilary Benson potrząsnęła głową.

- Ludzki umysł to bardzo skomplikowana maszyna. Trzeba nieźle się natrudzić, żeby zrozumieć, jak działa. Zostawmy na razie tamto doświadczenie w opactwie i zajmijmy się czymś innym. Z tego, co mówiła doktor Pollard, wynika, że jest pani Australijką. Proszę opowiedzieć mi coś o sobie, o swoim dzieciństwie.

- Pochodzę z Sydney. Tam się wychowałam. Moi rodzice zginęli w katastrofie samochodowej, gdy miałam dziesięć lat. Wychowali mnie krewni. - Meredith wyprostowała się na krześle, skrzyżowała swe długie nogi i obdarzyła lekarkę chłodnym, bezpośrednim spojrzeniem.

Hilary Benson odwzajemniła spojrzenie i pomyślała: Wygląda na szczerą, lecz z pewnością nie powiedziała mi prawdy. Czuję to. To, co powiedziała, zabrzmiało jak wyuczona lekcja. Powtarza mi teraz to, co powtarzała przede mną innym, Bóg wie ile razy.

Po chwili milczenia Hilary powiedziała: - Jakie to smutne, zostać osieroconą w tak młodym wieku. Kto zatem panią wychował?

- Krewni, tak jak powiedziałam.
- Ale dokładnie, kto?
- Ciotka.
- Rozumiem. Czy miała pani jakieś rodzeństwo?
- Nie, byłam jedynaczką. Zawsze sama i niezależna.
- Czy tak właśnie się pani czuła? Mimo że miała pani ciotkę?

- Tak, zawsze się tak czułam.
- Proszę mi opowiedzieć, jak znalazła się pani w tym kraju.

- Z przyjemnością - odparła Meredith, a potem dodała: - Wolałabym, aby zwracała się do mnie pani po imieniu, doktor Benson.

Lekarka skinęła głową. - Oczywiście. Więc, Meredith, proszę opowiedzieć mi co nieco o swoim przyjeździe do Ameryki.

- Przyjechałam z pewną amerykańską rodziną, która mieszkała przez jakiś czas w Sydney. Z Paulsonami. Pracowałam u nich jako opiekunka do dzieci, od kiedy skończyłam piętnaście lat. W dwa lata później pana Paulsona odesłano z powrotem do Stanów i poprosili mnie, bym pojechała z nimi. Więc tak zrobiłam.

- A pani ciotka nie protestowała?
- Och, nie. Nie dbała o to. Miała cztery własne córki, nie interesowała się tym, co robię.

- A zatem, o ile dobrze rozumiem, wyraziła zgodę, by pojechała pani z Paulsonami do Ameryki?

Meredith skinęła głową. - Pomogła mi nawet zdobyć paszport. - Uśmiechnęła się. - Była zadowolona, że się mnie pozbywa.

Hilary Benson zmarszczyła brwi. - Nie byliście chyba bardzo zżyte?

- Ani trochę.
- A co z rodzicami? Czy byli pani bliscy?

- Właściwie nie.
- Lecz była pani ich jedynym dzieckiem. Jedynacy są zwykle bardzo zżyci z rodzicami.

- No cóż, ja nie byłam.

Lekarka umilkła. Spojrzała na leżący przed nią notatnik i zapisała kilka uwag. Była coraz bardziej przekonana, że Meredith kłamie opowiadając o swym dzieciństwie. Wydawało się jej, że cała historyjka została zbyt dobrze przećwiczona, a Meredith odpowiada monosylabami, zupełnie jakby obawiała się popełnić błąd. Albo ujawnić coś, co pragnęła zatrzymać w ukryciu.

Hilary odłożyła pióro i uśmiechnęła się do swej pacjentki. - A zatem przyjechała pani do Ameryki z Paulsonami. Czy kiedykolwiek wróciła pani jeszcze do Australii?

- Nie, zostałam w Stanach. A właściwie w Connecticut. Tam właśnie zamieszkaliśmy: w pobliżu New Preston, nad jeziorem Wanamaug. Zostałam u Paulsonów jeszcze przez rok, lecz potem pan Paulson został skierowany do Afryki Południowej. Pracował jako specjalista od organizacji w pewnej międzynarodowej agencji reklamowej i stale przerzucano go po całym świecie.

- I pojechała pani tam z nimi?

- Nie, nie chciałam jechać do Johannesburga. Zostałam w Connecticut.

- Sama? Miała pani wtedy zaledwie osiemnaście lat!

- No cóż, pani Paulson zgodziła się, bym została, ponieważ znalazłam sobie pracę. W gospodarstwie Silver Lake. Pani Paulson poznała właścicieli i spodobali się jej. A poza tym oferowali nie tylko wynagrodzenie, lecz także mieszkanie i wyżywienie, dlatego się zgodziła. Silverowie pochodzili z bardzo starej, znanej i szanowanej w okolicy rodziny.

- A zatem w wieku osiemnastu lat była pani już całkowicie niezależna i pracowała na swoje utrzymanie. I jak się w związku z tym pani czuła? Z tą samodzielnością?

- Byłam zadowolona, lecz właściwie wcale nie zostałam pozostawiona samej sobie. Silverowie od początku traktowali mnie jak członka rodziny, zgotowali mi bardzo serdeczne przyjęcie i po raz pierwszy w życiu poczułam się u nich jak w domu.

- Jeśli dobrze rozumiem, traktowali panią jak córkę. Czy tak właśnie było, Meredith?

- Nie jak córkę, nie. Nie byli aż o tyle starsi ode mnie. Raczej jak młodszą siostrę.

- W jakim byli wówczas wieku?

- Kiedy zaczęłam tam pracować, Amelia miała trzydzieści sześć lat, a Jack trzydzieści dwa.

Hilary skinęła głową. - A co należało do pani obowiązków?

- Zaczęłam jako recepcjonistka, lecz od samego początku było wiadomo, że będę pomagać Amelii w pracach biurowych. Miała zbyt wiele obowiązków, a ponieważ była sparaliżowana, nie bardzo mogła im podołać. Zostałam jej asystentką, nie przestając być recepcjonistką. A poza tym pomagałam Jackowi zarządzać gospodą.

- Co przydarzyło się Amelii Silver? Dlaczego została sparaliżowana?

- To był wypadek, spadła z konia, gdy miała dwadzieścia pięć lat, tuż po ślubie. Uszkodziła sobie kręgosłup i straciła dziecko, które nosiła. Taka straszna tragedia... Lecz całkiem dobrze sobie z tym radziła.

- Proszę mi o niej opowiedzieć. Widzę, że była dla pani kimś ważnym.

- O, tak. Była wspianała i nauczyła mnie wielu rzeczy. I nie tylko to. Amelia Silver była najpiękniejszą kobietą,

jaką kiedykolwiek znałam, jaką widziałam. Wyglądała zupełnie jak Vivien Leigh w *Przeminęło z wiatrem*. To właśnie była pierwsza rzecz, którą jej powiedziałam... że przypomina Vivien Leigh.

- A zatem musiała być rzeczywiście piękna. Powiedziała pani, że nauczyła panią wielu rzeczy. Proszę to wyjaśnić.

- Kochała sztukę, antyki i urządzenie wnętrza, a ja nauczyłam się tego od niej. Lecz dowiedziałam się również wiele o odwadze... ona była taka dzielna... a także o godności i uczciwości...

- Z tego, co pani mówi, wynika, że to ona wpoila pani prawdziwe wartości.

- Tak. Ona i Jack. Od niego nauczyłam się serdeczności, a także tego, jak prowadzi się interesy. Zachęcał mnie, abym uczyła się jak najwięcej o prowadzeniu gospody i prawie wszystko, co na ten temat wiem, zawdzięczałam właśnie jemu. Był bardzo inteligentnym człowiekiem.

- Czy hotel cieszył się dużym powodzeniem?

- Tylko w weekendy. W ciągu tygodnia było tam dość spokojnie. Silver Lake służy i służyło raczej jako miejsce weekendowego wypoczynku, za to sezon trwa tam przez cały rok. Więcej ludzi przyjeżdża jednak latem i wiosną niż zimą. I, oczywiście, jesienią, gdy liście zaczynają zmieniać kolor, zawsze mamy komplet. Ludzie uwielbiali przyjeżdżać do Silver Lake, by to zobaczyć. Nadal uwielbiają.

- Opisuje pani tę gospodę z wielką miłością, Meredith.

- Kocham Silver Lake. Pokochałam je już wtedy, gdy pierwszy raz się tam znalazłam. A poza tym, to był mój pierwszy dom... moja pierwsza bezpieczna przystań. - Meredith umilkła. Powiedziała już i tak zbyt wiele.

Wyprostowała się lekko na krześle i wbiła wzrok w obraz, wiszący nad głową doktor Benson.

Hilary powiedziała: - Bezpieczna przystań... czy wcześniej nigdy nie czuła się pani bezpieczna, Meredith?

- To tylko takie wyrażenie - odparła Meredith z widoczną rezerwą.

- Tak pięknie wyrażała się pani o Silverach, domyślam się, że musiała ich pani bardzo kochać, i pewnie dalej tak jest. Jak oni...

- Oboje już nie żyją! - powiedziała Meredith gwałtownie, przerywając lekarce.

- Przykro mi to słyszeć. Ich odejście musiało być dla pani wielką stratą.

- Było. Niemal złamało mi serce.

- Kiedy zmarli?

- Jack w 1973. Miał zaledwie trzydzieści sześć lat. Amelia umarła w rok później, może trochę więcej niż rok. W każdym razie w 1974. Ona też była jeszcze młoda, miała tylko czterdzieści jeden lat.

- Jakie to smutne, że dwoje ludzi, na których tak pani zależało, odeszło tak niedługo po sobie. Oni też pewnie bardzo panią kochali.

- O, tak - powiedziała miękko Meredith, wspominając ich i pielęgnując to wspomnienie. - Dlatego było mi tak ciężko, kiedy odeszli. Jack był pierwszą osobą, która kiedykolwiek okazała mi uczucie, otoczyła mnie ramionami i utuliła.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Hilary Benson zapytała miękko: - Czy chce pani przez to powiedzieć, że między panią a Jackiem Silverem istniał związek natury seksualnej?

- Niczego podobnego nie sugerowałam! - zaprotestowała gwałtownie Meredith podniesionym głosem. - Amelia kochała mnie równie mocno jak Jack i także okazywała mi uczucie, tyle że bardziej... werbalnie. Biedna kobieta

była przykuta do wózka i jej z pewnością nie byłoby łatwo objąć mnie ramionami.

- Rozumiem - odpowiedziała spokojnie lekarka, odnotowując oburzenie Meredith i jej przesadną reakcję, świadczące jasno, że pomiędzy nią a Jackiem Silverem musiały istnieć więzy natury seksualnej. Lecz było o wiele za wcześnie, by gruntowniej przyjrzeć się temu problemowi. Meredith nie była jeszcze gotowa.

Teraz spoglądała właśnie na zegarek. Dochodziła czwarta, co oznaczało, że spędziła w gabinecie prawie godzinę. - Jestem umówiona na czwartą trzydzieści, doktor Benson, a poza tym czas naszego pierwszego spotkania i tak dobiega już chyba końca, prawda?

- Tak, ma pani rację - odparła Hilary, spoglądając na stojący na biurku zegarek. - To co, umawiamy się na czwartek?

- Tak, oczywiście - powiedziała Meredith, wstając. Lecz kiedy pożegnała się z lekarką i opuściła gabinet, poważnie wątpiła, czy zdoła zmusić się, by przyjść na to spotkanie.

19

Pomimo tych obaw, Meredith stawiała się w czwartek na spotkanie z doktor Benson, a nawet umówiła się na trzy kolejne w następnym tygodniu.

Jak dotąd, lekarze nie udało się dotrzeć do przyczyny dręczących ją ataków.

Podczas piątego spotkania, które miało miejsce pod koniec drugiego tygodnia, Meredith w końcu zdecydowała się przerwać leczenie.

- Nie wydaje mi się, by dalsze spotkania miały sens - powiedziała powoli. - Ja mówiłam bez końca, a pani słuchała, lecz do niczego nas to nie doprowadziło. Nawet nie jesteśmy pewne, czy rzeczywiście jestem wyczerpana psychicznie.

- Ja jestem pewna - powiedziała lekarka stanowczo.

- Ale ataki nie powtórzyły się.

- Wiem, lecz to niewiele znaczy.

- To będzie nasze ostatnie spotkanie.

- Uważam, że przerwanie teraz kuracji byłoby nierozsądne - odparła Hilary spokojnie, bacznie przyglądając się pacjentce. - Coś panią dręczy, jestem tego pewna. Po prostu jeszcze nie udało nam się dowiedzieć, co to takiego.

- I tak przez kilka tygodni nie będę mogła przychodzić, wyjeżdżam na miesiąc do Londynu i Paryża.

- Kiedy pani leci?

- W następną środę lub czwartek.

- To co, w takim razie może przekonamy się, na czym stoimy?

- W porządku - powiedziała Meredith. Tak naprawdę zgodziła się tylko dlatego, że podczas tych spotkań nauczyła się lubić doktor Benson, czuła się przy niej swobodnie i ufała jej. Poza tym czuła, że jeśli nie udało im się dojść przyczyny problemu, przynajmniej częściowo była to jej wina. Od lat tak bardzo przyzwyczaiła się do życia w półprawdzie, tak wiele ukrywała, że teraz odkrycie się sprawiało jej olbrzymią trudność.

- Tym razem nie mam zamiaru owijać niczego w bawełnę, Meredith - stwierdziła lekarka. - Dziś będę z panią brutalnie szczerą. Wiem, że mnie pani okłamuje, wiem, co naprawdę łączyło panią z Jackiem Silverem i chcę, aby mi pani o tym opowiedziała.

Meredith była tak zaszokowana, że wykrztusiła tylko: - To nie było tak, jak pani myśli. Kochaliśmy się - przerwała

i szybko odwróciła głowę, żałując tego, co powiedziała.

- Nie musi się pani czuć zakłopotana - mruknęła Hilary współczująco - Nie jestem tu po to, by panią oceniać, lecz by pomóc... Proszę ze mną porozmawiać, opowiedzieć mi o Jacku i o tym, co zdarzyło się wówczas w Silver Lake. Jestem pewna, że potem poczuje się pani lepiej, a dla mnie każda dodatkowa informacja, dotycząca pani przeszłości, może okazać się pomocna w wysłedzeniu przyczyn choroby.

Meredith nie odpowiedziała. Przez dłuższą chwilę milczała, po czym wstała, podeszła do okna i stała tam, spoglądając w dół na Park Avenue, rozmyślając o sobie, o Jacku, Amelii i o tym, co zaszło pomiędzy nimi tak dawno temu. To, co się wówczas stało, ukształtowało ją na całe dorosłe życie. Tyle im zawdzięczała. Nie chciała, by doktor Benson myślała źle o Jacku. Albo o niej samej.

Wreszcie odwróciła się, podeszła z powrotem do biurka i usiadła na krześle. - Tak, to prawda. Łączył nas związek seksualny, lecz przede wszystkim bardzo się kochaliśmy. Nie chciałam o tym mówić, ponieważ obawiałam się, że pani nie zrozumie. Słowa bywają takie zimne i tak mało znaczą... Być może nie będzie pani w stanie zrozumieć miłości, uczuć, które do siebie żywiliśmy, ponieważ nie było tam pani. Nikt nie potrafi zrozumieć. - Meredith patrzyła teraz prosto w twarz lekarki.

Hilary skinęła głową. - Doceniam, że mi to pani mówi i bardzo dobrze wiem, co ma pani na myśli. Lecz jak już przed chwilą powiedziałam, nie jestem tu po to, by panią osądzać, lecz by leczyć. Aby naprawdę mogła pomóc, muszę zrozumieć pani przeszłość.

- Czy sądzi pani, że to właśnie może być przyczyną...? Nasz romans? Mój i Jacka?

- Nie jestem pewna. Żeby to ocenić, muszę najpierw usłyszeć wszystko.

- Ja jestem pewna, że nie o to chodzi. Mimo to opowiem pani o Jacku i o tym, co nam się przydarzyło, gdy w 1969 zjawiłam się w Silver Lake, by u nich pracować.

- Wygodnie pani? Może wolałabyś usiąść na kanapie?

Meredith potrząsnęła głową. - Nie, dziękuję. Chciałabym jednak najpierw opowiedzieć pani jeszcze o czymś innym. Kilka tygodni temu mój syn, Jon, powiedział mi, że w dzieciństwie często przysłuchiwał się, jak płaczę w nocy. I rzeczywiście, tak właśnie było. Zapłakiwałam się na śmierć, aż w końcu wydawało mi się, że nie ma już we mnie ani jednej łzy, lecz oczywiście stale znajdowałam ich więcej. Płakałam wówczas z wielu powodów, lecz głównie z tęsknoty za Jackiem i Amelią. Tak bardzo mi ich brakowało...

Meredith przerwała, odchrząknęła, a potem cicho mówiła dalej: - Jack był moją prawdziwą miłością. Pokochałam go już pierwszego dnia, gdy tylko go zobaczyłam. On także wówczas się we mnie zakochał. Nazywał to *coup de foudre*. Nigdy przedtem nie słyszałam tego wyrażenia. Powiedział mi, co to znaczy... Uderzenie pioruna.

Przez całe tygodnie ukrywaliśmy naszą miłość przed światem i przed nami samymi. Lecz potem Amelia musiała wyjechać, aby odwiedzić matkę. Starsza pani była bardzo chora, właściwie umierająca, i Jack zawiózł Amelię na Manhattan. Gdy wrócił tego lipcowego wieczoru, zaczął mnie szukać. Leżałam w trawie nad brzegiem jeziora, ciesząc się ciągnącym od wody chłodem. Tamtego roku lipiec był wyjątkowo gorący, zdawało się, że powietrze parzy skórę. Kiedy mnie znalazł, powiedział, że chce

porozmawiać o Amelii - martwił się, ponieważ musiał zostawić ją samą z chorą staruszką i dwiema młodymi pokojówkami. Zastanawiał się, czy nie powinien zawieźć mnie jutro do miasta, bym zaopiekowała się Amelią. Powiedziałam, że zrobię to z przyjemnością i że zrobiłabym dla niego wszystko.

- A potem nagle, nie wiedząc nawet, jak to się stało, już trzymaliśmy się w ramionach, całując się gorąco. Nigdy przedtem nie doświadczyłam takiego pożądania, takiej namiętności. Nikogo nie kochałam tak jak jego. Nie miałam jeszcze żadnych seksualnych doświadczeń i Jack bardzo się zdenerwował, gdy okazało się, że byłam dziewicą. Zbeształ mnie, że mu nie powiedziałam. Lecz wtedy było już za późno, już się kochaliśmy.

Meredith milczała przez kilka sekund.

Hilary Benson także nie powiedziała ani słowa: wiedziała, że lepiej będzie poczekać, aż Meredith sama poczuje, że jest gotowa mówić dalej.

I rzeczywiście po chwili Meredith powiedziała miękko: - I od tej pory kochaliśmy się często, nawet po powrocie Amelii. Po prostu nie potrafiliśmy się powstrzymać, tak bardzo byliśmy zakochani. Jack od lat pozbawiony był fizycznej miłości. Powiedział mi, że raz nawet pojechał do Nowego Jorku, by spotkać się z prostytutką, ale nic z tego nie wyszło - nie mógł pójść z nią do łóżka, ponieważ nie do niej nie czuł. Mnie jednak kochał i kochał Amelię. Mieliśmy skrupuły. W jej obecności nigdy nie zdradzaliśmy się z naszymi uczuciami. Jack zawsze powtarzał, że Amelia nie może się o nas dowiedzieć, że w żaden sposób nie wolno nam jej zranić, i nigdy tego nie zrobiliśmy.

- Nigdy się nie dowiedziała? - spytała Hilary.

Meredith nie odpowiedziała, lecz kontynuowała swoją opowieść: - A potem pewnego miesiąca nie dostałam

okresu. Wiedziałam, że muszę być w ciąży. Byłam przerażona, głównie tym, że Amelia domyśli się, iż to dziecko Jacka. Lecz Jack pocieszał mnie, zapewniał, że Amelia niczego nie będzie podejrzewała. Wierzyłam mu, dlaczego miałabym nie wierzyć? Kochałam go ponad wszelkie wyobrażenie. Kiedy spytałam go, co mam powiedzieć Amelii, poradził mi, bym wymyśliła sobie jakiegoś chłopca, który rzekomo uwiódł mnie, a potem porzucił, gdy okazało się, że jestem w ciąży. I to właśnie powiedziałam Amelii, a ona mi uwierzyła.

Prawdę mówiąc, pani doktor, Amelia była zachwycona tym, że jestem w ciąży. Gdy mój stan zaczął już sprawiać mi kłopoty, to znaczy mniej więcej w szóstym miesiącu, nalegała, bym przeprowadziła się do mieszkania, które znajdowało się nad garażem, tuż obok ich domu. Mieszkałam wówczas na poddaszu. Pewnego razu Amelia stwierdziła, że schody to dla mnie zbyt wiele, i miała rację. Zamieszkaliśmy więc wszyscy na dole. Naturalnie, w obecności Amelii nadal zachowywaliśmy się bardzo ostrożnie.

Pewnego popołudnia, gdy byłam już w ósmym miesiącu, Amelia zapytała mnie, czy po urodzeniu dziecka mam zamiar odejść. Powiedziałam jej, że wcale tego nie chcę i że miałam nadzieję, iż będę mogła zostać w Silver Lake i dalej dla nich pracować. Bardzo się ucieszyła. Pamiętam, jak położyła swą małą dłoń na moim brzuchu, uśmiechnęła się i powiedziała: - Nasze dziecko, Meri. To będzie nasze dziecko, wychowamy je razem i będziemy tu wszyscy bardzo szczęśliwi.

I, prawdę mówiąc, byliśmy. Czasami zastanawiałam się głośno, czy Amelia nie podejrzewa, że noszę dziecko jej męża, lecz Jack zapewniał mnie, że tak nie jest.

W końcu urodziła się Catherine. Nasza córka. Najwspanialsze dziecko, jakie kiedykolwiek widzieliśmy. Piękne, o jasnoblękitnych oczach Jacka. A potem, w trzy lata później, zdarzyła się tragedia. Jack umarł, ot tak, w mgnieniu oka. Dostał ataku serca, kiedy rozmawiał z Patem O'Brienem na trawniku przed domem. Nie wiedział w ogóle, że ma chore serce. Nikt z nas nie wiedział. Meredith wyprostowała się na krześle, wpatrując się w przestrzeń niewidzącym spojrzeniem, zatopiona we wspomnieniach.

- I co stało się później? - spytała Hilary po chwili. - Mów dalej, proszę.

- Co się stało? Pogrążyliśmy się w żałobie, Amelia i ja. Byłyśmy w rozpacz. Lecz ja musiałam zająć się dzieckiem i prowadzeniem gospody... tyle ciężkiej pracy, lecz byłam młoda, silna... Miałam pełne ręce roboty, ale jakoś sobie radziłam. Lecz biedna Amelia była w takim stanie, że musiałam zajmować się także nią. Widzi pani, po śmierci Jacka straciła ochotę do życia i do następnej wiosny pozostał z niej tylko cień. Wiedziałam, że nie zostanie już z nami długo. Czułam, że ona po prostu wyczekuje śmierci. W miarę jak upływały miesiące, było mi coraz ciężej na sercu. Nie mogłam znieść myśli, że mogę utracić ją tak szybko po Jacku... już sama myśl o tym nappełniała mnie przerażeniem.

Pewnego dnia, w piątek, siedziałyśmy z Amelią na ganku, układając żonkile do jadalni. Cat bawiła się na stopniach, zalanych promieniami wiosennego słońca. Nagle Amelia spojrzała na mnie w jakiś szczególny sposób i powiedziała, że sporządziła testament. „Zostawiłam wszystko tobie, Meri - powiedziała. - Tobie i Cat. Nie mam nikogo innego, a poza tym Cat jest przecież Silverówną. Ostatnią z Silverów, przynajmniej póki nie

dorośnie i nie będzie miała własnych dzieci. A zatem wszystko należy do dziecka, dziecka Jacka. Musisz to dla niej zachować. Wierzę, że postąpisz, jak będzie należało. Ufam twojej inteligencji, Meri. Jeżeli kiedykolwiek będziesz musiała sprzedać gospodę, zrób to. Albo oddaj ją w dzierżawę, jeżeli sama nie będziesz mogła podolać prowadzeniu jej. Ale zatrzymaj ziemię, nie sprzedawaj majątku Silver Lake, bez względu na wszystko. Ta ziemia już teraz warta jest miliony, a z czasem jej wartość może tylko wzrosnąć. Tego właśnie pragnąłby Jack, Meri. Żebyś zatrzymała ziemię. Należy do Silverów od ponad dwustu lat”.

Może sobie pani wyobrazić, jak bardzo byłam oszołomiona, pani doktor. Zdumiona i przerażona tym, że Amelia wie, czyją córką jest naprawdę Catherine.

Kiedy już otrząsnęłam się ze zdumienia, spytałam Amelię, skąd wie o dziecku, a ona znów obrzuciła mnie tym dziwnym spojrzeniem i powiedziała: „Ależ ja zawsze wiedziałam, Meri, od dnia, kiedy dowiedziałas się, że zaszłaś w ciążę”. Przypuszczam, że musiałam wyglądać na mocno skonsternowaną, gdyż zaczęła mi wyjaśniać: „To Jack mi o tym powiedział, kochanie”. A potem ujęła moją dłoń i ścisnęła ją mocno w swoich. „Jack kochał mnie od dzieciństwa, lecz kochał także ciebie i bardzo cię potrzebował. Był młodym, zdrowym mężczyzną, pełnym namietności. A ze mnie od czasu wypadku nie mógł mieć pod tym względem żadnego pożytku. Przez te wszystkie lata ani razu nie spojrzął na inną kobietę, żył w celibacie, dopóki nie zjawiałaś się ty. Zakochał się w tobie, Meri. A kiedy zaszłaś w ciążę, zapragnął tego dziecka. O Boże, jak bardzo go pragnął! Nigdy nie miałam do niego żalu o jego związek z tobą. Wiedziałam, że nigdy mnie nie zrani ani nie opuści. Wiedziałam także, że ty będziesz wobec mnie

lojalna. Tak bardzo kochałam Jacka, Meri, lecz kocham także ciebie i dziecko. Kocham je tak, jakby było moje”. I Amelia wiedziała, co mówi, pani doktor. Ona zawsze mówiła prawdę.

Meredith umilkła ponownie. Najwidoczniej wspomnienie tamtego dnia z Amelią, choć tak odległe, nadal głęboko ją poruszało. Gdy wreszcie spojrzała na lekarkę, w jej oczach błyszczały łzy. - Amelia umarła w tym samym roku - w 1974 - uczyniwszy ze mnie bogatą kobietę, a z Cat prawdziwą dziedziczkę. Pozostawiła nam wszystko, co posiadała, a było tego znacznie więcej, niż tylko ziemia i gospoda. Na przykład majątek, który odziedziczyła po matce. I wszystko to, poza kilkoma drobnymi zapisami na rzecz O'Brienów i paru innych osób, które pracowały w gospodzie od lat, pozostawiła nam. Oddałabym jednak wszystko bez chwili wahania, gdyby to mogło przywrócić Amelię do życia. Przez całe lata opłakiwałam ją i bardzo za nią tęskniłam. A także za Jackiem.

- Co za niezwykła historia, bardzo poruszająca - powiedziała Hilary współczująco. Zauważyła wzruszenie Meredith i w pełni zrozumiała, jak wiele musieli znaczyć dla niej ci ludzie. Już miała zapytać, czy przyszło jej kiedykolwiek na myśl, że Silverowie posłużyli się nią, lecz natychmiast zmieniła zamiar. W głębi serca wiedziała bowiem doskonale, że nie o to chodziło. Wierzyła, że Meredith powiedziała jej całą prawdę o swoim życiu z Silverami. Być może kłamała co do innych fragmentów swego życiorysu, lecz z pewnością nie co do tych kilku lat.

Na stojącym obok biurka stoliku znajdowała się karafka z wodą. Meredith wstała, podeszła do stolika i naląła sobie szklanekę. Odwróciła się, spojrzała na Hilary i powiedziała cicho: - Jestem przekonana, że moje ataki nie

mają nic wspólnego z tamtymi latami w Connecticut. Byłam tam bardzo szczęśliwa, a Silverowie byli dla mnie bardzo dobrzy.

- Wiem - odparła Hilary. - I sędzę, że nie myli się pani. Ataki nie mają nic wspólnego z tym okresem. Musimy więc cofnąć się jeszcze dalej. Nie wiem jednak, kiedy będziemy mogły to zrobić. Chyba że przyszłaby pani na jeszcze jedną sesję przed odlotem do Europy. To dałoby nam przynajmniej jakiś punkt zaczepienia.

Meredith wahała się przez chwilę, a potem podjęła decyzję. - Zgoda - powiedziała. - Mogłabym przyjść jutro po południu, jeżeli znajdzie pani dla mnie czas.

- Pozwoli pani, że sprawdzę mój rozkład zajęć z sekretarką - odparła Hilary, naciskając przycisk interkomu.

Tej nocy Meredith znów śniła ów sen, prześladowający ją od dzieciństwa.

Po zjedzeniu lekkiej kolacji poszła wcześniej do łóżka, gdyż rano czekało ją kilka ważnych spotkań, chciała też uprzątnąć biurko przed popołudniową sesją z Hilary Benson.

Niemal natychmiast zapadła w sen i przez większą część nocy nic jej się nie śniło. A potem, już niemal o świcie, obudziła się nagle przerażona. Siedziała wyprostowana na łóżku, z twarzą, szyją i piersią pokrytą potem i sercem przepelnionym lękiem.

Zapaliła lampkę i rozejrzała się po pokoju, a potem opadła znów na poduszki. Po chwili wzięła z nocnego stolika papierową chusteczkę, otarła twarz i szyję, po czym zmięła w dłoni wilgotną chustkę w małą kulkę.

Znów śnił jej się ten okropny sen i znów obudziła się przerażona. Zaczęła nad nim rozmyślać, usiłując przypomnieć sobie szczegóły nocnego koszmaru.

Była sama pośród rozległego, wyschniętego krajobrazu. Szukała dziewczynki i chłopca, ale nie mogła ich znaleźć. Zniknęli, wpadając do wielkiej szczeliny w ziemi. Widziała, jak spadają i bała się o nich. A teraz musiała znów ich odszukać. Oni wiedzieli. Znali tajemnicę.

Szła i szła, przeszukując wzrokiem krajobraz. I gdy wreszcie niemal straciła nadzieję, że ich kiedykolwiek odnajdzie, zobaczyła dwie sylwetki daleko na horyzoncie, ponad wyschniętą pustynią błota. Była taka szczęśliwa, że ich znalazła. Chłopiec zdjął szkolną czapkę i machał nią do niej. I nagle byli już wszyscy razem, cała trójka. Szli w stronę odległego horyzontu, trzymając się za ręce. Teraz ona też była ubrana jak mała dziewczynka. Miała ciemny płaszczyk, długi szalik w paski i берет. Na piersi całej trójki widniały wielkie napisy, podobne do naklejek nalepianych na bagaż. Zerknęła na tabliczkę dziewczynki, lecz napis został najwyraźniej rozmyty przez deszcz. Nie mogła odczytać nazwiska. Ani nazwiska chłopca. Spojrzała na swoją tabliczkę. Także ten napis nie dawał się odczytać. Jak się nazywała? Nie wiedziała.

Przed sobą zobaczyli wielki statek. Był tak olbrzymi, że jego sylwetka przesłaniała resztę nabrzeża. Dziewczynka bała się. Nie chciała wchodzić na statek. Zaczęła płakać. Chłopiec także płakał, i ona też. Żadne z nich nie chciało wchodzić na pokład. Łzy spływały im po policzkach. Było tak zimno, że wilgoć zamarzała na skórze. Zaczął padać śnieg.

Morze było niczym czarna oliwa. Bali się, byli przerażeni. Przywarli do siebie, łkając. Sprowadzono ich ze

statku. Przybyli do miejsca przeznaczenia. Wokół rozciągał się szary, wyschnięty krajobraz, gdzie nic nie rośnie. Niebo było bardzo błękitne, a słońce wręcz oślepiało. Szli i szli. Było tam wiele, wiele dzieci, które szły, dopóki znowu nie doszły do brzegów czarnego morza. I wszystkie weszły do morza. Stała. Nie mogła się ruszyć. Próbowwała powstrzymać dziewczynkę przed wejściem do morza, ku przeznaczeniu. Ku zgubie. Jednak nie potrafiła tego zrobić. Dziewczynka odeszła od niej, chłopiec także. Razem weszli do czarnej wody. Próbowwała krzyknąć, by ich powstrzymać, lecz żadne słowa nie wydostały się z jej ust. I znów była sama w opustoszałym krajobrazie. I znowu się bała. Oni znali rozwiązanie. Ona nie. A teraz odeszli. Na zawsze. I ona nigdy się nie dowie.

Tym razem sen był nieco inny, uświadomiła sobie Meredith, rozpamiętując jego szczegóły. Zastanawiała się, co mógł oznaczać, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Postanowiła jednak powiedzieć o nim doktor Benson. Być może psychiatra znajdzie jakieś wyjaśnienie.

- Jest coś, o czym jeszcze pani nie mówiłam - powiedziała do lekarki, gdy po południu znalazła się w jej gabinecie.

Hilary spojrzała na nią czujnie. - Co to takiego, Meredith?

- Coś, co musi mieć związek z moimi atakami. A przynajmniej ja tak uważam. Zaczęło się na nowo po drugim ataku.

- Co się zaczęło?

- Chodzi o sen. A właściwie o koszmar, który prześlada mnie z przerwami od lat.

- Od ilu lat? - spytała Hilary, pochylając się nad biurkiem, by lepiej przyjrzeć się pacjentce.

- Od kiedy tylko sięgam pamięcią, to znaczy kiedy miałam dwanaście, trzynaście lat, a może i wcześniej. Sen przestał się pojawiać, gdy po raz pierwszy przyjechałam do Connecticut. Prawdę mówiąc, w tamtym okresie śnił mi się zaledwie raz, na samym początku, gdy tylko zaczęłam pracować w gospodzie. Potem pojawiał się kilka razy między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, i po trzydziestce. A potem nastąpiła przerwa, aż do stycznia tego roku.

- I sen pojawił się po tym ataku osłabienia?

- Tak, spędzałam wówczas weekend w dolinie Loary, u przyjaciela. Po południu nagle zrobiło mi się słabo, poszłam więc na górę do swego pokoju, by nieco odpocząć. Czulałam się taka zmęczona, że wkrótce zasnęłam. I wtedy przyśnił mi się ten sen. Obudziłam się przerażona, że koszmar pojawił się znowu po tylu latach, a ja nadal tak silnie na niego reaguję.

- A jak się czułaś?

- Byłam przestraszona, zatrwożona.

- Proszę opowiedzieć mi ten sen, Meredith.

Meredith skinęła głową i zrobiła, o co ją poproszono. A potem wyjaśniła, że w ciągu tych ostatnich miesięcy sny nie były już takie same, lecz za każdym razem różniły się nieco od siebie.

- A zatem w ostatnim śnie odnalazła pani wreszcie chłopca i dziewczynkę w tym opustoszałym krajobrazie - zauważyła Hilary. - Czy były jeszcze jakieś inne różnice?

- Tak. W tym śnie pojawił się także statek... - Meredith umilkła i zacisnęła mocno powieki.

- Dobrze się pani czuje? - spytała Hilary.

- Tak, nic mi nie jest - odparła, otwierając natychmiast oczy. - Doktor Benson?

- Tak?

- Co oznaczają sny?

- Zwykle są odbiciem przeżyć przechowywanych w podświadomości. Czasami coś, czego jakaś osoba bardzo boi się w rzeczywistości, ujawnia się właśnie we śnie, kiedy do głosu dochodzi podświadomość. Osobiście uważam, że śnimy nasze wspomnienia, a także nasze lęki.

- A zatem, jak pani sądzi, co może oznaczać ten powracający koszmar?

- Nie jestem pewna. Tylko rozmawiając, odkrywając przeszłość, możemy odnaleźć jego znaczenie.

Meredith odetchnęła głęboko. Nagle poczuła, że się dusi. Zawałdła ją gwałtowny niepokój. Musiała się stąd wydostać, potrzebowała powietrza. Wstała, i niemal natychmiast usiadła. Pomyślała, że jeśli tylko otworzy usta, za chwilę z pewnością zacznie krzyżeć. Zaciśnęła wargi, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

Hilary Benson przyglądała się jej ze zmarszczonymi brwiami. Nagle zdała sobie sprawę, że Meredith, to uosobienie spokoju i opanowania, walczy właśnie z silnym atakiem ostrego niepokoju. Zaciśkała mocno dłonie, wpatrując się przed siebie szeroko otwartymi oczami.

- Wydaje się pani bardzo zdenerwowana, Meredith. Co się stało?

Meredith nie odezwała się, lecz wstrząsana gwałtownym dreszczem objęła ramionami swoje plecy.

Hilary Benson zerwała się z miejsca, podeszła do niej i pocieszająco uściśnęła jej ramię.

Meredith spojrziała na Hilary i nagle jej oczy wypełniły się łzami. - Nie powiedziałam pani prawdy... nie powiedziałam nikomu... nigdy...

Hilary szybko podbiegła do biurka, złapała słuchawkę telefonu i powiedziała do sekretarki: - Nie będę teraz mogła przyjąć innych pacjentów, Janice. Umów ich, proszę, na inny dzień. Muszę się zająć panią Stratton.

Podeszła do Meredith, która siedziała skulona na krześle, kołysząc się w przód i w tył. Lekarka ujęła ją za ramię, zmuszając, by wstała.

- Chodź tu na kanapę, Meredith, usiądź obok mnie. A teraz opowiesz mi wszystko. Powoli, w takim tempie, jak będziesz chciała. Nie ma pośpiechu. - Jej głos brzmiał miękko, współczująco, i Meredith pozwoliła zaprowadzić się na kanapę.

Obie kobiety usiadły obok siebie.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

Wreszcie Meredith zaczęła mówić powoli, ściszym głosem: - Nie wiem, kim jestem. Ani skąd pochodzę. Nie wiem, kim byli moi rodzice. Ani jak się naprawdę nazywam. Nie mam tożsamości. Wymyśliłam siebie. Ustanowiłam własne zasady i żyłam podług nich. Nie miałam nikogo, kto mógłby mnie uczyć. Nikt mnie nie kochał. Byłam zupełnie sama. Dopóki nie spotkałam Silverów. Przez siedemnaście lat byłam kompletnie zagubiona. I nadal taka jestem, pod wieloma względami. Proszę mi pomóc... O, Boże. Kim ja właściwie jestem? Skąd pochodzę? Kim są moi rodzice?

Meredith łkała, a łzy spływały jej po policzkach i spadały na zaciśnięte dłonie. Zdawało jej się, że za chwilę umrze z rozpacz. Siedziała, kołysząc się w przód i w tył.

Hilary Benson pozwoliła jej płakać. Nie odezwała się, nie zrobiła nic, by ją powstrzymać, i w końcu łzy przestały płynąć. Milcząc wręczyła Meredith paczkę chusteczek higienicznych, a potem podeszła do stolika, naląła szklankę wody i podała ją pacjentce.

Meredith wzięła szklanke, wypila wodę i po chwili powiedziała: - Przykro mi, że straciłam panowanie nad sobą.

- A mnie wcale nie jest przykro, i pani też nie powinno być. Powinnaś pani być zadowolona. To pani dobrze zrobi, jestem o tym przekonana. To pierwszy krok w kierunku wyleczenia. Kiedy poczuje pani, że jest pani gotowa, proszę opowiadać dalej... Nie musi pani się śpieszyć, mamy dla siebie całe popołudnie. A także wieczór, gdyby okazało się to konieczne.

- Dziękuję. Tak... tak... muszę pani powiedzieć... Meredith wzięła głęboki oddech i zaczęła swoją opowieść: - Wychowałam się w sierocińcu w Sydney. Miałam osiem lat, kiedy adoptowali mnie Gordon i Merle Strattonowie. Nie podobało jej się moje imię, więc nazwała mnie Meredith. Nie byli to mili ludzie. Zimni i niesympatyczni. Traktowali mnie jak służącą. Przed wyjściem do szkoły wykonywałam wszystkie prace domowe, i po powrocie także, a miałam przecież tylko osiem lat. Właściwie nie traktowali mnie szczególnie źle, ale on nigdy nie zawahał się mnie uderzyć. Ona też była podła, a w dodatku skąpa - zwłaszcza jeśli chodziło o jedzenie. Nauczyłam się ich nienawidzić. Chciałam wrócić do sierocińca. Potem, gdy miałam dziesięć lat, zginęli oboje w katastrofie samochodowej. Jego siostra Mercedes nie chciała się mną opiekować, odesłała mnie z powrotem do sierocińca. Zostałam tam, dopóki nie skończyłam piętnastu lat. Zobaczyłam Mercedes jeszcze tylko raz, gdy pomagała mi uzyskać paszport. Była zadowolona, że wyjeżdżam z Paulsonami.

Meredith przerwała, oparła się o poduszki sofy i przymknęła oczy. Odetchnęła głęboko kilka razy, by się uspokoić. Po chwili otworzyła oczy, spojrzała prosto na Hilary i znowu zaczęła się trząść.

Lekarka „wzięła ją za rękę i spytała łagodnie: - Czy kiedy mieszkała pani ze Strattonami, któreś z nich wykorzystywało panią seksualnie?

- Nie, nic takiego nie miało miejsca. Nie molestowali mnie seksualnie. Tylko ten straszny chłód i obojętność, jakby mnie tam w ogóle nie było. Myślałam wówczas, że wzięli mnie tylko po to, by mieć darmową służącą. Nadal tak myślę. Wiadomość o ich śmierci przyjąłam z nieskrywaną ulgą. Nigdy nie okazali mi nawet cienia uczucia. Zawsze myślałam, że kiedy zostanę adoptowana, ktoś mnie wreszcie pokocha. Lecz tak się nie stało.

Twarz Meredith przybrała smutny wyraz, w oczach widniało cierpienie, a kiedy się odezwała, w jej głosie pobrzmiwało echo dawnego bólu: - Nawet nie będę próbowała wytłumaczyć, jakie to okropne znaleźć się w sierocińcu, gdzie nikt się o ciebie nie troszczy... nie przytula cię, nie okazuje śladu uczucia. Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego mnie tam umieszczono. Wiele o tym myślałam i bardzo się martwiłam. Sądziłam, że rodzice oddali mnie do sierocińca, ponieważ byłam niedobra. Nic rozumiałam. Tak bardzo chciałam dowiedzieć się, kim są moi rodzice. Nigdy mi się to nie udało. Nikt mi nic nie powiedział, moje pytania pozostawały bez odpowiedzi...

- Jakie są pani najwcześniejsze wspomnienia, Meredith? Niech pani zamknie oczy, odpręży się i spróbuje skupić na wczesnym dzieciństwie. Co pani widzi? Co pani pamięta?

Po chwili Meredith odezwała się: - Widzę rzekę - powiedziała spokojnie. - I to wszystko. Być może dlatego tak bardzo lubię mieszkać nad wodą.

- Ile miała pani lat, kiedy znalazła się pani w sierocińcu?

- Nie wiem, pani doktor. Zawsze tam byłam.
- Od niemowlęctwa?
- Tak. Choć nie, chyba nie. W moim ostatnim koszmarze pojawił się statek. Kiedy byłam małą dziewczynką, pamiętałam jakąś podróż statkiem.

- Chodzi o statek czy łódkę? To różnica.

Meredith znowu zamknęła oczy, wracając pamięcią do lat dzieciństwa. Zobaczyła siebie, zobaczyła chłopców i dziewczynki, wchodzących po kładce. Była jedną z nich. Widziała marynarzy, żeglarzy, nabrzeża. Widziała także maszt. Flaga, która na nim powiewała, była flagą Zjednoczonego Królestwa.

Meredith usiadła wyprostowana, otworzyła oczy i z przejściem wpatrzyła się w doktor Benson.

- Mam na myśli statek, nie łódź, i to statek oceaniczny. Brytyjski statek, pod brytyjską banderą. Musiałam być na tym statku, prawdopodobnie z innymi dziećmi. Być może to wyjaśnia, dlaczego w moim śnie zawsze pojawiają się dzieci.

- Możliwe. Proszę, niech się pani skupi jeszcze bardziej. Proszę cofnąć się pamięcią. Czy mogła pani urodzić się w Anglii, a potem jako małe dziecko zostać zabrana do Australii?

- Być może tak właśnie było. Ale dlaczego nic z tego nie pamiętam? Dlaczego nie pamiętam tych pierwszych lat?

- To się nazywa pamięć represyjna, Meredith. Uważam, że w dzieciństwie musiało przydarzyć się pani coś strasznego, coś, co spowodowało głęboki szok, którego rezultatem było właśnie pogrążenie tego okresu w niepamięci. Prawdę mówiąc, jestem prawie pewna, że tu właśnie leży przyczyna ataków. Osłabienie na tle psychicznym.

- Ale dlaczego właśnie teraz? Dlaczego nie miewałam tych ataków wcześniej? Dlaczego nie lata temu?

- Ponieważ pamięć pozostawała głęboko pogrzebana. Pragnęła pani, by tak pozostało. Tylko tak mogła pani normalnie funkcjonować. A potem zdarzyło się coś, co uruchomiło pamięć. I teraz te spychane głęboko wspomnienia usiłują przedostać się do pani świadomości.

- A jak pani sądzi, co mogło ożywić wspomnienia? .

- Nie mogę stwierdzić tego z całą pewnością, ale uważam, że była to wizyta w opactwie Fountains.

- A zatem sądzi pani, że naprawdę tam już kiedyś byłam?

- Możliwe. A właściwie bardzo prawdopodobne. To by wiele wyjaśniało.

- Czy istnieje jakiś inny sposób, aby przywołać moje wspomnienia, doktor Benson?

- Tak naprawdę tylko pani może tego dokonać, próbując usilnie cofnąć się pamięcią do pierwszych lat swego dzieciństwa. Jedzie pani do Anglii w przyszłym tygodniu. Może tam zdarzy się coś, co da potrzebny impuls pani pamięci. A na razie porozmawiajmy jeszcze o pani pobycie w sierocińcu.

Meredith zadrzała i popatrzyła na Hilary z przestrawieniem. - Żadnego dziecka nie powinno się zmuszać, by żyło w ten sposób - stwierdziła gniewnie. - Ale opowiem pani o tym, jeśli naprawdę pani tego chce.

- Chcę. Wiem, że to dla pani bolesne, Meredith, lecz może dostarczyć mi nowych wskazówek, czegoś, czego będzie można się uchwycić.

Później tego wieczoru zadzwoniła do Luca. Nie mogła dłużej ukrywać przed nim swojej przeszłości. A poza tym odczuwała potrzebę zwierzenia się, podzielenia z kimś swymi odczuciami i pragnęła pociechy.

20

Catherine Stratton wyprostowała się na krześle i przez chwilę studiowała uważnie przypiętą do deski kreślarskiej ilustrację. Pochyliła na bok głowę i patrzyła lekko zwężonymi oczami.

Akwarela, leżąca przed nią na biurku, przedstawiała małego chłopca, śpiącego w łóżeczku, z dłonią przytuloną do policzka. Uśmiechnęła się do siebie - podobał jej się niewinny urok tego obrazka. Z pewnością doskonale zilustruje ostatni wierszyk w książce z poezją dziecięcą, do której ilustracje opracowywała od kilku tygodni. Teraz wreszcie praca została ukończona i można ją było odesłać do wydawcy.

Dobra robota, pomyślała, biorąc do ręki pióro z ostrą stalówką i stawiając pod rysunkiem swój ozdobiony zakrętasem podpis: Cat. Podpisując swe prace zawsze posługiwała się tym zdrobieniem, które zresztą stawało się coraz bardziej znane.

Zsunęła się z wysokiego stołka, założyła ręce za głowę i wykonała kilka ćwiczeń rozciągających, a potem wyszła ze swej pracowni i przez strych skierowała się do kuchni.

Było to dość duże pomieszczenie, utrzymane w tonacji bieli i czystego błękitu, wyposażone we wszelkie najnowocześniejsze urządzenia. Jednym słowem, była to doskonała kuchnia dla doskonałej, lubiącej swe zajęcie kucharzki, a taką Catherine była. Od dzieciństwa ciągnęło ją do gotowania, a matka i Blanche O'Brien, która zawsze była jej ulubioną, choć przyszywaną, ciotką, chętnie uczyły ją i zachęcały do doskonalenia swoich umiejętności.

Przez chwilę stała przy zlewie, myjąc ręce i spoglądając na widoczne za oknem wieżowce Chryslera i Empire State Building. Tego popołudnia ich strzeliste kształty rysowały się wyraźnie, połyskując w słońcu na tle błękitnego, kwietniowego nieba i Catherine pomyślała, że chyba nigdy nie wyglądały lepiej niż tego pięknego, wiosennego dnia. Może tylko w nocy, kiedy były całe oświetlone, a ich błyszczące sylwetki zdawały się na wskroś przebijać ciemne niebo. Dla Catherine oba budynki zawsze symbolizowały Manhattan.

Nalała wody do czajnika i postawiła go na kuchence gazowej, naszykowała filiżanki i talerzyki, a potem zajęła się przygotowywaniem małych kanapek.

Poddasze, na którym obecnie mieszkała, urządziły wspólnie z matką. Na jednym końcu znajdowała się pracownia, wyposażona w duże okna i świetlik w spadzistym dachu, za kuchnią rozciągała się jadalnia, a za nią olbrzymi pokój dzienny, który wyglądem przypominał bibliotekę. Na prawo od pokoju dziennego znajdowały się dwie sypialnie, z których każda miała własną łazienkę.

Było to obszerne poddasze, sprytnie podzielone w sposób, który pozwalał maksymalnie wykorzystać przestrzeń i światło. Pomieszczenie sprawiało wrażenie przestronnego i nieco staroświeckiego, i to nie tylko dzięki swemu rozmiarowi i dużej liczbie okien, lecz także dlatego, że całe wnętrze utrzymane było w bladych, pastelowych barwach.

Poddasze było prezentem na dwudzieste pierwsze urodziny Cat. - To nie jest prezent ode mnie, wiesz o tym - powiedziała jej wówczas matka - lecz od Amelii i Jacka, w pewnym sensie. Kupiłam je za pieniądze z ich majątku.

To właśnie tego dnia Meredith dokładnie objaśniła Cat szczegóły testamentu Amelii, zapoznając ją z jej

dziedzictwem: gospodą Silver Lake, domem, w którym wyrosła, i stoma pięćdziesięcioma akrami gruntu. Wszystko to znajdowało się w powiernictwie jej matki od czasu śmierci Amelii. Dzięki rozsądnym i szczęśliwym inwestycjom Meredith jeszcze powiększyła odziedziczony przez Cat majątek. Tego dnia przed czterema laty Catherine nagle zrozumiała, że jest dziedziczką i bardzo szczęśliwą młodą kobietą.

Od dawna wiedziała, że jej ojcem był Jack. Meredith powiedziała jej prawdę, gdy tylko podrosła na tyle, by mogła ją zrozumieć. Prawie wcale go nie pamiętała i nawet Amelia była dla niej tylko mglistym cieniem, błakającym się po zakamarkach pamięci. To matka zawsze była centralną postacią jej życia i Catherine wręcz ją uwielbiała.

Nigdy nie oceniała Meredith i Jacka. Była na to o wiele za inteligentna, a także dosyć dojrzała, by zdawać sobie sprawę, że tak naprawdę nikt postronny nie może wiedzieć, co dzieje się pomiędzy dwojgiem ludzi. Trojgiem w tym przypadku, gdyż najwidoczniej Amelia przyzwalała na ów związek, a przynajmniej przymykała na niego oko.

Pewnego razu, gdy próbowała wypytać o to Blanche, ta powiedziała jej tylko, by nie traciła czasu na rozpamiętywanie dawno przebrzmiałych spraw.

- Nikt nie ucierpiał, wszyscy byli szczęśliwi, wszyscy się kochali, a ty byłaś ukoronowaniem ich życia. Uwielbiali cię, a Amelia była dla ciebie niczym druga matka.

Czasami zastanawiała się nad przeszłością matki - choć wiele na ten temat wiedziała, to Meredith zdradzała dziwną niechęć do opowiadania szczegółów ze swego dzieciństwa w Australii. Wydawało się jej, że matka zaczęła żyć własnym życiem dopiero po przybyciu do Connecticut.

Z kilku przypadkowych uwag, które Meredith wypowiedziała w ciągu tych lat, Catherine wywnioskowała, że dzieciństwo matki było okropne - bez miłości czy choćby śladu uczucia.

Meredith kochała ją i Jona z jakąś straszliwą pasją, bezwarunkowo, z całkowitym oddaniem i z wyłączeniem kogokolwiek innego.

Być może był to wynik porzucenia, którego doznała w dzieciństwie. Często wydawało się Catherine, że matka usiłuje dać im wszystko to, czego sama nigdy nie miała, a nawet o wiele, wiele więcej.

Meredith zawsze była najcudowniejszą z matek, prawdopodobnie z uszczerbkiem dla jej związku z Davidem Laytonem, ojcem Jona. Dzieci były dla niej najważniejsze i być może David poczuł się wreszcie zmęczony i dotknięty tym, że zajmuje w jej życiu zawsze drugie miejsce.

Małżeństwo rozpadło się po czterech latach i David, prowincjonalny adwokat, wyjechał natychmiast na zachodnie wybrzeże, gdzie, ku ich zdumieniu, zaczął robić błyskawiczną karierę jako modny prawnik wielu gwiazd show-businessu. Nigdy więcej go nie widzieli i rzadko o nim słyszeli, a po upływie roku w ogóle przestał do nich dzwonić. Nie żeby im na tym zależało. Jon zawsze bardziej kochał matkę, a poza tym David Layton i tak miał w sobie niewiele cech ojca - ojczyma zresztą też nie.

Meredith była jej najbliższą przyjaciółką. Nie tylko obdarzała ją miłością i wspierała, lecz zachęcała, by starała się zrealizować swoje marzenia i ambicje. I była jej przy tym bardzo pomocna. To samo dotyczyło Jona. Zawsze miała dla niego czas, doradzając mu, gdy o to poprosił, dopingując go i zachęcając do dalszych wysiłków. Meredith była matką i ojcem dla nich obojga.

Zarówno ona, jak Jon byli bardzo zadowoleni, że matka spotkała Luca de Montboucher. Od razu przypadł im do serca, toteż zachęcali matkę do kontynuowania tego związku.

Oboje uważali, że jest dla niej stworzony. Jon był przekonany, że się pobiorą. Miała nadzieję, że się nie myli. Nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności niż świadomość, że Meredith znalazła wreszcie osobiste szczęście, zwłaszcza teraz, gdy sama miała wyjść za mąż. Nie mogła znieść myśli, że matka może zostać sama. Najwyższa pora, by i ona zaznała trochę szczęścia.

Luc był już w Nowym Jorku kilka razy, a matka regularnie latała do Paryża, co dobrze wróżyło na przyszłość. A poza tym wystawiła na sprzedaż gospodę w Vermont i sama przyznała, że nie spodziewa się z tego tytułu specjalnych zysków. - Chciałabym po prostu uniknąć straty - powiedziała. - Na szczęście jest kilku potencjalnych nabywców.

Kiedy Catherine powiedziała o tej rozmowie bratu, ten uśmiechnął się i skomentował: - Widzisz, a nie mówiłem ci? Mama ma zamiar wyjść za Luca i przenieść się do Francji, a przynajmniej spędzać tam większość czasu. Tylko poczekaj, a sama zobaczysz.

A dziś wieczorem matka znowu leci do Europy. Pierwszy przystanek - Londyn. Miała jakieś sprawy do omówienia z Patsy, lecz zamierzała zatrzymać się na dłużej we Francji.

Catherine przykryła kanapki wilgotną lnianą ściereczką - tak nauczyła ją w dzieciństwie Blanche - i odsunęła talerz na skraj blatu kuchennego, a potem opłukała truskawki i obrała je z szypulek.

Nie mogła przestać myśleć o matce. Przez kilka ostatnich tygodni Meredith widywała się z psychiatrą, próbując odkryć przyczynę nękających ją dziwnych ataków

osłabienia. Podczas weekendu, gdy rozmawiały przez telefon, Meredith powiedziała jej, że doktor Benson pomaga jej ujawnić ukryte wspomnienia z dzieciństwa. W końcu uwierzyła, że do czegoś dochodzą, że robią postępy.

Catherine miała nadzieję, że tak jest rzeczywiście. Gorąco pragnęła, by matka uporała się końcu z cieniami przeszłości, osiągnęła spokój ducha i zaznała nieco szczęścia. W przyszłym miesiącu skończy przecież czterdzieści pięć lat.

- Wszystko wygląda cudownie, kochanie - powiedziała Meredith w godzinę później, wchodząc do mieszkania i rozglądając się wokół. - Przybyło ci kilka rzeczy, odkąd tu byłam ostatnio. Ten obraz tam, lampa i rzeźba w rogu. - Meredith skinęła głową z aprobatą. - Teraz wnętrze wygląda jeszcze bardziej stylowo, twoje poprawki naprawdę przyniosły wspaniały rezultat.

- Dzięki, mamó. Jaka matka, taka córka. Mam to po tobie, stale coś dodaję i ulepszam. Jestem prawdziwą domatorką, podobnie jak ty.

- Naprawdę? - spytała Meredith, udając zaskoczenie i obrzucając córkę szybkim spojrzeniem. - Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Catherine roześmiała się i powiedziała: - Och, mamó, jak możesz tak mówić! Możesz wejść do najbardziej odpychającego wnętrza, gdziekolwiek na świecie, i w parę godzin odmienić je za pomocą kwiatów, patery z owocami, kilku poduszek, paru zdjęć, czasopism i książek. Trochę tego, trochę tamtego. Masz do tego prawdziwy talent. Potrafisz stworzyć cudowną przystań, mamó.

Teraz Meredith także wybuchnęła śmiechem.

- Zawsze sądziłam, że twoja firma została bardzo stosownie nazwana - dodała Catherine.

- Ja też tak przypuszczam - Meredith usiadła na kanapie. - Cieszę się, że mogę spędzić z tobą kilka godzin przed odlotem do Londynu. Nie widywałyśmy się ostatnio zbyt często. Mogłybyśmy porozmawiać o weselu, podjąć kilka decyzji.

- Tak, oczywiście. W zeszłym tygodniu rozmawialiśmy z Keithem na temat terminu i chyba zdecydujemy się na jesień, tak jak nam radziłaś.

Twarz Meredith pojaśniała. - Jak cudownie, kochanie, to najlepsza pora. Przypuszczam, że myśleliście o początku października, gdy liście zaczynają zmieniać kolor?

Catherine skinęła głową. - Druga sobota października, czternastego. Z początku myśleliśmy o pierwszej sobocie miesiąca, siódmego, lecz nie byliśmy pewni, czy liście już zaczną żółknąć. A co ty sądzisz?

- Lepiej pozostanmy przy drugiej sobocie. Liście będą już w pełnej krasie, a nie zaczną jeszcze masowo opadać. Domyślam się, że chcecie, by ceremonia odbyła się w Silver Lake?

- Tak, co prawda przez chwilę, lecz tylko przez chwilę, zastanawialiśmy się nad tym niewielkim kościołem w Cornwall, lecz w końcu doszliśmy do wniosku, że jest zbyt mały. - Catherine uśmiechnęła się do matki. - No wiesz, ci wszyscy Pearsonowie...

Meredith odwzajemniła uśmiech. - Z tego, co tu słyszę, wynika, że będę musiała wyprawić ci wielkie wesele.

- Czy to stanowi problem?

- Och, kochanie, oczywiście, że nie. Jestem bardzo przejęta. Tego właśnie zawsze dla ciebie pragnęłam: uroczystego ślubu w bieli, ze wszystkimi szykanami. Wracając

do rzeczy - myślę, że powinnaś zadzwonić do pastora w Cornwall, aby upewnić się, czy będzie mógł udzielić wam ślubu w tym terminie.

- Tak, zrobię to jutro. - Catherine wstała. - Mamo, chciałabym pokazać ci szkice mojej ślubnej sukni. Poczekaj, zaraz je przyniosę, są w pracowni.

Po chwili była już z powrotem i obie pochyliły się nad serią szkiców. Wszystkie były bardzo starannie wykonane przez Catherine i ukazywały suknię pod różnymi kątami.

- I co sądzisz, mamo? - spytała Catherine, przyglądając się matce z przejęciem. - Dlaczego nic nie mówisz? Nie podoba ci się?

- Jest przepiękna, Cat. Taka... średniowieczna, nie uważasz?

- Może trochę, lecz chyba bardziej w stylu elżbietańskim. Spędziłam nad tym projektem wiele czasu, zwłaszcza nad dopracowaniem szczegółów.

- Właśnie widzę - Meredith wpatrywała się szkic, przedstawiający przód sukni. - Tak, teraz rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc o stylu elżbietańskim... ten szeroki kwadratowy dekolt, długie, bufiaste rękawy, obcisły stanik i obfita spódnica. Bardzo stylowe, Cat - brakuje tylko białej krezy.

- Nie sądzę, że o niej nie myślałam - zaśmiała się Catherine. - Uznałam jednak, że to już byłaby przesada. Welon, przechodzący w tren, będzie przytrzymywany przez stroik w stylu Tudorów, lecz jeszcze go nie zaprojektowałam. I jak uważasz? Nadaje się?

- Oczywiście, że się nadaje. Doskonale sobie poradziłaś. Uważam, że będziesz wyglądała porywająco. Czy zdecydowałaś już, kto ci to uszyje?

- Myślałam o tym, żeby pójść do Edetty, wiesz, to ten zakład, gdzie uszyto nam kilka wieczorowych sukien i wszystkie były bardzo ładne.

- Tak, rzeczywiście. To dobry pomysł, jestem pewna, że znajdą tam dla ciebie jakiś odpowiedni gatunek białego jedwabiu. A teraz, wracając do sprawy: czy wiecie już, o jakiej porze dnia chcielibyście wziąć ślub?

- Uważamy, że byłoby przyjemnie, gdyby ślub mógł odbyć się w południe. Najpierw drinki, potem ceremonia i obiad. Z tańcami. - Cat uniosła pytająco ciemne brwi. - I jak ci się to podoba?

- Tak, doskonale, Cat. Skoro mam wyprawić ci takie weselisko, musimy zrobić to w dobrym stylu. Czy wiesz już, ilu będzie gości?

- Myślę, że w sumie około stu trzydziestu osób, czy coś koło tego. Osiemdziesięcioro, może dziewięćdziesięcioro ze strony Pearsonów, reszta z naszej.

Meredith roześmiała się. - Nie jestem pewna, czy uda nam się zebrać aż tylu, kochanie.

- Och, uda nam się, na pewno. Wszystkie moje przyjaciółki, ich mężowie czy przyjaciele. Blanche i Pete. Kilko nowych przyjaciół ze świata wydawców, ludzie z Havens... no i Patsy na pewno przyjedzie z Londynu...

- Już zapowiedziała, że przyjeżdża. Będą także Agnes i Alain D'Auberville z Paryża. Tak, chyba masz rację, w sumie na pewno zbierze się z pięćdziesiąt osób.

- Luc także przyjedzie, prawda, mamo?

- Mam nadzieję.

- Ja i Keith lubimy go. I Jon także.

- O tak, wiem. Twój brat dał mi to do zrozumienia aż nadto jasno.

- Mamo?

- Tak, kochanie?

- Luc cię kocha.

- Wiem.

- A czy ty także go kochasz?

- Tak, Cat, kocham go.
- Więc, co będzie?
- Czy wyście się zmówili?
- Co masz na myśli?
- Jon pytał mnie o to samo po twoim przyjęciu zaręczynowym. A odpowiadając na twoje pytanie: nie wiem, co będzie. Bycie zakochanym to jedna rzecz, a małżeństwo to zupełnie coś innego. A w moim przypadku należałoby wziąć pod uwagę tyle okoliczności...

- Wiem, ale na pewno poradzilibyście sobie ze wszystkim. Oboje jesteście przecież tacy rozumni. - Catherine zerwała się na równe nogi. - Cieszę się, że przyszedłaś właśnie o tej porze. Zrobiłam nam pyszną herbatę... zupełnie taką, jaką ty często robiłaś, gdy byłam mała. Nazywałaś to dziecinną herbatką. Przygotowałam też kilka rodzajów tych małych kanapek, ciasteczek - prawdziwe dzieła sztuki. Nastawię jeszcze raz wodę. Wracam migiem... - Cat mrugnęła do matki, roześmiała się, dodała: - Zanim zdążysz powiedzieć Jack Robinson - i pośpieszyła w stronę kuchni.

Meredith uśmiechnęła się i oparła wygodnie o poduszki sofy, rozmyślając o Lucu. Wkrótce znów go zobaczy, gdy tylko zakończy swoje sprawy w Anglii. Zebrało się tego trochę, a poza tym będą musiały odbyć wycieczkę do Ripon. Zmiana wystroju Skell Garth niemal dobiegała końca, lecz trzeba było jeszcze trochę popracować, aby gospoda mogła zostać otwarta w maju. A potem poleci do Paryża i ulokuje się tam, jako że zakończenie prac przy posiadłości Montfort-L'Amaury wymagało jeszcze sporo wysiłku. Czyniono jednak znaczne postępy, głównie dzięki Lucowi i Agnes. Weekendy będzie spędzała z Lucem w Talcy - oboje bardzo się na to cieszyli.

Zastanawiała się, co zrobi, jeśli Luc poprosi ją, by za niego wyszła. Jonowi i Cat wszystko wydawało się proste, lecz w rzeczywistości jej życie było już i tak wystarczająco skomplikowane. Ona mieszkała w Ameryce, on we Francji, a oboje mieli swoje firmy, zobowiązania. Ona nie mogła tak po prostu odejść z Havens Incorporated, a Luc z pewnością nigdy nie zrezygnowałby ze swojej praktyki architektonicznej w Paryżu. Zresztą nawet by tego nie oczekiwała. I jak niby mieliby sobie z tym poradzić?

- Chodź, mamó, wypijemy herbatę tutaj - zawołała Catherine z przejścia pomiędzy kuchnią a kącikiem jadalnym. - Tak będzie prościej.

- Już idę - odparła Meredith, zsunęła się z sofy i pośpieszyła, by dołączyć do córki. - Wygląda bardzo apetycznie - powiedziała, rzucając okiem na dzieło Cat.

- Dzięki. Siadaj tu, mamó. - Cat wskazała jej krzesło, sama usiadła naprzeciw, podniosła dzbanek i naląła herbaty. - Proszę, oto filiżanka dobrej herbaty, taka, jaką lubisz i częstuj się, proszę, kanapkami. Do wyboru: z ogórkiem, pomidorem, sałatką jajeczną i szynką. Małe, ale smakowite.

- Pamiętam nasze dziecinne herbatki - powiedziała Meredith, sięgając po miniaturową kanapkę z ogórkiem. - To ci dopiero była zabawa, prawda?

Catherine skinęła głową, chrupiąc kanapkę. Po chwili dodała: - Próbowałam kupić placuszki z jęczmiennej mąki, ale nie udało mi się ich dostać. W mojej piekarni bywają tylko czasami. A miałam nadzieję, że podejmę cię gorącymi placuszkami z kwaśną śmietaną i dżemem truskawkowym.

- To miło z twojej strony, że o tym pomyślałaś, ale kanapki w zupełności wystarczą. Nie są zbyt tuczące.

Catherine przyjrzała się matce uważnie. - Ty z pewnością nie masz się o co martwić, mammo. Wyglądasz cudownie.

- Dziękuję ci.

Catherine wstała. - Zaraz wracam, muszę tylko przynieść coś z kuchni.

Kiedy wróciła do stołu, trzymała w rękach szklaną czarkę i dzbanek. Stała tam, uśmiechając się do matki, z oczami przepelnionymi miłością.

- Mam dla ciebie coś specjalnego, mammo. Truskawki. Twoje ulubione.

Meredith wpatrywała się w Cat.

Poczuła, że robi jej się zimno.

A potem usłyszała nawołujący ją głos, słaby, jakby dobiegający z bardzo daleka: *Mari... Mari...*

W chwilę później głos rozbrzmiał znowu, powtarzając się echem w głowie Meredith: *Mari... Chodź, Mari. Wróć do domu.*

Nagle oczami wyobraźni zobaczyła młodą kobietę o błyszczących niebieskich oczach i złotorudych włosach, pochylającą się nad małym dzieckiem. Twarz kobiety pełna była miłości. *Truskawki, Mari. Mówiłam ci, że mam dla ciebie coś specjalnego.* Dziecko uśmiechnęło się do matki radośnie. Co za szczęśliwa scena - twarz matki wyrażała tyle miłości. A potem usłyszała, jak dziecko płacze. *Mamusiu, mamusiu, co ci się stało?*

Obraz znikł.

Meredith czuła, jak lodowaty chłód przenika ją do głębi. Wpatrywała się w Catherine, niezdolna nic powiedzieć.

Catherine, która także z niepokojem przyglądała się matce, zapytała teraz z troską w głosie: - Co się stało? Źle się poczułaś? Jesteś strasznie blada, mammo.

- Już dobrze - powiedziała z trudem Meredith.

Potrząsnęła głową. - Myślę, że właśnie przeżyłam coś,

co doktor Benson z pewnością nazwałaby powrotem do przeszłości. Zdarzyło mi się to dziś po raz pierwszy.

- A co to właściwie takiego?

- To przeblysłk pamięci, powstający wtedy, gdy spychanym w podświadomość wspomnieniom uda się wydostać na powierzchnię. A teraz chyba właśnie przypomniałam sobie scenę z mojego dzieciństwa. Zobaczyłam młodą kobietę, mniej więcej w twoim wieku, i małe dziecko. Wyglądało na pięcioletnie. Na początku wszystko było dobrze, lecz potem dziecko zaczęło płakać. I wszystko zniknęło.

Meredith odetchnęła głęboko kilka razy. - Myślę, że te wspomnienia dotyczyły mnie i mojej matki. Mojej biologicznej matki, Cat.

- A jak sądzisz, dlaczego przydarzyło ci się to właśnie teraz? - spytała Catherine zaciekawiona, siadając na krześle, ze wzrokiem wbitym w twarz matki.

- To chyba dzięki tobie. I temu, jak wypowiedziałas słowo „truskawki”, a potem wspomniałaś jeszcze o czymś „specjalnym”. I twoje oczy, Cat, takie niebieskie i tak pełne miłości.

Meredith umilkła i potrząsnęła głową. - Jack miał takie bardzo niebieskie oczy i zawsze sądziłam, że odziedziczyłaś je po nim. Lecz być może są to oczy mojej matki.

Catherine wyciągnęła rękę i ujęła leżącą na stole dłoń Meredith. - Och, mamó, to cudowne. - Czując, że gardło ma zupełnie ściśnięte, powiedziała więc drżącym z emocji głosem: - Być może będziesz przypominała sobie coraz więcej, aż wreszcie dowiesz się wszystkiego o swojej przeszłości.

- Mam taką nadzieję, kochanie - Meredith przygryzła wargę. - Być może powinnam zadzwonić do Hilary Benson, powiedzieć jej o tym. Na pewno chciałaby wiedzieć. -

Spojrzała na zegarek i dodała: - Dopiero po szóstej. Na pewno jeszcze jest w biurze.

- Tak, zadzwoń do niej - powiedziała stanowczo Catherine, wstając. - Telefon jest w kuchni.

Meredith skinęła głową i poszła za córką, a potem szybko wybrała numer na tarczy ściennego telefonu.

- Czy mogę rozmawiać z doktor Benson, Janice? - spytała, kiedy zgłosiła się sekretarka.

- A kto mówi?

- Meredith Stratton.

- O, dzień dobry, pani Stratton. Już panią łączę.

- Dobry wieczór, Meredith - pozdrowiła ją Hilary Benson w chwili później. - Jak się pani miewa?

- Dobrze. Jak pani wie, lecę dziś do Londynu. Po południu wpadłam na herbatę do mojej córki i ona powiedziała coś, co pobudziło moją pamięć.

- To bardzo dobra nowina, Meredith. Naprawdę, bardzo dobra. A co sobie pani przypomniała?

Meredith powiedziała ze szczegółami całą scenę.

Kiedy skończyła, lekarka stwierdziła: - To prawdziwy przełom, pierwsze znaczące wspomnienie, a myślę, że to dopiero początek. W następnych dniach może być tego więcej. Zazwyczaj tak właśnie bywa. Niech pani spróbuje skupić uwagę na paru szczegółach, o których pani właśnie opowiedziała - mogą spowodować całą serię następnych powrotów do przeszłości.

- Mam nadzieję. Bardzo chciałabym rozwikłać zagadkę mojego dzieciństwa.

- Na pewno się pani uda, Meredith, jestem tego pewna. Jeżeli odczuje pani potrzebę skontaktowania się ze mną, proszę się nie wahać, tylko dzwonić. I do zobaczenia za kilka tygodni.

- Tak, dziękuję bardzo. Do widzenia. - Meredith odwiesiła słuchawkę i odwróciła się do Catherine, która

stała w drzwiach z wyrazem oczekiwania na twarzy.

- I co ci powiedziała? - spytała.

- Że to były pierwsze znaczące wspomnienia i że po nich prawdopodobnie nastąpią kolejne.

- Och, mammo! - Catherine wbiegła do kuchni, objęła matkę ramionami i mocno przytuliła do siebie. - Tak bardzo cię kocham, mammo, i chciałabym, żebyś wreszcie zaznała spokoju. I trochę osobistego szczęścia.

21

Patsy Canton przez ostatnią godzinę bardzo uważnie przysłuchiwała się Meredith.

Teraz powiedziała powoli i z zastanowieniem: - A zatem, z tego, co mi powiedziałaś, wynika, iż jesteś przekonana, że urodziłaś się w Anglii, po czym jako dziecko wywieziono cię do Australii.

Meredith skinęła głową. - Tak sędzę. Musiałam mieć wtedy około sześciu lat.

- I popłynęłaś sama? To niemożliwe. Musieli być z tobą rodzice.

- Jestem raczej pewna, że popłynęłam sama, Patsy. Sędzę, że moja matka już wówczas nie żyła.

- A ojciec?

- Nie pamiętam go.

- Ale dlaczego miałabyś podróżować sama? To bardzo dziwne. I kto miałby cię wyprawić w tę podróż?

- Nie wiem. - Meredith wzruszyła lekko ramionami. - Prawdę mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia.

- W tym twoim powtarzającym się śnie są także inne dzieci... czy mogłaś zostać wysłana z innymi dziećmi? Wiesz, podczas drugiej wojny światowej uchodźcy byli wysyłani w bezpieczne miejsca całymi grupami...

- Może. Ale dlaczego? W 1957 roku nie było wojny, czemu więc mnie wysłano? Wygnano z Anglii?

Patsy potrząsnęła głową. - Nie mam pojęcia, moja droga, i choć pragnęłabym ci pomóc, nie bardzo wiem jak. Jestem równie oszołomiona jak ty.

Meredith westchnęła i wypila mały łyk wody. Wyprostowała się wygodnie na krześle i rozejrzała po sali restauracyjnej hotelu Claridge, po czym cicho mówiła dalej: - Zeszłej nocy w samolocie nie mogłam usnąć. Przypuszczam, że od czasu do czasu musiałam zapadać w drzemkę, lecz przez większą część czasu myślałam bardzo intensywnie, próbując przypomnieć sobie różne rzeczy.

- I co, udało ci się?

- Niektóre rzeczy wróciły do mnie. Po pierwsze, moje imię. W sierocińcu nazywano mnie Mary Anderson. To Merle Stratton zmieniła mi imię na Meredith. I, oczywiście, dali mi swoje nazwisko, gdy mnie adoptowali. Lecz tak naprawdę nie miałam na imię Mary - to znaczy, to nie było moje prawdziwe imię, choć tak właśnie wołano na mnie w sierocińcu. Naprawdę mam na imię Mari, a moje nazwisko brzmi Sanderson.

- Rozumiem. Jak mogło dojść do tej zamiany? - spytała Patsy, lecz prawie natychmiast potrząsnęła głową i oświadczyła, skonsternowana: - No tak, biurokracja! Boże, broń mnie przed biurokracją. Twoje imię i nazwisko prawdopodobnie zostało przekręcone przez jakiegoś idiotę z sierocińca.

- Ja też tak uważam. Ostatniej nocy, w samolocie, przypomniała mi się taka scena: Jakaś kobieta, raczej stanowcza, przekonuje mnie, że mam na imię Mary, z

„y”, nie Mari, z „i” na końcu. Ja w kółko powtarzam jej, że nazywam się Marigold, lecz ona mi nie wierzy. Śmieje się ze mnie i mówi, że *marigold* to nagietek, a nagietek to nazwa kwiatu, nie imię.

- Dlaczego tego rodzaju instytucje prowadzą na ogół tacy okropni ludzie. To straszne, ile podłości dzieje się wciąż na świecie.

Patsy westchnęła ciężko i popatrzyła na Meredith z sympatią. - A zatem miałaś na imię Marigold, a twoje nazwisko też zapewne zostało przekreścone i tak zostałaś Mary Anderson.

- Tak - odparła Meredith. - I to zamieszanie z moim nazwiskiem mogłoby wyjaśniać napisy na płaszczech dzieci.

- Oczywiście - wykrzyknęła Patsy. - Wspaniale, kochanie!

Przez chwilę panowała cisza. W końcu Meredith spojrzała na Patsy z przejęciem i powiedziała: - Moja matka miała na imię Kate - przypomniałam sobie to. I wiem, że nie żyje, więc nigdy nie będę mogła się z nią zobaczyć. Lecz teraz, gdy wreszcie przypomniałam ją sobie, po tylu latach, będę musiała coś zrobić. Dla siebie. Dla własnego spokoju. Chciałabym odwiedzić jej grób. Zobaczyć go, położyć na nim kwiaty, pobyć z nią tam. To by mi na pewno pomogło. I może wówczas poczułabym się lepiej i te ataki wreszcie przestałyby mnie prześladować.

- Jestem pewna, że poczułabyś się o wiele lepiej, Meredith. I naprawdę rozumiem twoją potrzebę... odnalezienie jej grobu na pewno przyniosłoby ci pociechę.

- Przynajmniej wiedziałabym, że ona naprawdę istniała, a nie jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Problem polega na tym, że nie wiem, gdzie została pochowana. Przypomniałam sobie jej imię, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie wówczas mieszkaliśmy.

- W Yorkshire - oznajmiła Patsy po chwili zastanowienia. - Jestem tego pewna. I na pewno w tym leży przyczyna tego dziwnego przeżycia w ruinach opactwa Fountains. Zawsze sądziłam, że to musi coś znaczyć. Nie zapomniałam, w jaki sposób mi wówczas o tym opowiadałaś i jak silna była twoja reakcja na te ruiny. Widocznie bywałeś tam jako dziecko.

- Zgadzam się. Lecz mam uczucie, że nie dorastałam właśnie tam. Pamiętam coś jeszcze... jakby wycieczki do miasta. Autobusem. Było to bardzo duże miasto, pełne zgiełku i tłoczących się ludzi. Był tam wielki plac w centrum, z czarnymi pomnikami. Jeździliśmy do miasta na zakupy. Do centrum handlowego pod wielką szklaną kopułą.

- Gdzie sprzedawano wszystko ze straganów, tak?

- Tak, masz rację.

Patsy skinęła głową. - Stragany z owocami, rybami, warzywami, ciastami, chlebem, ubraniami, meblami, porcelaną. Sprzedawcy nawołujący przechodniów, by podeszli i przyjrzeni się ich towarom. Niektórzy z nich bardzo głośno zachwalający swoje stoiska. Pamiętasz to?

- Och, tak, Patsy, pamiętam. Miałam zwyczaj przystawać, by ich posłuchać. Każdy z nich w inny sposób eksponował i zachwalał swój towar.

Patsy znowu skinęła głową. - Leeds Market. Chodzi o targowisko w Leeds - jest bardzo znane, a na placu Leeds City rzeczywiście stoją posągi nimf trzymających pochodnie. Jest tam też pomnik Edwarda, Czarnego Księcia, na koniu. I koń, i jeździec naturalnej wielkości. Czy to ci coś mówi?

- Owszem. A zatem przyjmijmy, że pochodzę z Leeds. Jak mogę dowiedzieć się, gdzie pogrzebano moją matkę? Kto będzie wiedział cokolwiek o Kate Sanderson po trzydziestu ośmiu latach?

- Somerset House. Właściwie, to się już tak nie nazywa, teraz jest to chyba St. Catherine's House, lecz i tak jest to najlepsze miejsce, od którego można by zacząć poszukiwania. Tam właśnie mieści się centralne archiwum, rejestrujące narodziny, małżeństwa i zgony w całej Wielkiej Brytanii. To istna kopalnia informacji.

- A gdzie się mieści ta kopalnia informacji?

- Tu, w Londynie, przy Kingsway. Parę minut jazdy taksówką.

- Muszę tam pójść jeszcze dziś po południu.

- Oczywiście, że musisz, Meredith, a ja razem z tobą.

W godzinę później Meredith i Patsy znajdowały się już w St. Catherine's House. Przeszły przez szklane drzwi i od razu znalazły się we właściwym archiwum. Wszystkie ściany wielkiego pomieszczenia zastawione były regałami, mieszczącymi na półkach setki rejestrów.

- To miejsce przypomina bibliotekę - powiedziała Meredith, gdy podchodziły wraz z Patsy do stanowiska ochrony. Gdy strażnik sprawdził już ich torebki, Patsy zapytała: - Dokąd mamy się udać, by odnaleźć akt zgonu?

Funkcjonariusz odesłał ich do stanowiska z napisem „Informacja”, gdzie za ladą stało pięcioro urzędników, gotowych udzielić pomocy. Patsy i Meredith podeszły do jednej z tych osób i Patsy powtórzyła swoje pytanie.

Młoda urzędniczka wręczyła jej broszurę, objaśniającą jak należy korzystać z ksiąg i rejestrów. Okazało się to całkiem proste. Akty zgonu, oprawne w czarne okładki,

znajdowały się po lewej stronie, akty narodzin - w czerwonych rejestrach - po prawej. Należało odnaleźć półkę, mieszczącą akty zgonu z danego roku, podzielone na cztery kwartały. Akty z jednego kwartału znajdowały się w trzech tomach, ułożone alfabetycznie.

Patsy podziękowała urzędnicze i obie kobiety skierowały się z powrotem między półki. Najpierw należało odnaleźć właściwy rok. Meredith wyciągnęła rejestr oznaczony jako Marzec 1957, litery P do Z, i umieściła go na specjalnym blacie, biegnącym przez całą długość półek. Otworzyła grubą księgę i przekonała się, że zawiera akty zgonu osób zmarłych pomiędzy styczniem a marcem.

- Czy nie mogłabyś zajrzeć do następnego rejestru, tego za kwiecień, maj i czerwiec? - zaproponowała Meredith. - Zaoszczędziłybyśmy w ten sposób sporo czasu.

- Dobry pomysł - zgodziła się Patsy i poszła odszukać właściwy tom.

Meredith z wolna przesuwała palcem po liście Sandersonów, zmarłych w pierwszym kwartale 1957, lecz Kate Sanderson pomiędzy nimi nie było. Spojrzała na Patsy i powiedziała: - Tu jej nie ma, a jak u ciebie?

- Daj mi minutkę czy dwie, jeszcze nie skończyłam.

Meredith odstawiła rejestr na półkę i wyjęła tom odnoszący się do lipca, sierpnia i września 1957. Lecz także i tu niczego nie znalazła. Nazwiska jej matki nie było też w dwóch innych tomach, które szybko, choć uważnie, przerzuciła Patsy.

- Sprawdziłyśmy cały rok - mruknęła teraz cicho do Meredith. - Czy jesteś absolutnie pewna, że twoja matka zmarła w 1957?

- Tak uważam.

- Ale skąd możesz wiedzieć, Meredith? Powiedziałaś, że niewiele pamiętasz. Czy przypominasz sobie, że umarła?

- Właściwie nie. Lecz wiem na pewno, że trafiłam do sierocińca, gdy miałam sześć lat.

- Pamiętasz to? Naprawdę pamiętasz? Jesteś pewna? Skąd o tym wiesz?

- Od Merle Stratton. Pewnego razu powiedziała, że wzięli mnie do sierocińca, gdy miałam sześć lat, ale przez te dwa lata niewiele mnie nauczyle.

- Zgoda, a zatem trafiłaś do sierocińca, gdy miałaś sześć lat, w 1957. Lecz to nie znaczy, że twoja matka zmarła w tym samym roku. Równie dobrze mogło się to stać wcześniej, gdy miałaś pięć lat. W 1956...

- Nie sądzę... wiem, że miałam wówczas sześć lat. Ale przejrzyjmy jeszcze pięćdziesiąty szósty.

- Dobry pomysł - zgodziła się Patsy.

W godzinę później Patsy i Meredith miały już za sobą sprawdzenie wszystkich rejestrów za rok 1956, lecz także i tam niczego nie znalazły. Meredith spojrzała na przyjaciółkę i powiedziała spokojnie. - To nie ma sensu. Najwi-
doczniej jej zgon nie został odnotowany.

- Czy chcesz spróbować jeszcze jakieś inne roczniki?

- Nie, nie ma po co - odparła Meredith. - Być może pomyliłam się co do daty, lecz nie możemy sterczeć tu cały dzień, przeszukując niezliczone rejestry. Chodź, idziemy stąd.

- Nie, poczekaj jeszcze minutę - powstrzymała ją Patsy. - A może umarła za granicą?

- Moja matka nigdy nie była za granicą.

- Zrób to dla mnie, chodźmy zapytać któregoś z tych urzędników, to zajmie tylko chwileczkę. Proszę, Meredith.

- No dobrze.

Kiedy znalazły się przy stanowisku informacji, Patsy zwróciła się do tej samej młodej kobiety, która pomogła im wcześniej. - Szukamy aktu zgonu i nie udało nam się go znaleźć. Chciałabym zapytać: jeśli ktoś umarł za granicą, to jego zgon nie zostanie odnotowany, prawda?

Młoda kobieta potrząsnęła głową. - Ależ zostanie. Kiedy umiera obywatel brytyjski, jego zgon zostaje odnotowany, wszystko jedno, gdzie się to stało. Informacja o tym dociera do nas przez ambasady i konsulaty.

- Rozumiem.

- To proste - mówiła dalej urzędniczka, spoglądając to na Patsy, to na Meredith. - Jeżeli nazwiska danej osoby nie ma w żadnym z tych rejestrów, to znaczy, że ta osoba nadal żyje.

Meredith wpatrywała się w urzędniczkę.

- Dziękujemy pani za pomoc - powiedziała szybko Patsy, ujęła przyjaciółkę pod ramię i szybko sprowadziła ją po schodkach, a potem poprowadziła wzdłuż półek do wyjścia.

Stały przed szklanymi drzwiami, prowadzącymi na ulicę i wpatrywały się w siebie bez słowa.

Meredith sprawiała wrażenie oszołomionej i lekko drżała.

Patsy, która z pewnością nie była głupia, w sekundę zrozumiała wszystkie implikacje, wynikające z tego, czego się tak niespodziewanie dowiedziały. - Wiem, o czym myślisz, moja droga.

- Jestem pewna, że wiesz - powiedziała Meredith głosem tak słabym, że z trudem dawał się słyszeć.

- Jeżeli moja matka nie umarła, a zgodnie z tym, czego nie znalazłyśmy w tych rejestrach, ona nie umarła, to znaczy, że żyje. I być może nawet mieszka dalej w Anglii.

- Meredith umilkła, odetchnęła głęboko, po czym mocno

chwyciła Patsy za ramię. - Dlaczego więc odesłała mnie, gdy byłam małą dziewczynką? I dlaczego, na Boga, wysłano mnie aż do Sydney? Na drugi kraniec świata? Dlaczego, Patsy?

W oczach Meredith malowało się takie cierpienie, a twarz jej tak posmutniała, że współczucie dla przyjaciółki ścisnęło Patsy gardło. Przez chwilę nie mogła nic powiedzieć. Przeknęła głośno i odparła stłumionym głosem: - Nie wiem, Meredith, według mnie to w ogóle nie ma sensu.

- Odesłała mnie, ponieważ mnie nie chciała. - Gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła się tak wstrząśnięta, że musiała oprzeć się o ścianę, zagryzając wargi, by nie stracić przytomności. Poczula, że kręci jej się w głowie i potknęła się.

Widząc jej wzburzenie, Patsy przejęła inicjatywę: - Posłuchaj, jeżeli twoja matka żyje, a sądząc po braku aktu zgonu, pewnie tak jest, musimy ją odnaleźć. Ilekolwiek by nas to kosztowało, dokonamy tego. Chodź, wracamy poszukać twego aktu urodzenia.

- Po co? - spytała smutno Meredith. - Co to da?

- Musimy znaleźć kopię twojego aktu urodzenia. Jeżeli, tak jak przypuszczasz, urodziłaś się w tym kraju, nie zaś w Australii, twój akt urodzenia musi gdzieś tu być.

- Ale jak mój akt urodzenia może nam pomóc w odnalezieniu mojej matki?

- Z aktu urodzenia można dowiedzieć się wielu rzeczy, Meredith. Imienia ojca, jego zawodu. Panieńskiego nazwiska matki. Miejsca urodzenia dziecka, daty narodzin, miejsca zamieszkania rodziców. Będziemy miały dość danych, by zacząć poszukiwania. A poza tym, przypuszczam, że na pewno chciałabyś mieć swój prawdziwy

akt urodzenia... po prostu dla siebie, dla własnego spokoju.

Meredith skinęła głową, lecz nie odezwała się ani słowem. Nie miała ochoty szukać swego aktu urodzenia. A co, jeśli go tam nie będzie? Wówczas poczuje się jeszcze gorzej niż kiedykolwiek.

Patsy namawiała ją jeszcze przez chwilę, a potem poprowadziła z powrotem pomiędzy półki. Tym razem zajęły się rejestrami po prawej stronie, tymi w czerwonych okładkach. W piętnaście minut później Meredith znalazła potwierdzenie swoich przeczuć. Rzeczywiście urodziła się w Wielkiej Brytanii. Jej narodziny zostały odnotowane.

- No widzisz, wiedziałam, że znajdziemy twoje nazwisko w jednym z tych ślicznych, czerwonych tomów - powiedziała Patsy z uśmiechem, najwidoczniej pragnąc dodać jej otuchy. - A teraz zamówimy kopię tego dokumentu. Być może uda się otrzymać ją jeszcze dzisiaj. - Patsy wyciągnęła odpowiedni formularz z pudełka umieszczonego przy końcu każdego rzędu regałów i powiedziała do Meredith: - Wypełnij to, a potem zostawimy zamówienie w jednym z tych okienek.

Meredith skinęła głową i wyciągnęła pióro. Po wypełnieniu formularza zaniósł go do okienka. Okazało się, że za dwadzieścia funtów można uzyskać kopię w terminie ekspresowym, to znaczy już za dwadzieścia cztery godziny.

W piątek po południu, dokładnie o czwartej, Meredith i Patsy wróciły do St. Catherine's House i po kilku minutach Meredith trzymała już w dłoniach kopię swego aktu urodzenia.

Obie panie wyszły na ulicę, wsiadły do czekającej taksówki i skierowały się z powrotem do Claridge'a.

W taksówce natychmiast pochyliły się nad dokumentem. Meredith przeczytała, że pełne nazwisko jej matki brzmiało: Katharine Spence Sanderson. Jej ojcem zaś był Daniel Sanderson, z zawodu księgowy. Czy to po nim odziedziczyłam zdolności do rachunków? - przemknęło przez głowę Meredith. Adres jej urodzenia to: 3 Green Hill Road, Armley. Miejsce zamieszkania rodziców: Hawthorne Cottage, Beck Lane, Armley, Leeds. Jako datę urodzin podano 9 maja 1951, jej narodziny zostały zgłoszone przez matkę 19 czerwca. Imię i nazwisko dziecka: Marigold Sanderson.

- Teraz wiesz już o sobie dość dużo - powiedziała Patsy, zwracając się do Meredith i ściskając jej ramię.

- Więcej niż wiedziałam kiedykolwiek. - Meredith chrząknęła, po czym mówiła dalej: - Gdy byłam młoda, nie miałam żadnego poczucia tożsamości. To przerażające - nie wiedzieć, kim jesteś i skąd się wzięłaś. Nie masz żadnej osobowości. Skoro więc nie miałam tożsamości, postanowiłam ją wymyślić.

- Uzyskanie tej metryki musi wiele dla ciebie znaczyć.

- To prawda. Jest to jakby rodzaj... potwierdzenia tego, kim naprawdę jestem. - Meredith uśmiechnęła się z trudem. - Teraz przynajmniej wiem, że obchodziłam urodziny we właściwym terminie. W sierocińcu prawidłowo zanotowali moją datę urodzenia.

- I co masz zamiar teraz zrobić? Och, co za głupie pytanie, Patsy Canton - przyjaciółka spojrzała na Meredith z przejęciem. - Oczywiście, pojedziesz do Leeds.

- I to już jutro, Patsy. Tak czy inaczej, w niedzielę miałyśmy być w Ripon, więc po prostu przyspieszę wyjazd o jeden dzień.

- Zawiozę cię tam.
- Ale...
- Żadnych „ale” - oświadczyła Patsy stanowczo. - Po pierwsze, będziesz potrzebowała mojej pomocy. Znam Leeds jak własną kieszeń, podobnie jak całe Yorkshire, a tobie z pewnością będzie potrzebny przewodnik. Poza tym martwię się o ciebie, Meredith. Nie powinnaś prowadzić tego rodzaju poszukiwań zupełnie sama, to zbyt emocjonalnie obciążające. Masz zamiar odszukać dawno zaginioną matkę i kto wie, co może wyjść na jaw przy tej okazji. Wierz mi, naprawdę przyda ci się jakaś życzliwa dusza.
- Zwłaszcza jeśli tą życzliwą duszą jest taka dobra i oddana przyjaciółka jak ty, Patsy. Dziękuję ci. Dziękuję, że mi pomagasz.
- Jeżeli wyruszymy jutro o świcie, mamy szansę dojechać do Leeds w dwie i pół godziny. Może w trzy. Autostradą jedzie się tam dość szybko. Myślę, że najpierw zatrzymamy się w Hawthorne Cottage w Armley.
- Znasz to miejsce?
- To dziwne, ale tak. Mój wuj miał tam zakłady produkujące tekstylia wełniane, a mieszkał w pobliskim Farnley, w pięknym starym dworze, zwanym Farnley Lee House. Ale mniejsza z tym - w każdym razie często przyjeżdżałam do wuja z rodzicami, a żeby dostać się do Farnley, trzeba było przejechać przez Armley. Czy masz jakieś skojarzenia związane z Hawthorne Cottage?
- Bardzo słabe. Dom stał nad rzeką, po której pływało dzikie ptactwo... chyba kaczki.
- Im częściej będziemy rozmawiały, tym więcej sobie przypomnisz - powiedziała Patsy. - Czy nie to właśnie powiedziała ci ta lekarka?
- Tak, racja.

Kiedy wysiadły przed głównym wejściem Claridge'a, Patsy ujęła Meredith pod ramię i zaproponowała:

- Wejdźmy i napijmy się czegoś. Uczcijmy to.
- Co niby miałybyśmy uczcić?

Patsy roześmiała się. - Zawsze mówiłam, że zrobię z ciebie prawdziwą mieszkankę Yorkshire. I okazało się, że nie muszę nawet próbować, bo już nią jesteś - i to z urodzenia! Chciałabym wznieść za to toast.

Kiedy Meredith weszła do swego pokoju, właśnie dzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i usłyszała głos Luca: - *Chérie, comment tu vas?*

- U mnie wszystko w porządku, dziękuję. Właśnie miałam do ciebie zadzwonić. Zgadnij, co się dziś wydarzyło? Dowiedziałam się, że moja matka żyje.

- *Mon Dieu.* - Przez chwilę panowało milczenie, po czym Luc zapytał. - Jak udało ci się tego dowiedzieć?

Opowiedziała mu wszystko ze szczegółami, a potem dodała: - Jedziemy do Leeds jutro, nie w niedzielę, jak planowałyśmy... by rozpocząć poszukiwania.

- Czy chciałabyś, abym przyleciał i pojechał tam z tobą?

- Nie, nie, to nie jest konieczne. Strasznie chciałabym cię zobaczyć, kochanie, ale mam Patsy, która mi pomoże. Zna Yorkshire jak własną kieszeń.

- W porządku, rozumiem. Potrzebujesz spokoju, by móc się skoncentrować. Będę o tobie myślał. Zadzwoń do mnie jutro, *chérie*, będę się niepokoił. Kocham cię.

22

Wyjechały w sobotę wcześniej rano i dotarły do Leeds w rekordowo krótkim czasie. Patsy ominęła zatłoczone centrum i skierowała wóz na szosę do Armley. Musiały co prawda kilka razy pytać o drogę, lecz mimo to stosunkowo szybko udało im się odnaleźć Beck Lane.

Kierując swego aston-martina w dół uliczki, Patsy spytała: - Czy coś tu wydaje ci się znajome?

- Właściwie nie, nawet Beck Lane. Jest taka krótka, taka zwyczajna. Lecz z drugiej strony, kiedy jest się dzieckiem, rzeczy wydają się z reguły większe, bardziej imponujące. A także bardziej przerażające.

- To prawda - zgodziła się Patsy. - Jesteśmy już niemal przy końcu ulicy i wygląda na to, że jest to ślepy zaułek.

Meredith wyrzała przez okno, rozejrzała się i stwierdziła: - Dziwi mnie, że nie widać stąd rzeki.

- Zaraz ją zobaczymy. Kiedy wczoraj wieczorem przeglądałam mapę Leeds, zauważyłam, iż rzeka Aire i kanały: Leeds i Liverpool biegną równolegle do siebie. Uczyliśmy się o tym w szkole. Obydwa szlaki wodne są z pewnością przed nami, zaraz się o tym przekonasz.

Beck Lane skończyła się nagle. Koniec uliczki tworzył stary, na wpół zawalony ceglany mur, za którym rozciągała się szeroka, wolna przestrzeń. Patsy zatrzymała się, zaparkowała i zgasiła silnik.

- Chodźmy na zwiady - powiedziała, otwierając drzwi samochodu.

Meredith podążyła jej śladem.

Obie kobiety przez chwilę rozglądały się. Stały na pustej parceli, w pobliżu nie było domów ani żadnych innych budynków. Lecz przy samym końcu uliczki Meredith dostrzegła nagle kompletnie zrujnowane pozostałości drewnianego ogrodzenia.

- Nie zauważyłam tego, kiedy przejeżdżałyśmy - powiedziała - a przecież ta furtka musi dokądś prowadzić. - Mówiąc to już niemal biegła w stronę resztek ogrodzenia.

Patsy podażyła za nią.

Otwarta furtka, zwisała luźno na przerdzewiałych zawiasach. Meredith przeszła przez nią i uświadomiła sobie, że kiedyś musiała tędy biec ścieżka, zarośnięta teraz chwastami i trawą. Na jej końcu znajdował się jakiś kompletnie zrujnowany budynek, z którego pozostała już właściwie tylko kupka cegieł, kamieni i drewna.

- Czy to mógł być Hawthorne Cottage? - spytała Patsy, doganiając przyjaciółkę.

- Być może - odparła Meredith spokojnie, czując, jak ogarnia ją smutek i przygnębienie. Podczas jazdy z Londynu zaczęła już niemal wierzyć, że Hawthorne Cottage ciągle stoi nietknięty, a matka nadal w nim mieszka. Lecz teraz zdała sobie sprawę, że były to tylko pobożne życzenia. Jakaż byłam niemądra, pomyślała, spodziewając się, że wszystko pozostało bez zmian przez niemal czterdzieści lat.

Meredith podeszła do ruin budynku i okrążyła je kilka razy, a potem odwróciła się twarzą w stronę rzeki Aire, doskonale widocznej z miejsca, w którym się znajdowały. Błyszczała w bladym wiosennym słońcu. Tuż za nią widać było kanał. Zastanawiała się, dlaczego będąc dzieckiem nigdy nie dostrzegła, że obie drogi wodne biegną równolegle.

Wypowiedziała tę myśl na głos.

- Byłaś jeszcze wtedy bardzo mała - odparła Patsy. Miałaś zaledwie pięć czy sześć lat. Nie zwróciłabyś w ogóle uwagi na coś takiego. A może po prostu o tym zapomniałaś.

- Chyba masz rację - Meredith uśmiechnęła się leciutko. - A poza tym byłam przecież wówczas o wiele niższa i mogłam w ogóle tego nie dostrzec.

.Patsy roześmiała się. - To prawda.

Meredith stała przez chwilę przed stertą gruzów, nadal wpatrując się w rzekę. Starła się cofnąć czas, skupić się na szczegółach i powrócić do przeszłości, tak jak radziła jej doktor Benson.

Nagle, oczami wyobraźni, dostrzegła mały trawnik i rabatki z kwiatami, a z tyłu, za ogrodem, białą furtkę, osadzoną w starym, ceglany murze, porośniętym pnącymi różami.

Pośpieszyła przed siebie, kierując się w stronę rzeki, a kiedy stanęła na brzegu, odwróciła się i poza rozkrzewionymi tu bujnie chwastami dostrzegła mur i pozostałości bramy. Mur był już tylko co prawda rozwaloną stertą kamieni, lecz nadal porastały go krzewy pnących róż i w pełni lata zapewne szczątki ogrodzenia niknęły pod masą kwiecica.

Serce zabiło jej mocniej. Rozpoznawała to miejsce, kiedyś musiała znać je bardzo dobrze.

A potem zauważyła skałę. Stała w bezruchu, poddając się napływającej gwałtownie fali wspomnień, która niemal pozbawiła ją tchu.

Zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę, siedzącą samotnie na skałe i pogrążoną w marzeniach. Ta skała, stercząca wysoko nad brzegiem rzeki, była jej ulubionym miejscem i często tam wówczas siadywała, obserwując otaczający świat.

Podeszła do skały i usiadła na niej, wilgotnymi oczami przyglądając się przepływającej poniżej wodzie, która

pluskała i rozbijała się o kamieniste dno rzeki. Nad rzeką gniazdowało dużo dzikiego ptactwa i Meredith teraz przypomniawszy sobie, jak bardzo lubiła przyglądać się igraszkom kaczek, siewek i innych skrzydlatych stworzeń.

Objęła ramionami kolana, oparła na nich głowę i po-grążyła się we wspomnieniach.

Zobaczyła swoją matkę - piękną kobietę o złotorudych włosach i oczach tak niebieskich, że ich błękit wręcz oślepił. Matka kochała dziecko na skale, kochała je do szaleństwa. Dziecko było jej całym światem.

Zatem dlaczego odesłała mnie tak daleko? Dlaczego?

Meredith nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Znała ją tylko Kate Sanderson. Jeżeli w ogóle uda im się ją odnaleźć, co wcale nie wydawało się takie oczywiste.

Nagle znowu poczuła zaznany w dzieciństwie ból, z którym zżyła się będąc małą dziewczynką. - Mamusiu, mamusiu, gdzie jesteś? - usłyszała swój płacz i serce się jej ścisnęło. Jak często śniła o tej twarzy, o ślicznej twarzy swojej matki. Jak bardzo za nią tęskniła, za jej miękkimi ramionami, za ciepłem jej miłości, za kojącym brzmieniem jej głosu i otuchą płynącą z jej obecności.

Serce Meredith zachowało te wspomnienia. Tkwiły tam głęboko ukryte, ale nietknięte... nienaruszone... ta śliczna twarz, te błękitne, błyszczące oczy, miłość, czułość, zapach jej matki... to wszystko, czego nigdy nie przestała kochać i za czym zawsze tęskniła... jej matka. Kate Sanderson.

Meredith z trudem przełknęła łzy. Bolało ją zaciśnięte z napięcia gardło.

- Nic ci nie jest? - spytała z niepokojem Patsy.

Meredith przez chwilę nie odpowiadała, niezdolna dobrać głosu. Wyprostowała się tylko i otarła palcami łzy z policzków.

- Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego ona to zrobiła - powiedziała w końcu. - Przed chwilą sądziłam, że nigdy jej nie odnajdziemy. Lecz teraz wiem, że musimy to zrobić. Choćby po to, by zadać jej to pytanie. Dlaczego?

Patsy nie odezwała się, tylko skinęła głową, poruszona cierpieniem widocznym na twarzy przyjaciółki.

Wreszcie Meredith wstała i spojrzała na towarzyszkę, która przypatrywała się jej uważnie. - Widzisz, Patsy, matka bardzo mnie kochała. Tak jak ja kocham Cat i Joana... i właśnie dlatego nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego to zrobiła. To istna zagadka.

Patsy otoczyła ramieniem plecy przyjaciółki. - Odnajdziemy ją, obiecuję ci to.

Wróciły powoli przez zarośnięty ogródek. Gdy przechodziły obok rumowiska, Patsy spytała: - Czy sądzisz, że to właśnie jest Hawthorne Cottage?

Przez chwilę Meredith nie odpowiadała. Stała wpatrując się niewidzącym wzrokiem w ruiny, lecz zamiast nich widziała Hawthorne Cottage takim, jakim był trzydzieści osiem lat wcześniej. Widziała błyszczące szyby, czyste zasłony z białej koronki, miedziane rondle, wyczyszczone do połysku. Zobaczyła swoją czyściutką sypialnię z poscielą w różany wzór.

I usłyszała słodki głos, deklamujący: *Czarodziej sprzedaje na swoim straganie, możesz tu kupić, co w myśli postanie...* Głos powoli odpływał.

- Tak - powiedziała Meredith. - To Hawthorne Cottage, a przynajmniej to, co z niego zostało.

- A oto Green Hill Road numer 3 - powiedziała Patsy, zwalnając przed wielką wiktoriańską budowlą, odgrodzoną od ulicy solidną bramą z kutego żelaza. - Tu właśnie przyszedł na świat, Meredith. Przez długie lata w tym budynku mieścił się szpital położniczy. Przypominam sobie teraz, że byłam tu z ciotką, gdy moja kuzynka Jane

urodziła pierwsze dziecko. Mieszkali wówczas przy Hill Top. Pokażę ci gdzie, kiedy będziemy przejeżdżały przez miasto.

Meredith przez chwilę z zainteresowaniem przyglądała się budowli, po czym zapytała: - Powiedziałaś, że kiedyś był tu szpital położniczy - czy to znaczy, że teraz już go tu nie ma?

- Tak sędzę - odparła Patsy. - Przypominam sobie, że chyba przekształcili go w szpital ogólny, a potem chyba w dom starców, nie jestem pewna.

I spoglądając na Meredith, dodała: - Chciałabyś wyśiąść i rzucić na to okiem?

Meredith potrząsnęła głową. - Nie, nie, zastanawiałam się tylko, gdzie mogłam zostać ochrzczona.

- Prawdopodobnie w kościele pod wezwaniem Chrystusa w Armley - powiedziała Patsy, włączając silnik. - Czy chcesz, żebym cię tam zawiozła?

- Nie, chyba nie, jestem pewna, że niczego sobie tam nie przypomnę. Ale dziękuję ci.

- A co z Leeds Market? Czy nie chciałabyś go zobaczyć, nawet jeśli nie poruszy to żadnych strun w twojej pamięci? W latach siedemdziesiątych targowisko zostało przebudowane, po wielkim pożarze. Lecz na szczęście zachowano jego wiktoriański styl, wygląda więc teraz niemal tak samo jak wtedy, gdy miałaś pięć czy sześć lat.

- Wątpię, żeby przypomniało mi się tam coś znaczącego, Patsy. Myślę, że powinniśmy pojechać do Ripon. Mamy tam wiele spraw do załatwienia i omówienia z Millerami. A tak nawiasem mówiąc, to dobra nowina, że postanowili zostać i nadal zarządzać hotelem.

- Prawda? Ja także byłam bardzo przejęta, kiedy mi o tym powiedzieli. Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że od razu cię o tym nie powiadomiłam, lecz chciałam zrobić ci miłą niespodziankę po przyjeździe.

- Nie, nie mam ci za złe i rzeczywiście była to cudowna niespodzianka. Nie trzeba już szukać dobrego zarządcy i rozmawiać z kandydatami.

- To prawda, musimy jednak zdobyć kilku dobrych kucharzy. Millerowie przeprowadzili wstępną selekcję i teraz zostały już tylko trzy osoby.

- To i tak nieźle, lecz wybór szefa kuchni to zawsze duże ryzyko - wiesz o tym, Patsy. Na ogół przyrządzają doskonały posiłek, by zrobić na tobie wrażenie... lecz na tym się kończy, a potem często następuje kłapa.

- Millerowie wypróbowywali tę trójkę przez kilka tygodni. Jeden z nich to mężczyzna, Lloyd Bricker, a pozostałe dwie to kobiety, pani Morgan i pani Jones. Jedno nie ulega wątpliwości - z pewnością podczas tego weekendu czeka nas wiele pysznych posiłków. Jednak zgadzam się z tobą, zatrudnianie kucharza to istna ruletka.

- Powinnyśmy być gotowe na maj - zauważyła Meredith. - Chyba nie przewidujesz większych problemów, prawda?

- Nie, mówiłam ci już, kiedy przyjechałaś. Tylko sprawa kucharza nie daje mi spokoju. Wszystko będzie dobrze, nie ma się czym martwić - Patsy spojrzała na przyjaciółkę, po czym szybko wróciła spojrzeniem na drogę. - A tak, przy okazji, kiedy wybierasz się do Paryża?

- Miałam nadzieję, że uda mi się polecieć w następną środę, lecz teraz nie jestem pewna. We czwartek spodziewają się mnie i Agnes w Montfort-L'Amaury, więc będę mogła przekonać się, jak postępuje przebudowa. A potem miałam zamiar pojechać z Lucem do Talcy na weekend. Lecz teraz, kiedy zaczęłyśmy poszukiwania mojej matki, sama nie wiem, co ci powiedzieć.

- A zatem zaczekajmy i zobaczymy, co przyniosą kolejne dni - zaproponowała Patsy.

Po południu, po wspólnym lunchu, przygotowanym przez kandydata na szefa kuchni, Lloyda Brickera, Meredith i Patsy, zaopatrzone w notatniki, udały się na obchód odnowionych pomieszczeń Skell Garth.

Po obejrzeniu wszystkich pokoi znalazły sobie cichy kątek w pustej o tej porze jadalni i zasiadły w nim, by porównać swoje notatki.

- W niektórych pokojach nadal brakuje wielu rzeczy - powiedziała Patsy. - Obawiam się, że Claudia tylko częściowo zrozumiała, co do niej mówiłam. Tłumaczyłam jej kilka razy, że staramy się podnieść standard gospody, zarówno co do wyposażenia, jak usług. Najwidoczniej umknęło jej, że w takim przypadku prawdziwy komfort i luksus są absolutnie obowiązkowe. - Spojrzała na swoje zapiski, po czym dodała: - Jestem pewna, że wynotowałam te same przedmioty, co ja. Butelki na gorącą wodę w pokrowcach, dużo ręczników w każdym pokoju, czarki z potpourri i zapachowe świece, wełniane narzuty, suszarki do włosów i tak dalej, i tak dalej...

- Tak, Patsy, zanotowałam wszystkie te rzeczy. Na szczęście nietrudno będzie uzupełnić braki. Po prostu musimy sięgnąć je tutaj z Londynu.

- Te rzeczy już zostały wysłane - odparła Patsy, wykrzywiając usta. - No cóż, może po prostu jeszcze ich nie wyłożyła. Porozmawiam z nią. A co sądzisz o nowym wystroju?

- Jest w porządku, Patsy. Udało nam się zdobyć naprawdę ładne tkaniny i dywany. Zauważyłam, że zasłony

i narzuty na łóżka zostały wykonane bardzo starannie, a kanapy i krzesła pięknie odnowione. Dzięki tobie. Także tapety i malowanie ścian są bez zarzutu. Zamierzam jednak poprzestawiać wszystkie meble - w większości pokoi.

- Wiedziałam, że to powiesz. Kiedy przyjechałam tu dwa tygodnie temu, by nadzorować układanie wykładzin i zawieszanie zasłon, dałam im twoje plany podłóg z zaznaczeniem, gdzie mają stać meble, lecz najwidoczniej zupełnie je zignorowali.

- Meredith skinęła głową. - Z pewnością tak właśnie się stało. Lekki uśmiech przemknął jej po twarzy.

Millerowie po prostu ustawili wszystko tak jak przedtem, a nie było to najlepsze rozwiązanie. Ani najwygodniejsze.

- Mam nadzieję, że nie popełniłyśmy błędu, zatrzymując ich - mruknęła Patsy, spoglądając na Meredith z obawą. - Czy nie uważasz, że są zbyt uparci i mało elastyczni?

- Być może, lecz jestem pewna, że da się to przezwyciężyć. Dużo z nimi rozmawiałam podczas tego weekendu i chyba udało mi się ich przekonać, że skoro zamierzamy podnieść ceny, trzeba będzie podnieść także standard oferowanych usług. Oboje są dosyć bystrzy, więc jestem pewna, że uda nam się ich wychować tak, by poprowadzili gospodę zgodnie ze standardami Havens.

Patsy uśmiechnęła się. - Cieszę się, że jesteś taką optymistką, Meredith. Kiedy byliśmy na górze, zaczęłam się poważnie niepokoić, czy podjęłyśmy słuszną decyzję.

- Gdybym nie była optymistką, chyba nie przetrwałabym tego sierocińca w Sydney.

- Tak, masz rację - Patsy spojrzała na swoje notatki: - Reszta mojej listy to same drobiazgi, takie jak położenie

gniazdek elektrycznych, moc żarówek i temu podobne. Nie musimy martwić się tym teraz. Wszystko to może poczekać.

- Ja także nie mam już wielu uwag - powiedziała Meredith, wstając. - Idę na ten spacer, Patsy.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, abym zawiozła cię do Fountains Abbey?

- Nie, dzięki. Naprawdę wolę się przejść. Potrzeba mi trochę ruchu i świeżego powietrza. Do zobaczenia później.

Patsy skinęła głową i uśmiechnęła się do niej.

Meredith odwzajemniła uśmiech, a potem wyszła z jadalni, minęła hall i opuściła gospodę.

Było ładne kwietniowe popołudnie, niezbyt chłodne jak na tę porę roku. Po czystym, błękitnym niebie pędziły białe, puszyste obłoki. Wszędzie wokoło widać było oznaki zbliżającej się wiosny. Drzewa stały w pąkach, trawa była gęsta i jaskrawozielona, a tu i tam pojawiły się już kępkę dzikich kwiatów. Zauważyła pierwiosnki i irysy, a potem, gdy weszła w lipową aleję, prowadzącą do kościoła w Studley, z wrażenia aż wstrzymała oddech. Wszędzie wokół, na obu poboczach i pod lipami kwitły żonkile.

Gdy przechodziła obok nich, przypomniał jej się wiersz Wordswortha, który Patsy recytowała w styczniu. Wydawał jej się teraz znajomy, uświadomiła sobie nawet, że pamięta ostatnią zwrotkę:

*Bo często dziś, gdy na wznak leżę
W błogim sam na sam z własną myślą,
Znów gwiazdozbiory kwiatów świeże
Ku oczom duszy blask swój wyślą
I serca znów cię trosk nie plami,
Gdy tańczy, tańczy z żonkilami.*

Znała go, ponieważ matka nauczyła ją tego wiersza przed laty. Przez cały czas pozostawał w zakamarkach jej pamięci, ukryty, lecz niezapomniany.

Myśli Meredith pobiegły znowu ku Kate Sanderson. Szok, związany z odkryciem, że jej matka nadal żyje, nieco już złagodniał, lecz nadal czuła się wytracona z równowagi i zmartwiona tym, że Kate najwidoczniej ją porzuciła, i to tak bezwzględnie, gdy była małą dziewczynką.

Meredith знаła siebie na tyle dobrze, by zdać sobie sprawę z przepełniającego ją gniewu, urazy i oburzenia. Kiedy tak szła, kierując się w stronę stojącego na wzgórzu kościoła, postanowiła, że musi odnaleźć Kate, nieważne jakim kosztem.

Kiedy stanęła na szczycie wzgórza, spojrzała w dół na Fountains Abbey, by znowu, jak w styczniu, poczuć, że ruiny przywołują ją do siebie, przyciągając z dziwną siłą.

Zupełnie jak magnes, to miejsce działa na mnie jak magnes, pomyślała i pośpieszyła w dół stromą ścieżką, niemal biegnąc. Po kilku minutach znalazła się wśród ruin.

Tego pogodnego kwietniowego dnia posępne piękno strzelistych, niebotycznych murów uderzyło ją z nową siłą. Ciemne i imponujące, wznosiły się na tle jasnego nieba, niczym rzucone ręką jakiegoś olbrzyma. Lecz dziś dramatyzm poczerwiałych kamieni łagodziła nieco zieleń otaczających je drzew. O kilka metrów od miejsca, gdzie stała, rzeka Skell płynęła spokojnie w stronę Ripon. Jeszcze jedna rzeka, pomyślała Meredith, nic dziwnego, że lubię mieszkać w pobliżu wody. Wyrosłam w takim miejscu.

Usiadła na kawałku zburzonego muru i spróbowała cofnąć się w czasie, przywołać wspomnienie siebie sprzed lat, odwiedzającej to miejsce z Kate Sanderson, lecz pamięć nie podsunęła jej żadnych obrazów, mimo że

siedziała tam prawie pół godziny. I choć jej umysł pozostał czysty, nadal czuła się bardzo silnie związana z tym miejscem, wiedziała, że zna te ruiny i że z nimi wiąże się jakieś bardzo doniosłe i dramatyczne zarazem przeżycie. Lecz jakie? Tylko jej matka знаła odpowiedź na to pytanie.

W przeszłości Meredith nie raz przewycięzała smutek pracą, harując ciężko niemal do wyczerpania. Praca pomagała jej się pozbierać, pozwalała nie myśleć o smutkach i kłopotach.

Tym razem także rzuciła się w wir pracy, przez resztę weekendu poświęcając się całkowicie nadaniu nowego wystroju gospodzie, wystroju zgodnego z jej gustem. Duża ilość wyczerpujących zajęć nie pozostawiała zbyt wiele czasu na myślenie o matce.

Z pomocą Patsy, Millerów i trzech pomocników tak długo przedstawiała meble, aż wreszcie osiągnęła to, co zamierzała. Pod jej nadzorem zmieniono ustawienie łóżek, sof, antycznych stolików i komód - a kiedy już to zostało zrobione, przystąpiono do wymiany lamp, drobniejszych elementów wyposażenia i przewieszania obrazów.

Millerów jej zachowanie w najwyższym stopniu zaskoczyło. W rozmowie z Patsy Bill skomentował to tak: - Nie wierzyliśmy własnym oczom, kiedy zdjęła żakiet, zawinęła rękawy i wzięła się do roboty.

Zwłaszcza Claudia była pod wrażeniem energii Meredith, jej sił żywotnych i wytrwałości. W pewnym momencie, późnym niedzielnym popołudniem, wyczerpana i wykończona Claudia powiedziała do Patsy: - Nie widziałam jeszcze, żeby ktoś tak pracował. Ona w ogóle nie odpoczywa, pracuje niczym maszyna.

- Wiem, Meredith nigdy nie przestanie mnie zadziwiać. To prawdziwy wół roboczy. I do tego utalentowany - zauważyła Patsy. - Ma znakomite wyczucie stylu.

Claudia lekko skinęła głową.

- Już taka się urodziła - dodała Patsy. - Ma wspaniałe oko.

- Zauważyłam. Pokoje wyglądają teraz o wiele lepiej. Ja i Bill niezbyt śpieszyliśmy się z zastosowaniem się do tych planów, które nam pani zostawiła. Naprawdę powinniśmy byli dokładniej zastosować się do wskazówek. - Claudia zrobiła zmartwioną minę i zapytała: - Czy bardzo byliście na nas złe?

- Nie, oczywiście, że nie. Proszę się nie martwić, już wszystko w porządku - zapewniła ją Patsy. - Lecz bardzo bym prosiła, abyście w przyszłości spróbowali dokładniej stosować się do poleceń, dobrze, Claudio? Zaoszczędziłoby nam to sporo kłopotów. Jutro pomogę ci rozpakować wszystkie rzeczy przysłane z Londynu, a Meredith zajmie się wykończeniem ogólnych pomieszczeń na dole. Ma nadzieję, że uporamy się z tym do lunchu.

- Ale porozmawiacie z tymi kandydatami na szefów kuchni, dobrze? - zapytała zaniepokojona Claudia. - Poniedziałek to już naprawdę ostateczny termin.

- Nie ma problemu. A przy okazji, lunch bardzo mi dzisiaj smakował. Przyrządziła go pani Morgan, prawda?

- Tak, i ona ugotuje też dzisiaj obiad.

- Nie pani Jones?

- Obawiam się, że nie. Poparzyła sobie rękę, kiedy gotowała wczoraj, i bardzo prosiła, by dać jej dziś wolne.

- Rozumiem. Czy masz swojego faworyta, Claudio?
- Tak. Panią Morgan. Moim zdaniem, jest nie tylko najlepsza, lecz także najszybciej potrafi się przystosować i dobrze się z nią pracuje, nie jest tak kapryśna i humorzysta jak Lloyd.
- A pani Jones? Nie zrobiła na tobie dobrego wrażenia?
- To dobra kucharka, ale nie jestem pewna, czy nadawałaby się do pracy w gospodzie... przynajmniej w tego rodzaju gospodzie.
- Uważasz, że gotuje w sposób zbyt mało wyszukany?
- Nie, nie to miałam na myśli. Lecz pani i Meredith powiedziałyście mi, że w gospodzie będzie prowadzona tradycyjna wiejska angielska kuchnia, tyle że na najwyższym poziomie. Moim zdaniem pani Morgan najlepiej się do tego nadaje. Jest najbardziej wszechstronną kucharką z nich wszystkich.

Pani Morgan okazała się kobietą po pięćdziesiątce, o różowych policzkach, jasnobrzązowych oczach i radosnym uśmiechu.

Meredith od razu zauważyła, że kucharka ma miły sposób bycia i że wszyscy dobrze czują się w jej towarzystwie. Zachowanie kobiety zdradzało spokojną pewność siebie i Meredith po wyrazie twarzy Patsy poznała, że i jej kandydatka przypadła do gustu.

- Z tego, co powiedziała Claudia Miller, wynika, że gotowała już pani dla większej liczby osób - zaczęła Meredith.

- O, tak. Dopiero niedawno przestałam pracować jako szef kuchni w wiejskim hotelu przy granicy Szkocji. Był to stary dom, zamieniony w gospodę, zupełnie jak ten, tylko większy. A w restauracji często bywali także miejscowi goście. Więc ilość mnie nie przeraża, pani Stratton,

ani trochę. Oczywiście, zwykle miewałam pomocników.

- Tak, pani Morgan, rozumiem. Z tym nie byłoby problemu - wtrąciła Patsy.

- Dałam pani Miller referencje, więc już je panie chyba widziały - kobieta wodziła oczami od Patsy do Meredith.

- Tak, oczywiście - Meredith uśmiechnęła się do niej.

- Są doskonałe. Także posiłki, które pani przyrządziła, bardzo nam smakowały.

- Dziękuję bardzo, pani Stratton i proszę mówić mi Eunice. Tak jest o wiele sympatyczniej, nieprawdaż?

- Tak, Eunice, to prawda - powiedziała Meredith. A potem umilkła na chwilę, potrząsnęła głową i powiedziała. - Znałam tylko jedną osobę o tym imieniu. Opiekowała się mną, gdy byłam dzieckiem.

Eunice zaśmiała się. - Co za zbieg okoliczności. Pani miała opiekunkę o tym imieniu w Ameryce, a ja opiekowałam się dziećmi w Yorkshire.

Meredith wpatrywała się w nią w milczeniu, po czym zapytała: - Gdzie w Yorkshire?

- W Leeds. Stamtąd pochodzę. Mój mąż jest z Ripon i przez lata męczył mnie, żebyśmy tu wrócili.

- A czyimi dziećmi się pani opiekowała? - pytała dalej Meredith, nie spuszczać wzroku z kucharki.

- Na przykład taką śliczną małą dziewczynką. Miała na imię Mari.

- A jak brzmiało jej nazwisko? - spytała Meredith zduszonym głosem.

- Sanderson - odparła Eunice, rzucając Meredith szybkie spojrzenie. - Dobrze się pani czuje, pani Stratton? Wygląda pani jakoś dziwnie.

- To ja jestem tą małą dziewczynką, Eunice. To ja jestem Mari Sanderson.

- A to ci dopiero, pani nie może być Mari! - wykrzyknęła Eunice z niedowierzaniem, zaskoczona.

- Ale jestem.

- O, do licha, zupełnie jak w książce! - zachichotała Eunice. - Czy możesz sobie wyobrazić mnie jako szefa kuchni, Mari? Pamiętasz, jak przypalałam ci obiad? Dprowadzałam twoją biedną matkę do rozpacz.

- Chciałabym porozmawiać z tobą o mojej matce - powiedziała Meredith.

23

- Moja matka i ja zostałyśmy rozdzielone, gdy byłam dzieckiem - wyjaśniła Meredith. - Nie wiem, jak to się stało, ale tak właśnie było.

- Wiem, że była słabego zdrowia, leżała w szpitalu - stwierdziła Eunice.

- A kto zajmował się mną?

Eunice podniosła dłoń do ust i zamyśliła się. Zaciśnęła usta, potrząsnęła głową i wymruczała: - Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Wtedy myślałam, że dziecko wzięli do siebie jacyś krewni.

- Krewni - powiedziała wolno Meredith. - Nie przypominam sobie żadnych krewnych, byliśmy tylko my dwie - ja i moja matka.

- Tak... - Eunice wyprostowała się na krześle. Wyglądała na zmartwioną. Po chwili zapytała z wahaniem: - Więc co się z tobą stało?

- Nie wiem dokładnie, lecz w końcu znalazłam się za granicą.

Patsy odwróciła wzrok od Meredith i spoglądając na Eunice, spytała: - A kiedy ostatni raz widziała pani panią Sanderson? Czy pani pamięta?

- Niech pomyślę... To musiało być tego lata, kiedy zachorowała. Muszę się zastanowić... tak... tak, to było właśnie wtedy. W lecie 1956. Pewnego dnia poszłam do Hawthorne Cottage, by zająć się małą i nikogo nie zastałam. Wróciłam więc do domu, do Greenocks, tuż przy Town Street, gdzie wtedy mieszkałam. Tak czy inaczej, w kilka dni później wpadłam przypadkiem na konstabla O'Shee, który mieszkał w pobliżu. Powiedział mi, że pani Sanderson jest w szpitalu. Spytałam o Mari, a on stwierdził, że wszystko z nią w porządku i że ma dobrą opiekę. I to by było tyle. W kilka tygodni później wyprowadziliśmy się z Armley. Moja matka znalazła dom w pobliżu swojej siostry, w Wortley, więc przenieśliśmy się tam.

Meredith słuchała w napięciu, pochyłona w stronę Eunice. - Nazwisko konstabla O'Shei brzmi znajomo, lecz jakoś nie mogę go umiejscowić.

- Naprawdę? No cóż, on bardzo cię lubił, Mari. Bardzo. Był miejscowym policjantem, patrolował ulice w Armley. Zwykle urzędował w tej budce przy Canal Road. Na pewno go nie pamiętasz?

- Nie, nie pamiętam.

- Konstabl O'Shea mógłby rzucić nieco światła na to, co stało się z tobą - powiedziała Patsy.

- Tak, to prawda - zgodziła się Meredith, zwracając się ponownie do Eunice: - Jak myślisz, czy on nadal mieszka w Armley?

- Och, nie mam pojęcia, straciłam go z oczu całe lata temu. Teraz byłby już na emeryturze. Jeżeli wtedy miał około trzydziestu lat, to teraz dobiegałby siedemdziesiątki. Hmm. Zaraz, zaraz, czy ja znam kogoś, kto do dziś mieszka w Greenocks? Niech no pomyślę...

Patsy wstała. - Przyniosę z biura książkę telefoniczną Leeds - zaproponowała i niemal wybiegła z jadalni, kierując się w stronę małego foyer.

Pozostawione same, Meredith i Eunice przyglądały się sobie ukradkiem w milczeniu.

Eunice odezwała się pierwsza: - Wyrosłaś na piękną kobietę, Mari, i najwidoczniej odniosłaś sukces - mieszkasz w Ameryce, i te wszystkie gospody...

Meredith uśmiechnęła się leciutko, lecz nic nie powiedziała. Starła się powrócić pamięcią do przeszłości, przypomnieć sobie konstablą O'Shea, lecz na próżno. Nie mogła nawet przywołać obrazu jego twarzy.

Eunice mówiła dalej: - Jesteś mężatką?

- Byłam. Teraz jestem rozwódką. Mam dwoje dzieci. A co z tobą, Eunice, masz dzieci?

- Dwoje, jak ty. Malcolma i Dawn. Oboje założyli już rodziny, mam pięcioro wnucząt. A twoje dzieci są już zamężne?

- Córka jest zaręczona, a syn uczy się jeszcze w college'u. Ma dopiero dwadzieścia jeden lat.

Patsy wróciła do jadalni, niosąc książkę telefoniczną Leeds. Położyła ją na stole przed Eunice i powiedziała: - Poszukajmy wszystkich O'Shea, którzy mieszkają teraz w Armley. Nie może ich być zbyt wielu. Może znajdziemy jakiegoś z Greenocks. Jak miał na imię konstabl?

- Peter. Nie, zaczekajcie chwilę. Nie Peter. To było jakieś irlandzkie imię. Niech pomyślę... Patrick!

Patrick O'Shea.

Patsy już przesuwała palcem po wyszczególnionych w książce O'Sheach. Przejrzała wszystkie nazwiska i powiedziała: - W Armley mieszka dwóch, którzy mają przed nazwiskiem inicjał P., a w Bromley jeden. W Greenocks nie znalazłam żadnego. No cóż, trzeba zadzwonić pod te trzy numery, inaczej niczego się nie dowiemy. Skorzystam z tamtego telefonu. - Wzięła książkę telefoniczną

i skierowała się ku aparatowi, stojącemu na stole przy wejściu do jadalni.

Meredith wstała i podeszła do okna. Stała tam, spoglądając na ogród i rozmyślając o swojej matce. Odwróciła się i zapytała, przyglądając się Eunice badawczo: - Czy przez wszystkie te lata kiedykolwiek natknęłaś się na moją matkę?

- Nie, nie natknęłam się. - Kucharka zmarszczyła brwi. - Ale ona nie umarła, prawda?

- Nie sądzę, Eunice. Po prostu staramy się ją odnaleźć.

- Och.

W chwilę później Patsy ruszyła w ich stronę, nadal ściszkając książkę telefoniczną. Jej twarz promieniała. - Znalazłam go! Mieszka teraz przy Hill Top. To niedaleko szpitala St. Mary's, Meredith. Nie ma go teraz w domu, więc nie rozmawiałam z nim osobiście, tylko z jego żoną, lecz to z pewnością ten Patrick O'Shea. Powiedziała mi, że jest emerytowanym sierżantem, a ona sama przypomina sobie Mari i jej matkę, choć bardzo słabo. Tak czy inaczej, nasz konstabl będzie w domu około drugiej po południu i jego żona powiedziała, że możemy przyjść, aby się z nim zobaczyć.

Meredith siedziała naprzeciwko Patricka O'Shei w saloniku jego domu przy Top Hill. W ogóle nie pamiętała tego człowieka. Doszła do wniosku, że prawdopodobnie tak mocno zablokowała w pamięci związane z nim wspomnienia, że teraz nie była w stanie ich przywołać. Sierżant był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o siwiejących ciemnych włosach i miłym sposobie bycia.

- Była pani taką śliczną małą dziewczynką - powiedział, uśmiechając się do niej. - Marigold. Zawsze

uważałem, że to bardzo ładne imię dla dziecka. Ale, wracając do tematu, tego dnia, kiedy pani do mnie przyszła, była pani bardzo zdenerwowana. Płakała pani, ponieważ sądziła, że jej matka umarła.

- Ona nie umarła, prawda? - wtrąciła szybko Meredith.

- Nie, lecz była w bardzo kiepskim stanie. Przybiegła pani do policyjnej budki na Canal Road. Zaniósłem panią do domu, tak było najszybciej. A poza tym strasznie pani płakała. Zastaliśmy pani matkę siedzącą na krześle w kuchni. Była bardzo blada, biała jak prześcieradło, i najwidoczniej bardzo chora. A przynajmniej tak wtedy pomyślałem. Powiedziała, że zemdlą rano. Zadzwoiłem po karetkę i w ciągu piętnastu minut przyjechali i zabrali pani matkę do szpitala w Leeds.

- A co się stało ze mną? - Meredith wpatrywała się w sierżanta z napięciem.

- Ostatnie jej słowa, kiedy już zamykali drzwi ambulansu, brzmiały: „Niech pan zaopiekuje się Mari, konstablu”. I tak właśnie zrobiłem. Poradziłem się mojego sierżanta na posterunku i obaj doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, jeżeli zabierzemy małą do sierocińca doktora Barnardo, gdzie zajmą się nią, dopóki jej matka nie wyzdrowieje.

- I co się stało, kiedy poczuła się lepiej?

- O ile pamiętam, mieszkałyście nadal w Hawthorne Cottage. Lecz sprawy nie potoczyły się dobrze, nie mogła znaleźć pracy.

- A gdzie był wówczas mój ojciec?

- Nie wiem dokładnie. A przynajmniej nie znam szczegółów. Kate powiedziała mi raz, że ją opuścił. Wyjechał do Kanady i najwidoczniej nie wrócił.

- W ogóle go nie pamiętam. Musiał wyjechać, gdy byłem bardzo mały.

- Patrick O'Shea skinął głową. - Tak mi się wydaje.
- Czy sądzi pan, że moja matka znowu zachorowała?
 - Tak właśnie się stało. Po raz drugi znalazła się w szpitalu... to musiało być już w następnym roku... około 1957, o ile dobrze pamiętam.
 - Jak pan myśli, czy znowu oddano mnie do sierocińca?
 - Być może. Tak, to bardzo prawdopodobne. Nie było nikogo, kto mógłby się panią zaopiekować. A potem jakoś straciłem Kate z oczu. Nigdy tak naprawdę nie dowiedziałem się, co się z wami stało. Nagle nie było was już w Hawthorne Cottage i zamieszkała tam inna rodzina. Nigdy nie widziałem już ani pani, Mari, ani pani matki. Choć w kilka lat później doszły mnie słuchy, że pracuje gdzieś w Leeds.
 - Czy wie pan, gdzie pracowała?
 - Tak, muszę chwilę pomyśleć... W jakimś sklepie z ubraniami, to wiem na pewno... takim bardziej szykownym, na Commercial Street... nazywał się chyba Paris Modes.
 - Czy ten sklep nadal istnieje?
 - Sądzę, że tak.
 - Jak już mówiłam, sierżancie, zostałam rozdzielona z matką i wysłana za granicę. Myślałam, że umarła, lecz ostatnio udało mi się odkryć, że prawdopodobnie nadal żyje. Muszę ją odnaleźć.
 - Rozumiem. Zapewne nie ma jej w książce telefonicznej?
 - Nie, nie ma.
 - Być może w Paris Modes pracuje jeszcze ktoś, kto mógłby udzielić wam informacji, powiedzieć o niej coś więcej.

- Był naprawdę miły - powiedziała Patsy, gdy odjeżdżały sprzed domu konstabla, kierując się w stronę centrum. - Nie pamiętasz go, prawda?

- Nie, Patsy, żałuję, ale nie. Meredith westchnęła. - Przypuszczam, że postarałam się o nim zapomnieć. Gdybym tylko mogła przypomnieć sobie tamte dni bardziej dokładnie, lecz nie potrafię. Miewam przebląski pamięci, takie jakie zdarzają się ludziom cierpiącym na amnezję, ale to wszystko.

- Spróbuj nie martwić się na zapas. Jestem pewna, że w sklepie dowiemy się czegoś więcej.

- A ja wcale nie jestem tego taka pewna. Naprawdę, Patsy, wydaje mi się, że gonimy za cieniem. To wszystko zdarzyło się trzydzieści osiem lat temu... moja matka z pewnością nie pracuje dalej w Paris Modes. I przekonana jestem, że nie ma tam już nikogo, kto mógłby ją pamiętać.

- Nie możesz wiedzieć tego na pewno, Meredith. Najlepiej będzie, jeżeli pojedziemy do tego sklepu, zadamy kilka pytań. Może ktoś będzie pamiętał Kate Sanderson i naprowadzi nas na jakiś ślad.

- Oczywiście, możemy tam pojechać, lecz czy nie przyszło ci na myśl, że moja matka może w ogóle nie mieszkać w Yorkshire? Mogła dokądś się przeprowadzić. Prawdę mówiąc, mogła się przenieść dokądkolwiek. Poza Yorkshire jest przecież cały, wielki świat.

- Wiem, o czym myślisz, moja droga, lecz sądzę, że nie masz racji. Mam takie przeczucie, jeśli chcesz, możesz nazwać to intuicją, że twoja matka jest gdzieś bardzo blisko. Zobaczysz, że ją znajdziemy.

Meredith nie odezwała się i Patsy spojrzała na nią ukradkiem. Serce ścisnęło się jej na widok smutnej twarzy przyjaciółki.

Przez chwilę w milczeniu prowadziła samochód, a potem odezwała się: - Nie jestem pewna, jak w Leeds

wygląda sprawa parkowania. Chyba najlepiej będzie, jeżeli pojedziemy do hotelu Queens i tam zostawimy samochód na hotelowym parkingu. To niedaleko dworca, i tylko kilka minut piechotą do Commercial Street.

- Zrób, jak uważasz. Nie pamiętam Commercial Street. Tylko Leeds Market.

Lecz kiedy w dwadzieścia minut później szły tą ulicą, Meredith nagle zatrzymała się i mocno chwyciła Patsy za ramię.

- Gdzieś w pobliżu musi być Marks i Spencer. Przypomniałam sobie... pamiętam, że matka lubiła tam chodzić. Kupowała mi u Marksa bieliznę. - Meredith zobaczyła siebie, jak idzie ulicą, trzymając mocno matkę za rękę.

Powiedziała do Patsy: - Prawie zawsze kupowała mi lody. Pewnego razu potknęłam się i upuściłam rozek. Było mi tak przykro, że się rozplakałam. Pamiętam, jak mnie uspokajała... i dała mi swoje lody...

- Widzisz, przypominasz sobie coraz więcej - stwierdziła Patsy, najwyraźniej zadowolona. - A oto i Paris Modes. Jesteśmy na miejscu.

Patsy pchnęła drzwi i obie znalazły się we wnętrzu eleganckiego sklepu. Natychmiast podeszła do nich młoda kobieta w schludnej czarnej sukience.

- Czym mogę służyć? - spytała z uśmiechem. - Mamy kilka wspaniałych nowości prosto z Paryża.

- O, tak. Widzimy, że macie śliczne rzeczy, naprawdę bardzo eleganckie. Lecz my nie chcemy niczego kupować. Prawdę mówiąc, chcielibyśmy zobaczyć się z kierowniczką.

- Nie mamy kierowniczki - odparła młoda kobieta. - Właścicielką sklepu jest pani Cohen, która osobiście zajmuje się interesami.

- Rozumiem. A czy ją zastałyśmy? Chciałyśmy prosić o chwilę rozmowy.

Młoda sprzedawczyni skinęła głową. - Pójdę jej poszukać, powinna być w biurze.

W chwilę później z mieszczącego się na zapleczu biura wyszła elegancko ubrana kobieta około pięćdziesiątki.

- Gilda Cohen - powiedziała, wyciągając dłoń.

- Miło mi panią poznać, pani Cohen. Jestem Patsy Canton, a to moja przyjaciółka, pani Stratton.

- Bardzo mi miło, pani Stratton - powiedziała Gilda Cohen, ściskając dłoń Meredith.

Meredith uśmiechnęła się do niej. - Pani Cohen, poszukuję kogoś, kogo być może pani знаła. Kobiety, która pracowała tu kiedyś, dawno temu, obawiam się, że na wiele lat przed panią.

- A kogo pani poszukuje?

- Mojej matki. Pracowała tutaj pod koniec lat pięćdziesiątych lub na początku sześćdziesiątych. Nazywała się, lub raczej nazywa, Kate Sanderson. Rozdzielono nas, gdy byłam mała i w dzieciństwie zawsze myślałam, że ona umarła. Lecz ostatnio zyskałam pewien powód, by przypuszczać, że nadal żyje. Chcę ją odnaleźć.

- Oczywiście pani Stratton, to zupełnie zrozumiałe. Tak, Kate Sanderson pracowała tu za czasów mojej matki, po której odziedziczyłam sklep. Byłam wówczas w college'u, lecz znałam panią Sanderson, choć niezbyt dobrze. Urocza kobieta. Moja matka także bardzo ją lubiła i bardzo żałowała, gdy Kate zdecydowała się odejść.

- Kiedy to było? - spytała Meredith.

- Chyba w połowie lub pod koniec lat sześćdziesiątych. Ale nie stójmy tutaj na środku sklepu. Chodźmy do biura i usiądźmy. Czy mogę zaproponować paniom filiżankę kawy?

- Dziękuję, nie - powiedziała Meredith.

Patsy też odmówiła i obie kobiety poszły za Gildą Cohen do biura. Usadowały się na kanapie i popatrzyły na Gildę, która usiadła za biurkiem. - Jak już mówiłam, moja matka bardzo polubiła Kate, można powiedzieć, że wzięła ją pod swoje skrzydła i kontaktowała się z nią nawet już po jej odejściu ze sklepu.

- Czy wie pani, gdzie wówczas pracowała?

- Tak, wiem. Wróciła do swego rodzinnego miasta, Harrogate i przyjęła posadę u Jaegera. Matka powiedziała mi kiedyś, że Kate nie czuła się szczęśliwa w Leeds. Nazywała ją swoim „ptakiem ze złamanym skrzydłem”, choć nie wiem dlaczego. Ja młodo wyszłam za mąż i niedługo urodziłam dziecko, nie pracowałam więc wówczas w sklepie. Nie znałam jej aż tak dobrze. Lecz z pewnością wywarła duże wrażenie na mojej matce, na innych zresztą także. Wszyscy dobrze się o niej wyrażali.

Meredith westchnęła. - Nie przypuszczam, by nadal pracowała u Jaegera. A co pani o tym sądzi, pani Cohen?

- Och, ja wiem, że już tam nie pracuje. Została u Jaegera tylko przez parę lat, a potem znów się przeniósła. Słyszałam od matki, że prowadzi w Harrogate elegancki butik z modelowymi ciuchami, zwany Place Vendôme. - Gilda wyprostowała się na krześle. - Gdyby żyła moja matka, mogłaby powiedzieć wam o wiele więcej.

Meredith popatrzyła na panią Cohen ze współczuciem. - Przykro mi, że straciła pani matkę.

- Tak, to smutne przeżycie dla nas wszystkich. Lecz miała wspaniałe życie i dożyła dziewięćdziesiątki, nie chorując przy tym ani jednego dnia.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem Patsy powiedziała: - Czy Kate Sanderson nadal tam pracuje?

- Nie wydaje mi się. Słyszałam, że się zwolniła i w ogóle wyjechała z Harrogate.

- Jeszcze jedna ślepa uliczka - powiedziała Meredith zniechęcona.

- Mogłabym zadzwonić do właścicielki butiku, Annette Alexander, może ona ma jakiś adres Kate - zaoferowała się Gilda.

- Och, naprawdę, mogłaby pani? Nie będzie to zbyt niemiły kłopot? - spytała Meredith. - Bo jeśli tak, to mogłybyśmy same podjechać do Harrogate. - Spojrzała na zegarek. - Jest dopiero wpół do piątej.

- Tak - dodała Patsy. - Możemy wpaść tam w drodze powrotnej do Ripon. I tak będziemy przejeżdżać przez Harrogate.

- Ależ nie, wszystko w porządku. Zaraz do niej zadzwonię, to żaden kłopot. - Gilda Cohen sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer butiku.

- Halo, mówi Gilda Cohen, czy zastałam panią Alexander?

Przez chwilę słuchała, a potem zakryła słuchawkę dłonią i powiedziała: - Poszli jej poszukać, właśnie żegna się z klientką. Halo, to ty, Annette, jak się masz?

Znowu przez chwilę słuchała, po czym powiedziała:

- Mam tu dwie młode damy, które poszukują Kate Sanderson. Wiem, że odeszła od was kilka lat temu, lecz może macie przypadkiem jej adres lub numer telefonu? - Nastąpiła następna krótka cisza, a po niej okrzyk: - Och, doprawdy! Chwileczkę, zaraz zapytam.

Ponownie zakryła dłonią słuchawkę i powiedziała:

- Pani Alexander mówi, że matka pani odeszła z pracy i wyszła za mąż. Nie może sobie jednak przypomnieć nazwiska tego mężczyzny. Pyta, jak mogłaby się z panią skontaktować, gdyby je sobie przypomniała.

- Zatrzymaliśmy się w Skell Garth House w Ripon - powiedziała Patsy. - Numer telefonu: Ripon 42900.

Gilda Cohen przekazała informacje pani Alexander, podziękowała jej i odłożyła słuchawkę. Spoglądając prosto na Meredith, powiedziała: - Gdyby żyła moja matka, bardzo by ją ucieszyła ta wiadomość. Zawsze uważała, że Kate jest strasznie smutna i twierdziła, że musiała spotkać ją jakaś tragedia.

- Bardzo nam pani pomogła - powiedziała Meredith ciepło, podnosząc się. - Dziękujemy bardzo.

- Tak, bardzo pani dziękujemy - dodała Patsy, która także zdążyła już wstać.

- Zrobiłam to z przyjemnością. Żałuję tylko, że nie mogę zrobić nic więcej, by pomóc pani odnaleźć matkę, pani Stratton. Annette to bardzo odpowiednia osoba i jestem pewna, że zadzwoni, jeśli tylko zdoła sobie przypomnieć nazwisko mężczyzny, za którego wyszła pani matka.

- Mam nadzieję, że jej się to uda.

Gilda Cohen odprowadziła je do wyjścia i pożegnała się z nimi. Kiedy już stały w drzwiach, powiedziała: - Bardzo chciałabym się dowiedzieć, czy odnalazła pani Kate, pani Stratton. Moja matka tak bardzo ją lubiła.

- Będziemy w kontakcie - obiecała Meredith.

- Dlaczego o tym nie pomyślałyśmy - mruknęła Patsy, kiedy wracały powoli Commercial Street. - Przecież to takie oczywiste. Była młodą kobietą, i mówiłaś, że ładną.

- Bardzo ładną. Właściwie piękną - Meredith wsunęła rękę pod ramię Patsy i powiedziała: - Nigdy jej nie znajdziemy. To jeszcze jedna ślepa uliczka.

- Nieprawda! - krzyknęła Patsy. - Wręcz przeciwnie. Zaraz rano zadzwonię do biura, do Valerie i poproszę ją,

by poszła do St. Catherine's House. Przechowują tam z pewnością także odpisy aktów ślubu. Dowiemy się, za kogo wyszła twoja matka.

Meredith natychmiast poweselała. - Doskonały pomysł! Zadzwońmy do niej od razu!

- Nie ma jej dzisiaj w biurze. Nie pamiętasz, wybierała się na weekend do Mediolanu? Wróci dopiero wieczorem.

- Jesteś pewna, że mają tam akty ślubu? - spytała Meredith już spokojniejszym głosem, gdy przechodziły przez City Square.

- Jestem o tym przekonana. Przecież to centralny rejestr narodzin, zgonów i małżeństw. - Patsy umilkła na chwilę, po czym dodała: - Tak sobie pomyślałam, może powinniśmy pójść także do sierocińca doktora Barnardo i spróbować tam czegoś się dowiedzieć. Oni mogliby rzucić nieco światła na to, co przydarzyło się tobie i twojej matce.

Meredith spojrzała na nią krzywo. - Nie ma mowy. Znam te miejsca. Nigdy tam niczego nie mówią, zasłaniają się koniecznością utrzymania tajemnicy. Pójdę tam tylko w ostateczności. Zacisnęła usta w cienką linię.

Patsy zerknęła na nią i postanowiła nie nalegać. W drodze powrotnej do Ripon mówiła o błahostkach, pragnąc oderwać Meredith od rozmyślań na temat matki. I sierocińców.

W pewnej chwili zaśmiała się niespodziewanie i powiedziała: - Wiesz, Meredith, jesteś doprawdy okropna.

- Co masz na myśli?

- Gdy tylko dowiedziałyśmy się, kim jest Eunice Morgan, poddałyśmy ją istnemu przesłuchaniu, a potem znikłyśmy, popędziłyśmy na poszukiwania twojej matki. Biedna kobieta pewnie uważa nas za wariatki. Przecież

nawet nie skończyliśmy rozmawiać z nią o pracy.

- Uświadomiłam to sobie parę minut temu. A właśnie, co sądzisz o zatrudnieniu Eunice?

- Jestem absolutnie za. Myślę, że jest o wiele lepsza od pozostałych. Lloyd Bricker wydał mi się aroganckim snobem, a pani Jones nie zrobiła na mnie szczególnego wrażenia.

- Moim zdaniem to pułapka na naiwnych - powiedziała Meredith. - I zgadzam się z tobą co do Lloyd'a. Więc zatrudniamy Eunice, tak? Na pewno będzie dobrym szefem. Przekonałyśmy się, jak gotuje - Meredith uśmiechnęła się lekko. - Z pewnością nie przypała już potraw, jak często jej się zdarzało, gdy byłam dzieckiem.

Patsy roześmiała się, zadowolona, że Meredith powróciło dawne poczucie humoru.

Telefon zadzwonił następnego ranka.

Meredith i Patsy siedziały właśnie w jadalni. Jadły śniadanie i przeglądały notatki dotyczące gospody, gdy Claudia Miller podeszła szybko do ich stolika.

- Przepraszam, telefon do pani, Meredith. Jakaś pani Alexander.

Kobiety wymieniły zaskoczone spojrzenia i Meredith natychmiast wstała. - Dziękuję, Claudio. Odbiorę tutaj, przy drzwiach.

- Dobrze, zaraz przełączę.

W chwilę później Meredith mówiła już: - Halo, tu Meredith Stratton.

- Dzień dobry pani, mówi Annette Alexander. Mam nadzieję, że nie zadzwoniłam zbyt wcześnie.

- Och, nie, oczywiście, że nie.

- Pomyślałam, że lepiej zadzwonię od razu. Właśnie otrzymałam pewną informację, która mogłaby pani pomóc.

Wczoraj przez cały wieczór wysilałam umysł, próbując przypomnieć sobie, jak nazywał się ten mężczyzna, ale bez powodzenia. A potem uświadomiłam sobie, że moja siostra może wiedzieć, kim on jest. Pracowała dla mnie w Place Vendôme w tym samym okresie, co Kate Sanderson. Tak czy inaczej, zadzwoniłam do niej wczoraj wieczorem, lecz nie zastałam jej. Zostawiłam wiadomość i właśnie przed chwilą do mnie zadzwoniła. Podobno Kate poślubiła mężczyznę o imieniu Nigel. Siostrze wydaje się, że jego nazwisko brzmi Grange lub Grainger. Był weterynarzem w Middleham. Wiem, że to niezbyt dokładne dane, lecz może pomogą.

- Z pewnością pomogą, dziękuję pani bardzo, pani Alexander. A przy okazji, może mogłabym zapytać o coś jeszcze? Czy pamięta pani, kiedy Kate Sanderson opuściła Place Vendôme?

- Odeszła od nas na początku lat siedemdziesiątych.

- Rozumiem, i jeszcze raz dziękuję.

- Cieszę się, że mogłam pomóc i proszę przekazać Kate moje najlepsze życzenia, jeśli ją pani odnajdzie.

- Odnajdę. Do widzenia, pani Alexander - Meredith odłożyła słuchawkę i powróciła do stolika.

Patsy spojrzała na nią pytająco, unosząc brew. - I co?

Meredith odetchnęła głęboko, a potem powiedziała: - Zgodnie z tym, co mówi pani Alexander, moja matka wyszła za mąż za człowieka imieniem Nigel, którego nazwisko brzmiało Grange lub Grainger i który jest, lub był, weterynarzem. Na początku lat siedemdziesiątych, gdy matka odeszła z pracy, mieszkał w Middleham. A raczej, mieszkali.

- Middleham! Dobry Boże, Meredith, to tuż obok!

Middleham to mała wioska na wrzosowiskach, o pół

godziny drogi od Ripon. A widzisz, mówiłam ci, że mam przecucie, iż twoja matka jest gdzieś w pobliżu.

- Nie wiemy, czy nadal tam jest. Od tego czasu mogło wydarzyć się wiele rzeczy: mogła się rozwieść i wyjechać.

- Zaraz się dowiem, czy on tu jeszcze mieszka - krzyknęła Patsy z zapalem, zrywając się na równe nogi. - Poszukam jego nazwiska w miejscowej książce telefonicznej. Jeżeli rzeczywiście jest weterynarzem, nietrudno będzie go znaleźć.

Meredith oparła się wygodnie na krześle i obserwowała, jak Patsy z determinacją przemierza pokój. Ilekolwiek trudu by to kosztowało, jej przyjaciółka zdecydowana była odnaleźć Kate Sanderson. I jaką wspaniałą okazała się przyjaciółką! Meredith zdawała sobie sprawę, że bez niej czułaby się o wiele bardziej zagubiona.

Po chwili Patsy, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona, była już z powrotem przy stoliku. Usiadła, spojrzała na trzymany w ręku świstek papieru i powiedziała: - Nazywa się Grainger, nie Grange, i nadal mieszka w Middleham. W Tan Beck House. A tu jest jego numer telefonu.

Meredith wzięła papier i spojrzała na niego, a potem podniosła wzrok Patsy. - Dziękuję ci - powiedziała i znowu spojrzała na papier. - Teraz, kiedy już wiem, że ona może być tylko o kilka mil stąd, czuję się jakoś dziwnie.

- Obawiasz się spotkania z nią? - spytała Patsy, marszcząc brwi.

- Prawdę mówiąc, tak.

- Pojadę z tobą do Tan Beck House.

- Dziękuję, Patsy, lecz chyba powinnam pojechać tam sama.

- Czy nie powinnaś najpierw zadzwonić?

- Chyba nie. W pewnym sensie chciałabym stanąć z nią twarzą w twarz, zanim dowie się, kim jestem. Jeśli zadzwonię, będę musiała coś jej powiedzieć.
- Masz rację. Rób, jak uważasz.

24

Serce Meredith biło mocno, kiedy zbliżała się ścieżką w stronę frontowych drzwi Tan Beck House.

Ostatnie pół godziny spędziła siedząc w samochodzie Patsy i zbierając siły, by wyruszyć na spotkanie Kate Sanderson.

Im dłużej siedziała, tym bardziej rosło jej zdenerwowanie, włączyła więc w końcu silnik i skierowała się na drogę do Middleham.

Wysiadła z samochodu i prawie w tej samej chwili dojrzała uroczy, stary kamienny dom, solidny, lecz niezbyt wielki. Był to właśnie ten rodzaj domu, w jakim mógł mieszkać lekarz, adwokat czy weterynarz. Budynek był dobrze utrzymany, miał świeżo pomalowane na biało drzwi i błyszczące czystością okna z ładnymi, koronkowymi zasłonami. Po jednej stronie wyłożonej kamiennymi płytami ścieżki pojedynczy rząd wiosennych kwiatów przydawał życia i barw pustym o tej porze roku rabatkom.

Stała w końcu przed frontowymi drzwiami i ujęła w dłoń kołatkę z brązu. Omal nie zawiodły ją nerwy. Wzięła głęboki oddech i kilka razy mocno uderzyła kołatką.

Drzwi otwarły się niemal natychmiast i w progu stała dość młoda, ciemnowłosa kobieta, ubrana w szary

sweter, pasujące do niego spodnie i fartuszek w zielone paski.

- Czym mogę służyć? - spytała.

- Chciałabym zobaczyć się z panią Grainger. Panią Nigelową Grainger. Czy ją zastałam?

Młoda kobieta skinęła głową. - Czy ona pani oczekuje?

- Nie.

- To kogo mam zaanonsować?

- Nazywam się Stratton. Meredith Stratton. Pani Grainger mnie nie zna, jestem przyjaciółką przyjaciół. Mam nadzieję, że mogłaby mi pomóc w pewnej sprawie.

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedziała kobieta i zostawiwszy drzwi szeroko otwarte, pośpieszyła w głąb domu po doskonale wyfroterowanej podłodze.

Po kilku sekundach wróciła, otworzyła drzwi jeszcze szerzej i powiedziała: - Pani Grainger zobaczy się z panią. Przyjdzie za chwilę, rozmawia przez telefon. Zaprowadzę panią do saloniku.

- Dziękuję - powiedziała Meredith, wchodząc do przedpokoju i postępując za młodą kobietą. Rozglądała się przy tym szybko, pragnąc zobaczyć jak najwięcej.

Zauważyła stojący w rogu ładny stary zegar oraz kolekcję biało-niebieskiej porcelany, efektownie wyeksponowaną na blacie dębowej konsoli.

Kobieta wprowadziła ją do salonu, zachęciła do rozgoszczenia się i znikła.

Meredith stała na środku pokoju, myśląc o tym, jaki jest przytulny, uderzona ciepłem i urokiem pomieszczenia. Średniej wielkości, umeblowany ze smakiem salonik miał pomalowane na czerwono ściany, z których dwie aż po sufit zastawione były regałami z książkami. Stolarka,

pomalowana ręcznie na kolor ciemnokremowy, z powodem udawała marmur, a przed kamiennym kominem leżał czerwono-niebieski, orientalny dywanik. Po między wysokimi oknami stało stare biurko, ustawione przodem do okien, wychodzących na ogród z tyłu domu i mały trawnik. Dalej widać już było tylko faliste wrzosiwiska, a ponad nimi nieskończony błękit nieba, usianego białymi, pędzonymi przez wiatr obłokami.

Odgłos kroków sprawił, że Meredith odwróciła się od okna. Wstrzymała oddech czekając, aż pani Nigelowa Grainger otworzy drzwi.

Na widok kobiety, która weszła do pokoju, serce Meredith zamarło. Nie była to już ta piękna młoda mama o złotorudych lokach i jasnoblękitnych oczach, o której śniła w dziecięcych marzeniach.

Pani Grainger musiała niedawno przekroczyć sześćdziesiątkę. Miała na sobie beżowe sztruksowe spodnie, białą bluzkę i granatowy blezer. Wyglądała jak typowa wiejska matrona.

Kobieta przez chwilę stała niepewnie w progu, spoglądając pytająco na Meredith. - Pani Stratton?

- Tak, dzień dobry, pani Grainger... Mam nadzieję, że wybaczy mi pani to najście, lecz przyszedłam do pani, ponieważ miałam nadzieję, że będzie pani mogła mi pomóc.

- Nie mam pojęcia jak, ale spróbuję - powiedziała pani Grainger, nadal nie ruszając się od drzwi. - Jest pani Amerykanką, prawda?

Meredith przytaknęła. - Pani Grainger, pozwoli pani, że przejdę od razu do rzeczy. Poszukuję kobiety o nazwisku Kate Sanderson. Annette Alexander z Place Vendôme w Harrogate powiedziała mi, że pani może być tą osobą. Czy to prawda?

- No cóż, tak. Jestem Katharine Sanderson Grainger i rzeczywiście pracowałam kiedyś w butikku Place Vendôme,

jeszcze przed zamążpójściem. - Kate zmarszczyła brwi, a na jej twarzy znowu pojawił się ów pytający wyraz. - Ale dlaczego pani mnie szuka?

Meredith była potwornie stremowana. Nie miała pojęcia, jak powiedzieć Kate, kim jest i nagle zupełnie zabrakło jej słów. W końcu powiedziała tylko drżącym ze zdenerwowania głosem: - Chodzi o... o... chodzi o Mari.

Kate Grainger wyglądała teraz, jakby ktoś nagle uderzył ją w twarz, i to mocno. Drgnęła i nadal wpatrzona w Meredith, kurczowo uchwyciła się framugi drzwi.

Kiedy po krótkiej chwili udało jej się trochę odzyskać równowagę, spytała głosem pełnym napięcia:

- Co z Mari? Czego pani ode mnie chce? Co chce mi pani powiedzieć o Mari?

- Ja... ja ją znałam.

- Znała pani moją Mari? - krzyknęła Kate z entuzjazmem, niemal bez tchu. Postąpiła krok do przodu.

Meredith widziała ją teraz lepiej. Zauważyła żywy błękit oczu, nagle wypełnionych łzami, rudawozłote włosy, nieco wyblakłe i poprzecinane tu i ówdzie pasmami siwizny. Rozpoznawała tę kochaną, znajomą twarz, zmienioną przez czas, lecz mimo to ciągle uroczą. Wiedziała z absolutną pewnością, że jest to jej matka. Serce jej się ścisnęło, opanowało ją niepokohamowane drżenie. Pragnęła podejść do Kate, otoczyć ją ramionami, lecz nie śmiała tego uczynić. Bała się... że znowu zostanie odrzucona... że Kate nie będzie jej chciała.

- Znała pani moją Mari - powtórzyła Kate. - Proszę mi o niej opowiedzieć, och, proszę...

Niezdolna wypowiedzieć słowa, z uczuciem, jakby się dusiła, Meredith tylko skłoniła głowę.

- Gdzie? Gdzie poznała pani moją małą Mari? Och, proszę, proszę mi opowiedzieć, pani Stratton, proszę - błagała Kate.

- W Australii - wydusiła w końcu.

- W Australii - głos Kate wyrażał najwyższe zdumienie. Cofnęła się, otwierając szeroko oczy.

- W Sydney - Meredith utkwiała spojrzenie w Kate, najwidoczniej bardzo zdziwionej i zaintrygowanej.

- Bardzo panią kochała - powiedziała Meredith ledwie słyszalnym szeptem.

Kate wyciągnęła rękę i mocno uchwyciła się poręczy krzesła. - To zabrzmiało tak, jakby ona... mówiła pani o niej w czasie przeszłym. Lecz ona chyba... nie umarła, prawda?

- Nie, nie umarła.

- Och, Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknęła Kate z ulgą. - Przez wszystkie te lata co dzień modliłam się za nią. Modliłam się, by była zdrowa i bezpieczna. Proszę mi coś powiedzieć, pani Stratton... Czy ona panią do mnie przysłała? Przysłała panią, żeby mnie pani odnalazła?

- Tak.

- Gdzie jest moja Mari? Och, proszę, proszę mi powiedzieć. - Kate z trudem panowała nad uczuciami, które odbijały się na jej ściągniętej z napięcia twarzy. Kim była ta kobieta, która przyniosła jej wieści o Mari? O ukochanym dziecku, które tak dawno temu straciła? Zaczęła drżeć.

Meredith podeszła bliżej. Twarz Kate wyrażała takie cierpienie, że Meredith nie mogła dłużej wątpić w jej szczerłość.

Gwałtownie szukała w pamięci słów, którymi mogłaby wyjaśnić, kim jest naprawdę.

W końcu, nie znajdując innego sposobu, podeszła jeszcze bliżej Kate, spojrzała jej prosto w oczy i zanim

zdołała się powstrzymać, powiedziała: - Mamo... to ja... Mari...

Kate przez chwilę nie mogła dobyć głosu, a kiedy wreszcie się jej to udało, wykrzyknęła tylko: - O mój Boże, Mari, czy to naprawdę ty?

Chwyliła Meredith za rękę i pociągnęła ją w stronę okna. - Niech ci się przyjrzę. Czy to naprawdę ty, Mari, po wszystkich tych latach? - Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła dłonią twarzy Meredith. - Czy to naprawdę ty, kochanie?

Łzy trysnęły jej z oczu i potoczyły się po policzkach.

- Och, Mari, Mari, wreszcie do mnie wróciłaś. Moje modlitwy zostały wysłuchane.

Meredith także płakała. I dwie kobiety, rozdzielone przed blisko czterdziestu laty, padły sobie w ramiona i przytuliły się do siebie mocno.

Kate łkała, jakby zaraz miało jej pęknąć serce.

- Czekałam na ten dzień od ponad trzydziestu ośmiu lat, modliłam się o niego, błagałam Boga, by nastąpił. Lecz w końcu straciłam nadzieję, że jeszcze cię kiedykolwiek zobaczę.

Matka i córka stały tak przez dłuższą chwilę, trzymając się wzajemnie w objęciach, czerpiąc pociechę ze swojej obecności i przelewając łzy smutku i radości... smutku z powodu przeszłości i wszystkich tych lat, które straciły... radości, że znowu są razem, połączone, nim będzie za późno.

Siedziały na małej kanapce w bibliotece, a przed nimi stała taca z herbatą i kanapkami. Lecz żadna z nich nawet nie tknęła kanapek zrobionych przez Nellie, młodą gospodynię.

Trzymając się za ręce, przyglądały się sobie, wypatrując podobieństw, a na ich twarzach widniał ten specyficzny

rodzaj zdumienia, jakie przeżywa matka, gdy patrzy na swoje nowo narodzone dziecko. I w pewien sposób Mari była tego dnia dla Kate takim nowo narodzonym dzieckiem.

- Nigdy nie pogodziłam się z moją stratą - powiedziała Kate cicho, a w głosie jej pobrzmiwał smutek wszystkich tych ponurych lat, spędzonych z dala od ukochanego dziecka. - Myślałam o tobie codziennie, Mari, zastanawiałam się, jak ci się wiedzie, tęskniłam za tobą i za tym, by wziąć cię w ramiona.

Meredith zajrzała głęboko w te cudowne oczy. - Wiem, mam, wiem. To samo było ze mną, zwłaszcza gdy byłam bardzo mała. Zawsze zastanawiałam się, dlaczego odesłałaś mnie tak daleko, dlaczego mnie nie chciałaś. Nigdy tego nie zrozumiałam. - Meredith otarła dłonią łzy. - Jak to się stało, że mnie... straciłaś? I że nas rozdzielono?

- To było straszne, a zaczęło się od sierocińca doktora Barnardo... pamiętasz ten dzień, kiedy miałaś pięć lat i znalazłaś mnie nieprzytomną na podłodze kuchni?

- O, tak, poszłam sprowadzić konstabla O'Shee.

- A on zadzwonił po karetkę. Zabrano mnie do szpitala, a ciebie umieszczono w sierocińcu. Nigdy go za to nie winiłam, nie wiedział, co robić, nie miałam przecież żadnej rodziny. Tak czy inaczej, spędziłam w szpitalu blisko sześć tygodni. Gdy tylko nieco stanęłam na nogi, odebrałam cię i mieszkaliśmy dalej razem w Hawthorne Cottage. Lecz niemal w rok później, w 1957, rozchorowałam się ponownie. Tym razem sama zaprowadziłam cię do sierocińca. Nie było nikogo innego, komu mogłabym cię powierzyć. Doktor Robertson martwił się o mnie, chciał, bym poszła do szpitala i poddała się pewnym badaniom. To właśnie tam okazało się, że mam gruźlicę. Najwidoczniej

choroba, utajona przez szereg lat, nagle się ujawniła, a sprzyjały temu niedożywienie, troski, stres i zmęczenie. Gruźlica jest bardzo zaraźliwa, więc nie mogłam przebywać w pobliżu ciebie, Mari, dla twego bezpieczeństwa. Lekarze ze szpitala w Leeds wysłali mnie do szpitala w Seacroft, niedaleko Killingbeck, gdzie poddano mnie kuracji, a następnie sześciomiesięcznej kwarantannie. - Kate umilkła, uściśniła mocno dłoń Meredith i zajrzała jej głęboko w oczy. - Przez cały czas pisałam do ciebie, Mari. Nie otrzymałaś żadnej z tych wiadomości?

- Nie - Meredith odwzajemniła badawcze spojrzenie matki. - Dlaczego nie odebrałaś mnie, kiedy poczułaś się lepiej? - spytała, starając się usunąć z głosu odcień urazy.

- Ależ ja chciałam to zrobić! Gdy tylko wypuścili mnie ze szpitala Seacroft. Moje zdrowie poprawiło się, przestałam prątkować, przyjmowałam antybiotyki. Streptomycynę. Lecz ciebie już w sierocińcu nie było. Powiedzieli mi, że zostałam adoptowana. To był dla mnie szok. Byłam oszołomiona i rozgniewana. Nie wiedziałam, jak cię odnaleźć. Nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc, nie miałam rodziny ani pieniędzy. To było niczym walenie głową w mur. Nikt nie chciał mi nic powiedzieć i nie było sposobu, by cię odzyskać.

Kate potrzęsnęła ze smutkiem głowę i wyciągnęła chusteczkę, by otrzeć łzy. - Byłam zupełnie bezsilna, Mari, i to doprowadzało mnie do szaleństwa. Nigdy nie pozbyłam się tego gniewu, jest ciągle we mnie, choć głęboko ukryty. Dręczy mnie od lat. To, co się stało, zniszczyło mi życie. Nigdy nie doszłam do siebie po utraceniu ciebie, nigdy nie byłam szczęśliwa, nie zaznałam prawdziwego spokoju. Zawsze o tobie myślałam, martwiłam się. Żyłam wyłącznie nadzieją, że pewnego dnia dorośniesz i będziesz chciała poznać swoją prawdziwą matkę, i wtedy

spróbujesz mnie odszukać.

Meredith, poruszona do łez słowami Kate, wykrzyknęła: - Ale mnie nikt nie adoptował! Okłamali cię. Wsadzili mnie na statek z mnóstwem innych dzieci i wysłali do Australii. Umieszczono mnie w sierocińcu w Sydney.

- W sierocińcu! - Kate była zdumiona. Patrzyła na Meredith coraz bardziej przerażona, w miarę jak okrutna prawda torowała sobie drogę do jej umysłu.

- Kto to wymyślił? Po co było zabierać cię z sierocińca w Anglii, by potem wysłać do innego, na drugim końcu świata? I po co? - Przymknęła na chwilę oczy, a potem powiedziała gwałtownie: - Powiedzieli mi, że zostałeś adoptowana przez miłą rodzinę i mieszkasz w innym mieście, w Anglii. To była dla mnie jedyna pociecha... że żyjesz wśród ludzi, którzy troszczą się o ciebie, kochają cię i są dla ciebie dobrzy. A teraz ty mi mówisz, że w ogóle nie zostałeś zaadoptowany.

Kate drżała na całym ciele.

Meredith objęła ją, próbując uspokoić, a potem wyjaśniła: - Właściwie to zostałam adoptowana, lecz oczywiście w Sydney, nie w Anglii. Gdy miałam osiem lat. Lecz po dwóch latach Strattonowie zginęli w katastrofie samochodowej. Nie byli to mili ludzie. Siostra pani Stratton umieściła mnie z powrotem w sierocińcu.

Kate zeszytniała nagle i mocniej ujmując dłoń Meredith, zapytała z obawą w głosie: - Ale Strattonowie cię nie skrzywdzili, prawda? Nie wykorzystali cię?

- Nie, nic z tych rzeczy. Lecz nie byli to ludzie nazbyt uczuciowi ani uprzejmi - odparła Meredith, a potem, wpatrując się w Kate z zakłopotaniem, spytała: - Jeżeli

nie udzieliłaś im zgody na wysłanie mnie do Australii, jak mogli tego dokonać? Rozumiem, że zrobili to bez twojej zgody.

- Oczywiście. - Kate odsunęła się nieco i teraz ona przyjrzała się Meredith badawczo. - Zabrzmiało to tak, jakbyś nie wierzyła, że mówię ci prawdę. Ale tak jest, Mari. Musisz mi uwierzyć.

- Nie chodzi o to, że ci nie wierzę. Po prostu nie rozumiem, jak to się mogło stać.

- Ani ja. Nigdy nie udało mi się tego zrozumieć. Wszystkie te lata były jak senny koszmar. - Kate wyjęła rękę z dłoni Meredith i wstała.

Powoli podeszła do biurka, otworzyła szufladę i wyjęła dużą kopertę. Postukując w nią palcem, powiedziała: - Kilka lat temu, pod koniec lat osiemdziesiątych, przeczytałam w „Observerze” pewien cykl artykułów. I to, co przeczytałam, naprawdę mnie przeraziło, o smutku i żalu nie wspominając. W tych artykułach pisano o dzieciach emigrantach, wysłanych bez rodzin do Australii i tam umieszczonych w różnych domach i instytucjach. Modliłam się wówczas, żebyś nie była jednym z tych dzieci. Uczępiłam się myśli, że mieszkasz gdzieś w Anglii, z rodziną, która cię adoptowała. A teraz moje najgorsze obawy okazały się rzeczywistością. - Głos Kate załamał się i wyglądało na to, że zaraz znowu się rozplacze. - Ty byłaś jednym z tych dzieci, Mari.

Walcząc ze łzami, przerwała, a po chwili zapytała cicho: - Powiedziałaś mi prawdę, tak, Mari? Nie zostałaś wykorzystana seksualnie?

- Przysięgam ci, że nie... Naprawdę, mam. Cierpiałam katusze i przez lata wypłakiwałam oczy w poduszkę, tak strasznie za tobą tęskniłam. Moje dzieciństwo było tak bardzo pozbawione miłości. I, oczywiście, musiałam ciężko pracować, wszyscy musieliśmy szorować podłogi,

zmywać góry naczyń. I niezbyt dobrze nas karmiono. Lecz nie byłam wykorzystywana fizycznie czy seksualnie.

- Jedynie psychicznie i uczuciowo - powiedziała Kate z gniewem. - Wysłać ciebie i inne małe dzieci dwanaście tysięcy mil od domu, na drugi koniec świata, po to, by tam umieścić je w innym sierocińcu! To absurdalne.

Kate podeszła do sofy i usiadła, nadal ściskając w dłoni kopertę. W końcu podała ją Meredith.

- Artykuły były zatytułowane „Zaginione dzieci Imperium”. Zatrzymałam je. Możesz je później przeczytać. Zobaczysz, że włosy staną ci dęba. - Potrząsnęła głową. - Nie, oczywiście, że nie... przecież ty przez to przeszłaś... przeżyłaś to, o czym piszą dziennikarze.

- Dlaczego zatrzymałaś te artykuły?

- Sama nie wiem. Jakiś czas później telewizja Granada nakręciła film dokumentalny o dziecięcych emigrantach. Oglądałam go z coraz większym przerażeniem. Bardzo przeżyłam ten film i nigdy nie udało mi się uwolnić od tego, co zobaczyłam.

- A zatem sierociniec doktora Barnardo wysłał mnóstwo dzieci do Australii. Setki. Czy to chcesz powiedzieć?

- Nie, Mari, tysiące. Prawdę powiedziawszy, ponad sto pięćdziesiąt tysięcy. Może nawet więcej, i nie chodzi tu tylko o doktora Barnardo. W to przedsięwzięcie zaangażowanych było też wiele innych szacownych instytucji charytatywnych.

- Na przykład? - spytała Meredith, wpatrując się w Kate.

- Armia Zbawienia, Państwowe Domy Dziecka, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, Towarzystwo Fairbridge i wiele innych instytucji społecznych i charytatywnych, działających

pod egidą Kościołów: katolickiego, anglikańskiego, prezbiteriańskiego i szkockiego.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Meredith, zaskoczona. - To było przedsięwzięcie na olbrzymią skalę!

- Obawiam się, że tak - odparła Kate. - I wiele z tych dzieci, zwłaszcza chłopców, było zmuszanych do pracy w polu pod palącym słońcem, przy różnego rodzaju robotach budowlanych, jak murarka czy budowa sal sypialnych. I często byli straszliwie wykorzystywani seksualnie przez księży. Ich życie było po prostu okropne.

- Ale jak mogło do tego dojść? Dlaczego rząd nie interweniował?

- Rząd brytyjski nie miał najmniejszego zamiaru interweniować. Był przecież w to zaangażowany. A to, co zrobili nam, rodzicom i dzieciom, przechodzi wszelkie pojęcie.

- Było też bezprawne - stwierdziła Meredith. - Czy nikt nie pomyślał o zaskarżeniu brytyjskiego rządu? Miałabym na to wielką ochotę... wszystkie te stracone lata, lata smutku i rozpacz.

- Nie wiem, czy ktoś ich zaskarżył. Kiedy film się ukazał, podniósł się wielki krzyk oburzenia. Wyszedł przecież na jaw olbrzymi skandal i poruszył sumienie narodu. Ludzie byli zbulwersowani. Rząd próbował zaprzeczać, że miał z tym cokolwiek wspólnego, ale nikt w to nie wierzył.

- Ale dlaczego rząd to zrobił?

Kate rzekła pogardliwie: - A czy istnieje łatwiejszy sposób zaludnienia kolonii, niż wysłanie dzieci do odległych zakątków imperium? Postępowano tak od setek lat, a małe dzieci wysyłano aż do 1967.

- To przerażające. I jakie podłe.

Kate przytaknęła głową. - W kopercie znajdziesz też wycinek anonsujący film. Zamieszczono tam numer telefonu, pod który można zadzwonić, aby uzyskać pomoc. Zadzwoniłam do nich, Mari. Tak bardzo się martwiłam, że możesz być jednym z tych dzieci. Chciałam się dowiedzieć, jak matka może odnaleźć dziecko, które zostało wysłane jako emigrant. Powiedziano mi jednak, że to niemożliwe, że matka nie może odnaleźć dziecka. Najwi-
doczniej rodzice i dziecko mogą się połączyć tylko wtedy, jeżeli dziecko postanowi odnaleźć utraconych dawno temu ojca czy matkę.

Kate rozparła się wygodnie na sofie i na moment przymknęła oczy. A potem, spoglądając na Meredith, powiedziała: - Wyrosłaś na piękną kobietę, Mari. Wyglądasz zupełnie jak moja matka. Masz jej rysy i oczy.

Meredith słuchała z tego z zaskoczeniem, lecz szybko szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Nie pamiętam, że-
bym miała babcię.

- Kiedy się urodziłaś, ona już nie żyła. Zginęła pod-
czas nalotu, w czasie wojny. To ojciec mnie wychowywał, gdy tylko został zwolniony z wojska. Umarł, gdy miałam siedemnaście lat.

- A co z moim ojcem? Gdzie on jest?

- On także już nie żyje, Mari. Opuścił nas, gdy miałam osiemnaście miesięcy. Wyjechał do Kanady z inną kobietą. W końcu rozwiodłam się z nim, gdy Nigel zaproponował mi małżeństwo.

- Czy jesteś z nim szczęśliwa?

- Starał się o to, Mari, naprawdę bardzo się starał. Lecz nie żyło się ze mną lekko przez te wszystkie lata. Rozpacz z powodu utraty dziecka do pewnego stopnia zniszczyła moją psychikę... Zwłaszcza chodzi o sposób, w jaki cię straciłam. To nie to samo, co gdybyś umarła. Ja przecież wiedziałam, że gdzieś tam jesteś. Tęskniłam za

tobą... za tym, by cię zobaczyć, dotknąć. Moje serce zostało złamane. Biedny Nigel, musiał stawić czoło tylu problemom... lecz on jest cierpliwy. To dobry człowiek.

- Nie miałaś już więcej dzieci?

- Och, nie. Kiedy wyszłam za Nigela, miałam trzydzieści osiem lat. Może powinnam była, może by mi to pomogło, nie wiem... Nigel był wdowcem, swego czasu przyjaźniłam się z jego żoną, Veronicą. Uroczą kobietą. Umarła na raka, a ja pomogłam Nigelowi jakoś się pozbierać, pocieszałam go, jak umiałam. W pięć lat po jej śmierci oświadczył mi się. Właściwie wychowałam dwóch jego synów, Michaela i Andrew. Pod wieloma względami było to bardzo dobre małżeństwo.

- Cieszę się, że masz Nigela. Zawsze zastanawiałam się... ile miałaś lat, kiedy się urodziłam?

- Dziewiętnaście. Latem ukończę sześćdziesiąt trzy lata, Mari. - Kate westchnęła głęboko. - I wszystkie te lata bez ciebie. Jak mnie odnalazłaś? Zajęło ci to dużo czasu?

- Nie, właściwie nie, kiedy już rozpoczęłam poszukiwania. Lecz zanim opowiem, jak cię odnalazłam, chciałabym zadać ci jeszcze jedno pytanie.

- Pytaj, Mari, możesz pytać o wszystko.

- Czy kiedykolwiek byłam z tobą w opactwie Fountains?

- Tak, kilka razy. To było moje ulubione miejsce. Ponieważ pochodziłam z Harrogate, wiele czasu spędzałam w Ripon. Ale dlaczego pytasz?

- A czy przydarzyło mi się tam coś złego, przerażającego?

- Tak, to tam właśnie źle się poczułam wiosną 1957. Zabrałam cię na piknik i na chwilę straciłam przytomność. Wiem, że bardzo się przestraszyłaś, ponieważ

byłyśmy tam same. W końcu doszłam nieco do siebie i jakoś udało nam się wrócić do Ripon, a stamtąd autobusem do Harrogate, i potem innym do Leeds. To była niedziela, a w następnym tygodniu okazało się, że mam gruźlicę i zapakowano mnie do Seacroft.

- I nigdy cię już nie zobaczyłam, prawda?

- Niestety, tak.

- To wszystko wyjaśnia. - Meredith opowiedziała o swoich doświadczeniach w opactwie i o dziwnym uczuciu *déjà vu*. - Nic dziwnego, że czułam, iż przydarzyło mi się tam coś strasznego i że doświadczałam takiego poczucia straty. I to uczucie doprowadziło do choroby, którą lekarze nazywają wyczerpaniem psychicznym. Moja lekarka wysłała mnie do psychiatry i obie zaczęłyśmy grzebać w mojej przeszłości. Lekarka psychiatra była przekonana, że cierpię z powodu tłumionych wspomnień.

- Chcesz powiedzieć, że stłumiłaś wspomnienia dotyczące mnie?

- Nie, niezupełnie. Pamiętałam niektóre rzeczy. Lecz to, że oderwano mnie od ciebie w taki okrutny sposób, że pozbawiono mnie twojej miłości i troski było dla mnie tak bolesne, że zablokowałam wszystkie wspomnienia. Doktor Benson udało się wprowadzić mnie na właściwą ścieżkę, lecz to moja córka, Catherine ostatecznie wyzwoliła moją pamięć. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Masz córkę i dałaś jej imię po mnie? - wykrzyknęła Kate, a jej twarz rozpromieniła się z radości.

- Ma dwadzieścia pięć lat i jest piękna. Ma twoje oczy. I twoje usposobienie. Prawdę mówiąc, nie zdawałam sobie sprawy, że daję jej imię po tobie... piszemy je przez „C”. Lecz najwidoczniej pamiętałam, że miałaś na imię Kate... Katharine. Tkwiło to w mojej podświadomości.

- A jakie wspomnienia udało jej się odblokować?

- Przed moim wyjazdem do Londynu, tydzień temu, wpadłam do niej, by porozmawiać o ślubie. Zrobiła herbatę, a potem przyniosła salaterkę truskawek i powiedziała do mnie coś, co uruchomiło moją pamięć. Bardzo wyraźnie zobaczyłam twoją twarz, twarz, którą kochałam przez całe życie i za którą tęskniłam. I po prostu wiedziałam, że jest to twarz mojej matki. - Meredith zaczęła płakać, sięgnęła więc po chusteczkę i wysiakała nos.

Oczy Kate także zwilgotniały, kiedy pytała: - A co takiego powiedziała Catherine?

- Tylko kilka słów... „Mam dla ciebie coś specjalnego, mamusiu. Truskawki”. I nagle zobaczyłam twoją twarz, i to ty podawałaś mi truskawki. W tym momencie powróciły także inne wspomnienia, a potem, w samolocie, następne.

Meredith umilkła, osuszyła nos i mówiła dalej:

- Jest coś, co powinnam ci wyjaśnić. Zawsze sądziłam, że nie żyjesz. Tak właśnie powiedzieli mi w sierocińcu doktora Barnardo. Kiedy więc wróciła mi pamięć, zwierzyłam się mojej angielskiej współpracownicy, Patsy Canton. To ona zabrała mnie do centralnego rejestru w Londynie, żeby poszukać twojego świadectwa zgonu. Rozumiesz, chciałam, musiałam odwiedzić twój grób. Pragnęłam odciąć się od przeszłości. Lecz oczywiście nie znaleźliśmy żadnego aktu zgonu, a to oznaczało, że żyjesz. Patsy wpadła na pomysł, by poszukać mojego aktu urodzenia, który mógł zawierać wiele potrzebnych informacji. Metryka doprowadziła nas do Armley i Hawthorne Cottage i choć teraz została już z niego tylko kupa gruzów, zorientowałam się, że kiedyś dobrze znałam to miejsce i znów odzyskałam nieco wspomnień.

- Cieszę się, że odnalazłaś mnie, niedługo mogło być za późno.

- Ja także.

Kate przyjrzała się Meredith z ciekawością i zapytała delikatnie: - Nie nosisz obrączki, czy jesteś rozwiedziona?

- Tak, jestem, masz także wnuka, Jona. Ma dwadzieścia jeden lat, studiuje w Yale. Nie mogę doczekać się waszego spotkania.

- Wnuki - powiedziała Kate z niedowierzaniem. - Mam wnuki. Jak cudownie.

- Jestem z nich bardzo dumna. Wyrosły na porządnym ludzi.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak to się stało, że wyładowałaś w Ameryce.

- To długa historia - odparła Meredith. - Wyjaśnię ci wszystko później. Mamy przed sobą całą resztę życia.

W korytarzu rozległ się odgłos kroków i kiedy Meredith odwróciła głowę, dostrzegła wysokiego, wyglądającego dystygownie mężczyznę, który stał w progu i się im przyglądał.

Kate także odwróciła głowę. Wstała szybko i wykrzyknęła z radością: - Nigel, ona mnie odnalazła. Spełniły się moje modlitwy. Moja Mari mnie odnalazła. Wróciła wreszcie do domu.

- Bogu dzięki - powiedział, wchodząc do biblioteki, by się do nich przyłączyć. Jego twarz przybrała wyraz nieopisanej ulgi.

Meredith wstała i wyciągnęła do niego dłoń.

Ujął ją, po czym bez żadnych wstępów przyciągnął Meredith do siebie i mocno objął ją ramionami. - Teraz Kate zazna wreszcie spokoju ducha - powiedział.

Kiedy się rozdzielili, Meredith zauważyła, że spogląda w jedną z najsympatyczniejszych twarzy, jakie kiedykolwiek widziała.

Nigel Grainger uśmiechnął się do niej ciepło.

- Dziękuję panu - powiedziała. - Dziękuję, że zaopiekował się pan moją matką.

Epilog

Czas przyszły

- A teraz, drogie panie, proszę się uśmiechnąć - powiedział Jon, podnosząc aparat fotograficzny i spoglądając przez obiektyw. - Niezbyt dobrze - mruknął. - Mamo, przysuń się bliżej babci. I ty, Cat, tak samo. Chcę, żeby to zdjęcie było naprawdę ostre.

- Och, pośpiesz się, Jon, chciałabym już pójść poszukać mego uroczego, nowego męża! - wykrzyknęła Cat.

Po jeszcze paru poprawkach Jon zaczął wreszcie robić zdjęcia i w kilka minut wykorzystał cały film.

- No, skończone - zawołał. - I co, Cat, nie było wcale tak źle, prawda? A ja będę miał piękny zestaw fotografii do albumu babci, i dla ciebie także, jeśli będziesz chciała. Trzy pokolenia kobiet. Nigdy nie marzyłem, że dożyję tego dnia.

Cat uśmiechnęła się do niego z miłością. - Jestem pewna, że twoje zdjęcia spodobają mi się o wiele bardziej niż zrobione przez zawodowego fotografa.

Jon także się uśmiechnął i powiedział: - No już, zmykaj, znajdź tego swojego nowego męża, bo za chwilę zaplanuje tu okropny chaos, kiedy ci wszyscy Pearsonowie zaczną roić się wszędzie niczym szarańcza.

- Hej, uważaj, co mówisz - krzyknęła Cat, machając mu przed oczami dłonią ze ślubną obrączką na palcu.

- Pamiętaj, że teraz ja także należę do klanu. - Podeszła, by pocałować go w policzek i powiedziała z uczuciem:

- Dziękuję, że poprowadziłeś mnie do ołtarza, Jon.

- Czy zrobiłem to jak należy, siostrzyczko?

- Byłeś cudowny. - Zaśmiała się ponownie i odpłynęła w obłoku białego jedwabiu i tiulu, kierując się w stronę Keitha, który stał w hallu wejściowym gospody, rozmawiając ze swoim ojcem.

Jon podszedł do Kate i Meredith. - To była wspaniała uroczystość, mamó, a stara stajnia doskonale spisła się jako kościół. Pewnie dlatego, że tak pięknie przystroiłaś ją białym jedwabiem i bukietami białych kwiatów.

- Dziękuję, kochanie, ja także jestem zadowolona z rezultatu moich działań.

Kate powiedziała cicho: - Ceremonia była bardzo wzruszająca. - Uśmiechnęła się do córki i wnuka.

- Muszę się przyznać, że płakałam.

- Większość kobiet płacze na ślubach, babciu.

- Jon uściśnął jej ramię. - A ty jesteś najśłodsza ze wszystkich. Tak się cieszę, że mama cię odnalazła.

- Och, ja także - odparła Kate.

- No cóż, chyba pójdę i wypiję drinka z chłopcami - oznajmił Jon, robiąc ruch, jakby chciał się wymknąć.

- Z chłopcami? - powtórzyła Meredith, unosząc brwi.
- Kogo masz na myśli?

- Luca i Nigela. Właśnie weszli.

Odszedł, pozostawiając Meredith i Kate w pobliżu wejścia do jadalni.

Obie kobiety wyglądały elegancko: Kate miała na sobie ciemnoróżowy wełniany kostium, a Meredith suknię w kolorze zamglonego błękitu i dobrany do niej odcieniem płaszcz. Kiedy stały obok siebie, łatwo było dostrzec, że są matką i córką. Łączyło je wyraźne podobieństwo, choć Meredith była znacznie wyższa.

Był śliczny dzień babiego lata, druga sobota października. Pod czystym, błękitnym niebem liście drzew połyskiwały malowniczo w jaskrawym słońcu, mieniając się wszystkimi odcieniami czerwieni, rudości, różu i złota.

- Nie mogliśmy życzyć sobie piękniejszego dnia - powiedziała Kate, spoglądając przez okno w stronę jeziora. - Doskonała pogoda na ślub.

- Tak, mieliśmy szczęście, choć w Connecticut październik na ogół bywa ładny. - Meredith ujęła matkę pod ramię i poprowadziła do jadalni, powiększonej ze względu na dużą liczbę weselnych gości. - Wejdzmy tu na chwilę, mamo, chciałabym ci coś powiedzieć.

Kate spojrzała na nią, zaniepokojona. - Czy coś się stało? Powiedziałas to takim poważnym tonem...

Meredith potrząsnęła głową. - Nie, chciałam po prostu podziękować ci, że byłaś tu ze mną przez ostatnie dwa tygodnie, i że tak bardzo pomogłaś nam w przygotowaniach do ślubu. Byłaś wspaniała.

- To ja powinnam ci podziękować, Mari - odparła Kate. - Wiesz, nigdy nie będę mogła nazywać cię inaczej, jak tylko Mari.

- Nic nie szkodzi... rozumiem.

- Nigdy nie przypuszczałam, że coś takiego może się jeszcze wydarzyć - mówiła dalej Kate. - Że będę mogła spędzić z tobą tyle czasu. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

- Och, chyba jednak wiem...

- Psujecie mnie, Mari... ty i Nigel. Te wycieczki do Paryża i w dolinę Loary. No i podróż do Nowego Jorku... Odkąd zjawiłaś się w moim życiu, nie spędziłam u siebie nawet tygodnia.

Meredith nie odezwała się, ścisnęła tylko z miłością ramię matki. Bywały chwile, kiedy trudno jej było uwierzyć, że wreszcie ją odnalazła.

Przez chwilę Kate znów spoglądała ku jezioru, a kiedy odwróciła się w stronę Meredith, jej twarz miała zamysłony wyraz. - Cieszę się, że trafiłaś wtedy do Silver Lake. To takie piękne miejsce, równie piękne jak Yorkshire. Widocznie czuwał nad tobą jakiś anioł stróż.

- Chyba tak.

- Miałaś szczęście, że spotkałaś Amelię i Jacka, że spędziłaś z nimi choć kilka lat. Wynagrodzili ci te wcześniejsze cierpienia, to pozbawione miłości dorastanie w sierocińcu. Obdarowali cię swoją miłością, ciepłem i troską, i zawsze będę im za to wdzięczna. To oni pomogli ci stać się tym, kim jesteś dzisiaj.

- Kto wie, jakim byłabym człowiekiem, gdybym ich nie spotkała. Prawdopodobnie kompletnie zagubionym i przysparzającym sobie ciągłych kłopotów.

- Może tak, może nie, nigdy się już tego nie dowiemy. Uważam jednak, że masz w sobie coś szczególnego, jakąś wolę przetrwania, która i tak spowodowałaby, że w końcu odniosłabyś sukces.

Meredith pochyliła się nad Kate i pocałowała ją w policzek. - Kocham cię mamo.

- Ja także cię kocham, Mari.

I obie kobiety ruszyły ramię w ramię ku wyjściu z jadalni. Kiedy już niemal dochodziły do drzwi, Kate powiedziała: - Nie wiem, jak przeżyję rozstanie z tobą. Szkoda, że mieszkam tak daleko.

Meredith milczała.

Kate spojrzała na nią szybko i dodała: - Pamiętam, że powiedziałaś, iż mogę przyjeżdżać, kiedy tylko zechcę, lecz nie chciałabym ciągle zostawiać Nigela samego, a on nie zawsze będzie mógł wybrać się ze mną ze względu na swoją praktykę.

- Wygląda na to, że jednak nie będę mieszkała tak daleko - powiedziała Meredith.

- Taak?

Meredith spojrziała w stronę hallu wejściowego, teraz zatłoczonego ludźmi. Przyjęcie było w pełnym rozkwicie. Uśmiechnęła się leciutko.

Kate zauważyła to i podążyła spojrzeniem za wzrokiem córki, a potem popatrzyła znowu na Meredith.

- Mam zamiar za niego wyjść, mam - powiedziała Meredith, nadal wpatrując się w Luca. - A to oznacza, że będę mieszkała w Paryżu. Tylko o kilka godzin od Yorkshire.

- Och, kochanie, tak bardzo się cieszę. Moje gratulacje! - wykrzyknęła Kate. Lecz po krótkiej chwili spytała z obawą. - A co z twoją pracą tutaj? Przecież tak wiele dla ciebie znaczy.

- Teraz, kiedy sprzedaliśmy także gospodę w Vermont, pozostała już tylko Silver Lake. Blanche i Peter prowadzą ją od lat i doskonale dają sobie z tym radę. Będą robili to nadal, a ja będę miała i tak dość pracy, zajmując się gospodami w Anglii i Francji.

- To dobrze, że udało ci się jakoś rozwiązać ten problem. Luc to taki wspaniały człowiek.

- On także przeżył już swoje... Myślę, że oboje zasłużyliśmy na odpoczynek, na trochę szczęścia - Meredith przerwała, gdyż właśnie podszedł Luc.

Otoczył ramieniem Kate, spojrzął na nią i powiedział: - Od dnia, kiedy się poznaliśmy, mam takie uczucie, jakbyśmy znali się już wcześniej. Nagle, dosłownie przed chwilą, uświadomiłem sobie dlaczego. Przypominasz mi kobietę, która mnie wychowała, moją babkę.

Babcia Rose, oczywiście, pomyślała Meredith, przypominając sobie obraz wiszący w Talcu. Ta sama kolorystyka, te same błękitne oczy, ta sama twarz w kształcie serca.

- Jak wspaniale - powiedziała Kate cicho, a potem dodała: - Powinnam złożyć wam gratulacje. Jestem taka szczęśliwa, że macie zamiar się pobrać.